STRON — 16

London, Sunday, May 3, 1959
"THE FAITHFUL POLAND, CATHOLIC WORD"

Niedziela, 3 maja 1959

POLSKA WIERNA

TYDZIEŃ POLSKI

ROK XV Nr. 12
(736 – 752)

CENA EGZEMPLARZA
we Francji 50 franków
w Niemczech 50 fenigów

Registered at the G.P.O. as a newspaper.

SŁOWO KATOLICKIE

© Echo Polski Ltd. 1959.
Copyright. Wszelkie prawa przedruku materiału zawartego w „Polsce Wiernej" — zastrzeżone.

NOWA PIELGRZYMKA DO MOSKWY

Niefortunne pomysły marszałka Montgomery'ego

Marszałek lord Montgomery of Alamein ma dużo zalet. Ma również dużo wad. Jedną z jego niewątpliwych zalet jest — szczerość. Usiłując tłumaczyć dziennikarzom powody swej wyprawy do Moskwy, która wywołała konsternację w wielu kołach brytyjskich i sojuszniczych, powiedział:

— Wielu ludzi zarzuca mi brak zmysłu politycznego. Zgadzam się; nigdy nie twierdziłem, że go mam.

Szczerość tego wyznania budzi szacunek. Trudno byłoby je zakwestionować. Ilekroć w swojej długiej a pełnej chwały karierze marszałek Montgomery zawadził o politykę, tylekroć potwierdził słuszność tej opinii o samym sobie. Nikt o to pretensji doń mieć nie może. Ostatecznie nieczęsto się zdarza, by ktoś był i znakomitym wodzem i wielkim politykiem czy wytrawnym dyplomatą...

Dlaczego nie spocznie na laurach?

Skoro sam przyznaje, że nie posiada zmysłu politycznego, to *dlaczego zabiera się do polityki?* Dlaczego podejmuje misję o charakterze *zdecydowanie politycznym czy dyplomatycznym?*

Opuściwszy niedawno czynną służbę, 71-letni marszałek Montgomery mógł był *spocząć na laurach* zwycięzcy wielu bitew. Służył on w wojsku dłużej niż jakikolwiek inny żołnierz brytyjski. Jego koledzy, również znakomici dowódcy, już od lat korzystają z dobrze zasłużonej emerytury, łowią ryby, sadzą róże, malują domy, piszą pamiętniki (jeśli ich dotąd jeszcze nie napisali). Cicho [illegible] jest o nich.

A jeśli Montgomery odkrył w sobie nagle zainteresowania polityczne, to mógłby przecież ubiegać się o stanowisko polityczne. Jako członek

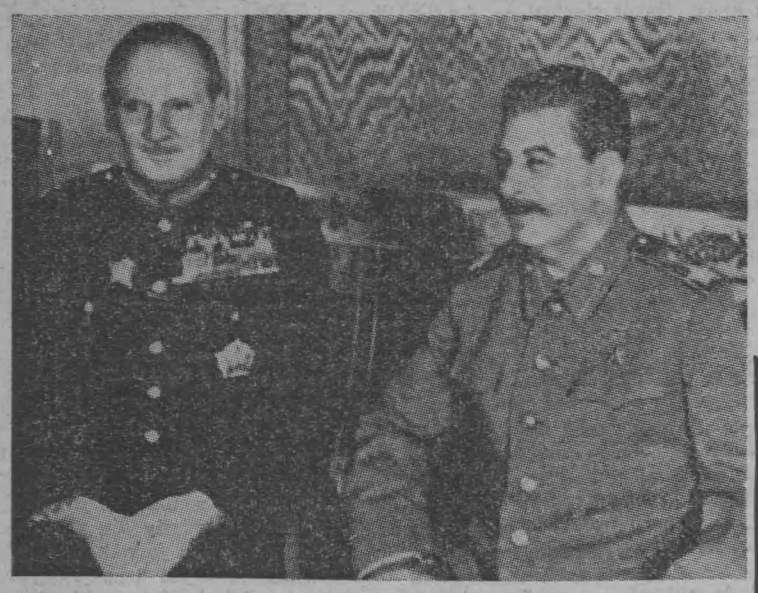

Rok 1947, poprzednia podróż Montgomery'ego do Moskwy. Omawiając jego ówczesne plany przedstawione Stalinowi, b. premier Attlee pisze pobłażliwie, że Montgomery „... oczywiście nie chciał wyrządzić żadnej szkody"

Izby Lordów ma pole działania nieco zwężone, ale miałby różne możliwości.

Ale nie. Lord Montgomery woli polecieć do Moskwy.

Stalin kpił z niego

Udaje się tam *po raz drugi:* był już w r. *1947*. Doświadczenia z pierwszej podróży nie powinny go zachęcać do obecnej misji.

Był wówczas szefem sztabu imperialnego. Tak jak dziś, wydawało mu się, że potrafi *przyczynić się do poprawy złych stosunków między W. Brytanią a ZSSR*. W tym celu zaproponował Stalinowi... zawarcie nowego sojuszu między obu krajami! Nie bardzo było wiadomo przeciw komu ten sojusz miał być skierowany; marszałek zapomniał też, że obowiązuje wciąż sojusz z czasów wojny — któż by myślał o takich drobiazgach...

Dalszym genialnym pomysłem przedłożonym Stalinowi był plan wymiany oficerów: niech dwóch Rosjan przybędzie do szkół wojskowych w Anglii a dwóch Anglików uda się do Rosji, a zaraz zapanuje przyjaźń między dwoma państwami. Ale Stalin odpowiedział, że nie może przyjąć tego projektu, bo... prasa światowa okrzyczałaby go jako „podżegacza wojennego". Montgomery nawet nie zauważył, że Stalin kpi sobie z niego.

Nie zdawał sobie z tego sprawy także gdy Stalin na bankiecie tłumaczył że on i Montgomery powinni współdziałać, bo „razem pobiją wszelką kombinację cywilnych polityków". Brał za dobrą monetę słowa Stalina o tym, iż żołnierze obejmujący kierownicze stanowiska w świecie są dobrymi politykami, „znacznie rozsądniejszymi od polityków cywilnych" Monty taktownie nie zapytał Stalina, dlaczego w takim razie żadnemu ze swych marszałków nie daje stanowiska politycznego i dlaczego Żukow poszedł [illegible] janie.

Pisząc o pamiętnikach Montgomery'ego i jego propozycji zrobionej wówczas Stalinowi b. premier lord Attlee stwierdza w sposób równie suchy, co druzgocący:

„Oczywiście [Montgomery] nie chciał wyrządzić żadnej szkody. Po prostu nie rozumiał gdzie należy się zatrzymać".

Obawiać się należy, że i dzisiaj — podobnie jak i wówczas — marszałek nie rozumie wielu rzeczy.

„Wojskowa strona napięcia"

Prawda, lord Montgomery nie zamierza dyskutować spraw czysto politycznych. Powiedział, że chce odbyć naradę z sowieckimi szefami sztabu i powiedzieć im: *Przedyskutujmy militarną stronę tego napięcia".*

Wydaje mu się, że jest do tego specjalnie powołany, albowiem „żaden generał amerykański nie byłby dobrze widziany w Moskwie", natomiast jego zapewniono, że będzie mile widziany. Cóż, skromnością Monty nigdy nie grzeszył! W rzeczywistości Moskwa wyraźnie woli rozmawiać z Amerykanami niż z kimkolwiek innym, dążąc do porozumienia we dwójkę, ale Amerykanie wykazują rezerwę.

Co jednak ma Monty na myśli mówiąc o „wojskowej stronie napięcia", którą chce dyskutować?

Napięcie w świecie ma charakter polityczny, a nie wojskowy. Kryzys został rozpętany przez Chruszczowa świadomie i dla celów politycznych. I tylko na drodze politycznej może być rozwiązany.

Zwycięski marszałek Montgomery w towarzystwie marszałków sowieckich. Na prawo od Montgomery'ego uśmiechnięty Kostia (a raczej Sir Konstanty Rokossowski, K.C.B. bo mu właśnie marsz. Montgomery zawiesił na szyi order Łaźni). Był to [illegible] jeszcze przed przemianowaniem Rokossowskiego na Polaka. Po lewej: Żukow

Trzeba więc dużej dozy naiwności by sądzić, że można coś osiągnąć na drodze rozmów z sowieckimi marszałkami o „stronie wojskowej napięcia". Nie mówiąc już o tym, że marszałkowie sowieccy nie mają żadnego głosu przy pobieraniu decyzji...

Jego plan

Sądząc z wypowiedzi Montgomery'ego jego pomysły, z jakimi zamierza wystąpić wobec marszałków sowieckich oraz Chruszczowa, są jeszcze bardziej osobliwe aniżeli te, z którymi przed dwunastu laty udał się do Stalina.

Jak tylu innych ludzi na Zachodzie, Montgomery ma swój własny plan rozwiązania problemu. Zaleca *wycofanie wojsk obcych z Niemiec*. Idea, jak wiadomo, sama w sobie słuszna arcy-słuszna. Ale pod dwoma warunkami:

1 — Aby wojska sowieckie zostały wycofane nie tylko z Niemiec Wschodnich, ale również z *Polski* i Węgier,

2 — Aby pod żadnym pretekstem *nie wolno im było wrócić*.

Ten drugi warunek jest ogromnie ważny, bo niebezpieczeństwo np. dla Polski polega nie na tym, że w Kraju znajdują się niewielkie garnizony sowieckie, lecz na groźbie interwencji sowieckiej w razie obalenia rządów komunistycznych. W Czechosłowacji, Rumunii czy Bułgarii wojsk sowieckich nie ma, ale groźba ich wkroczenia wystarcza. Póki Niemcy Zachodnie należą do NATO a Niemcy Wschodnie, Polska i inne kraje wschodnio-europejskie— do paktu warszawskiego, wycofanie wojsk obcych nie miałoby znaczenia bo mogłyby one każdej chwili wrócić.

Ale lord Montgomery o tym nie myśli. Przeciwnie, wręcz oświadcza, że *nie ma nic przeciw temu, by Rosjanie zostali w Polsce*. Tak dba o nasze „bezpieczeństwo".

NRF dalej należałaby do NATO i wojska niemieckie strzegłyby obecnej linii podziału. Po drugiej stronie byłyby wojska wschodnio-niemieckie.

Oto rzekoma droga do zmniejszenia napięcia „od strony wojskowej". Trudno sobie wyobrazić coś bardziej niepoważnego.

Zachęta do szantażu

W gruncie rzeczy jednak nie jest ważne *z czym* lord Montgomery jedzie do Moskwy. Ważne jest tylko *że w ogóle* jedzie.

Pielgrzymki do Moskwy w takim momencie jak obecny są bardzo niebezpieczne. Muszą one utwierdzić Chruszczowa w przekonaniu, że jeśli nie cały obóz zachodni, to przynajmniej Wielka Brytania z obawy przed wojną *gotowa jest do ustępstw;*

Montgomery: Wielu ludzi zarzuca mi brak zmysłu politycznego. Zgadzam się. Nigdy nie twierdziłem, że go mam.

że wystarczy jeszcze jeden szantaż, jeszcze jedna groźba aby wymusić kapitulację.

Gdy do Moskwy przybywa coraz to inny emisariusz, zapowiedziawszy uprzednio że „chce wybadać co człowiek na Kremlu myśli o sytuacji", to „człowiek na Kremlu" ma, rzecz prosta, wszelkie powody, by emisariusza jak najbardziej nastraszyć.

Oczywiście. Chruszczow ani też nikt inny nie potraktuje wizyty Montgomery'ego jako prywatnej imprezy, skoro przed odlotem marszałka do Moskwy premier odbył z nim dłuższą rozmowę. Potraktuje go jako emisariusza rządu brytyjskiego. I nawet wątpliwe jest, by Nikitę nagle ząb znowu rozbolał.

Jedno jest pewne: pożytku z tej wyprawy nie będzie. Natomiast szkody mogą być duże!

Aleksander Bregman

40 rocznica wyzwolenia WILNA

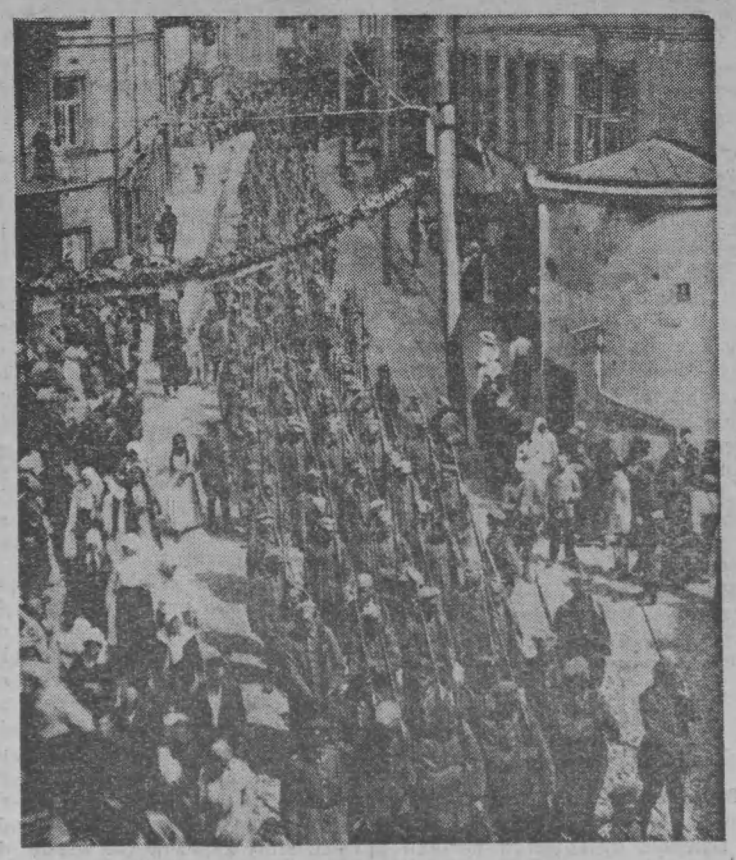

W kwietniu b.r. przypada 40 rocznica wyzwolenia Wilna. Na str. 4 i 5 zamieszczamy wspomnienia ppłk dypl. W. Chocianowicza z przebiegu kampanii o Wilno i momentu powitania wojsk naszych i ich Naczelnego Wodza przez ludność tego wspaniałego miasta. Na zdjęciach (u góry): wkroczenie wojsk polskich do Wilna; (z lewej): Zaułek Literacki.

MY — PASAŻEROWIE DOLNEGO POKŁADU

KSIĘGA THURLOE SQUARE (4)

Wiesław Wohnout

Pod koniec życia powrócił do studiów romanistycznych i interesowała go szczególnie stara liryka francuska. Posmutniał i w ostatniej rozmowie z nim odniosłem wrażenie, jak gdyby patrzał gdzieś poza mnie — dalej czy głębiej, : może nawet — jak gdyby tam sięgał... To jednak, na co patrzał, chciał widocznie zachować w tajemnicy, bo nigdy z nikim o tym nie mówił. W słowo „amitié" w polityce — już nie wierzył! Natomiast przyjaźnią otaczał emigracyjnych artystów. Niepokoił go zwłaszcza los młodych poetów i dlatego zapewne do ostatnich dni załatwiał tysiące spraw (drobnych i z pozoru nieważnych), dotyczących Domu Pisarza („Polish Writers House") przy Finchley Road (N.W. 3.),w tej dzielnicy, gdzie sam mieszkał. ...„Frontowe okno jest wybite i zatkane byle jak starym wojskowym płaszczem"... „Kocioł cieknie! ..." „Kiedy odbędzie się najbliższy wieczór recytacji?" „...Należałoby wylakierować klozet..." „Prowansja we francuszczyźnie, to jakby u nas — Białoruś... — Może? Trzeba o tym pomyśleć. Ale najpierw: skąd wziąć pieniądze na honoraria?" ... „Jutro posiedzenie Zarządu — może coś wymyśli Antek..."

Chwytał więc za telefon i dzwonił do Antoniego Bogusławskiego, poety i przyjaciela, z którym dzielił swoje troski.

— Hallo! Antek...

Cisza.

Antek nie może podejść... Ostatnio coraz częściej słabuje. Zdrowie... Tak. Coś się kończy. Stroński wie o tym. Czasu jest mało. Coraz więcej pracuje.

W niewielkim odstępie, jeden po drugim, odeszli obaj. Najpierw Stroński — profesor, potem jego przyjaciel, poeta Bogusławski. (30.10.55 i 31.11.56.)

A troski pozostały.

Mam teraz podobną sprawę. Nawet jeszcze trudniejszą. Wiem na pewno, żeby mi pomogli. Ach! Jak pusto! Chciałbym zatelefonować. Tylko numeru nie znam. Jakie to jest exchange? „The Beyond Postal Area"?... Szukałem w sokrowidzu pod „Emergency Services", na stronie 2001. Nie ma. A — powinno być.

Moje pierwsze spotkanie ze Strońskim. Równo 37 lat temu. Wybiłem wtedy kamieniem szybę

— Przestań się maskować! I tak kiedyś ona się dowie...

w lokalu krakowskiego oddziału wydawnictwa redagowanego przez Strońskiego pt. „Rzeczpospolita". Tego dnia, gdy z Warszawy nadeszła do Krakowa wiadomość o śmierci Narutowicza. Krakowska redakcja „Rzeczypospolitej" mieściła się na samym początku ulicy Karmelickiej, tuż obok kawiarni Bizanca. W tej samej kamienicy (adwokata Langroda) była kwiaciarnia i sensacyjny Salon de Coiffeur żenująco ugrzecznionego fryzjera Nowaka. Okno wystawowe było ogromne, t. zw. weneckie. Wywieszano w nim zawsze najświeższe numery dziennika. Tam t e n artykuł przeczytałem. Szyba była luksusowa, „lustrzana", chyba na pół cala gruba. Musiała drogo kosztować. Nigdy o tym nie rozmawialiśmy.

Bogusławskiego marsz żołnierski

Bogusławskiego pamiętają czytelnicy Dziennika. Przed paru laty Dziennik drukował w odcinku fragment jego stylowej powieści. Fragment był krótki. Ale była to najlepsza proza, jaką na emigracji napisano. Zwłaszcza jezyk! Jest w tej powieści opis przedstawiający przemarsz przez wieś batalionu rosyjskiej piechoty. Jak oni szli! Jak to było zrobione! Widzieliśmy kurz, który wznieśli i słyszeliśmy dudniące o gościniec uderzenia ośmiuset par żołnierskich butów. Elegancki pułkownik wydał półgłosem komendę. Pognał trębacz. Dowódcy rot krzyknęli. Jeden grzmot! Tak stanęli.

...Już nic nie widzę. Całą scenę pokrył tuman kurzu. Tylko koń pułkownika-eleganta wierci się jak lalka i błyska sprzączkami rzędu.

Byłem wtedy w szpitalu w Penley. Codziennie rano czekałem na ciąg dalszy. Tam czytaliśmy to na głos z kolegami pozbawionymi nóg. Mówili, że teraz maszeruje się inaczej, ale że rzecz jest napisana ładnie. Sami dawniej dużo defilowali. Stąd zeszła rozmowa na tzw. Middle East. W Persji defilowali przed szachem. Potem przd irackim królem. W Italii raz przed następcą tronu Umbertem.

— Był z nim wtedy — mówią mi — z tym Umbertem, późniejszym królem, nasz rotmistrz Tyszkiewicz i generał Anders. Tyszkiewicz, swój człowiek, chociaż hrabia.

Tak żołnierze mówią.

Omawialiśmy potem różne rodzaje musztry formalnej. — Polska musztra — twierdzili — była najlepsza A zaraz potem — niemiecka!

— Niemcy — mówili — także dobrze maszerują.

(W dawnych latach, broń, oporządzenie konia, strój nawet — przejmowaliśmy od Turków. Kogoż żołnierz zna lepiej i bardziej podziwia — niż wrogów).

Napisałem o tym do Bogusławskiego dodając słowa najgłębszego zachwytu. Scenę powyższą odtwarzam z pamięci, z tamtego listu. Odpisał mi — jakże skromnie. „Taka sobie pisanina, więcej z potrzeby serca, niż do druku. Ale Dziennik jest dla mnie bardzo łaskaw, tak jak pan, chwaląc mnie ponad zasługę".

Taki był Antoś Bogusławski.

Amazonki i Goetel

W Hyde Parku nie zmieniło się w tym czasie nic. Trwała wojna. Tyle, że z trawników strzelały baterie przeciwlotnicze. Potem wojna skończyła się. Indie uzyskały niepodległość. Sassoonowie przeprowadzili się na Lowndes Square, Attlee został premierem. „Unarodowiono" węgiel i komunikację kolejową. Attlee przestał być premierem. Umarł król. Objęła panowanie królowa. Ale to, co jest istotne: **obyczaj narodu** trwa bez zmiany. **British way of life**... Amazonki cwałują nadal po Hyde Parku. a powieści autorów kontynentalnych nadal nie cieszą się poczytnością. (Z wyjątkiem klasyków francuskich). Czapek należał do tych, którzy uzyskali przywilej. Był tłumaczony na język angielski. Mr. Nigel Playfair, przedsiębiorca i artysta, a przy tym jeden z najwybitniejszych reżyserów londyńskich lat dwudziestych, wprowadził nawet na scenę angielską sztuki Czapka. Cóż z tego? Do przekładów angielskich powieści Goetla pisali przedmowy Chesterton i Galsworthy. (W tym samym mniej więcej czasie, gdy w Londynie lansowano Czapka). I — co? Kogo z Anglików to obchodzi, że Goetel od kilkunastu lat mieszka w Anglii? Gdybyśmy zadali im jakieś pytanie na ten temat, odpowiedzieliby zapewne (ze współczuciem):

— **Ou! Sorry! It's not our business.**

Być może Czapek także i to przewidział. Byłby dzisiaj w wieku Goetla, być może także chory i — samotny. Pisarz europejski na bezludnej wyspie... Przez lat trzynaście nie zainteresował się nim nikt. Żaden pisarz angielski. Ani PEN-Club. Ani dawni jego wydawcy. Żadne czasopismo literackie. Pomimo, iż w almanachu najnowszej literatury wydanym w USA w roku 1956 napisano, że „pisarz polski Ferdynand Goetel dzięki zastosowaniu w jednej ze swoich powieści genialnej konstrukcji formalnej" jest „reprezentatywnym autorem europejskim w dziale prozy beletrystycznej lat trzydziestych bieżącego stulecia".

W świetle faktów przytoczonych powyżej — jak określić te słowa?

Nasuwa mi się natrętny, łatwy rym:

— Drętwa mowa.

Robinson Kruzoe był szczęśliwszy. Miał przynajmniej Piętaszka.

Liniowiec oceaniczny

A może to nie jest wyspa, tylko luksusowy liniowiec oceaniczny, taki jak „Queen Mary" lub „Queen Elizabeth". Zainteresowanie budzą tylko pasażerowie na górnym pokładzie i to ci tylko, którzy wykupili bilety do apartamentów **super extra** klasy. Na przykład: Rita Hayworth, **Monsieur Patino**, Mr Gulbenkian, Mr Gromyko, albo tancerka Sabrina z rewii **„Plaisirs de Paris"**, która występuje od szeregu miesięcy w **Prince of Wales Theatre** i podobno ma najpiękniejsze piersi. Szczęśliwcy ci po wykupieniu biletu awansowani są do kategorii Prawdziwie Ważnych Osobistości i jako **Very Important Persons** oznaczani są magicznym skrótem V.I.P. Literatura europejska nie ma prawa do tego inicjału.

Czapek i Shaw

Co w Czapku najwyżej cenię, to typowe dla niego skojarzenie wrażliwości poetyckiej z inteligencją — erudycję prześwietloną pełnym poczuciem bezcennej wartości żartu. Jego żartobliwa obserwacja, że Bernard Shaw był czymś w rodzaju „złośliwego satyra, który jednakże na skutek tysiącletniej sublimacji utracił całkowicie kontakt z przyrodą" — wydaje mi się odkrywcza — i trafna. Ten satyr (a może elf z jakiejś nie napisanej parafrazy „Snu nocy letniej") — elf zatem, albo niespokojny duszek — duszek, lub skrzat-zrzęda, słowem— jarosz-przechera — Fabianin, prekursor **Trade Union'ów** i „Socjalista na ustroniu", siedzący jak dickensowski świerszcz za teatralnym kominem i udający motyla w sztucznym świetle kinkietów — ten świerszcz — motyl zatem „kpiący sobie ze wszystkiego na świecie, nawet z samego siebie", nie wykpił się jednak Czapkowi! Wielki czeski pisarz europejski w paru słowach utrafił w sedno: największe niebezpieczeństwo zagraża cywilizacji przemysłowej ze strony — cegieł! Miasto pożera nas. Ogródek przy moim domu, mój skwer z latarnią i klombem róż pośrodku, nawet Hyde Park z promenadą amazonek — Green Park, St. James Park. Regent Park, „Ogrody Kensingtonskie" („Kensington Gardens"), i jak się tam jeszcze nazywa cała ta zieleń wielkomiejska — to jeszcze nie ratunek.

To jeszcze — nie przyroda!

Żyjąc w miastach — jak ów wysublimowany satyr Czapka — i my podlegamy także nieustannej sublimacji i podobnie jak Bernard Shaw stajemy się na pół śmieszni, na pół tragiczni, jak ptak, któremu by zamiast powietrza dano butlę z tlenem — jak ryba wyjęta z wody — w każdym razie nie pełni i duchowo rozdarci, i dlatego nie harmonijni. Od paru lat na Kensingtonie, w dzielnicy Chelsea, Soho, na Mayfairze, a także w innych okolicach Londynu, jak grzyby po deszczu, powstają niezliczone bary kawowe. Młodzi mężczyźni różnych ras i młode kobiety o najrozmaitszym kolorze skóry wysiadują całymi dniami nad filiżanką kawy, karmiąc się ekstraktem „OXO" („For Winter Warmth" i pożywieniem z puszki. Gdyby zapytać ich nagle, co to jest rzeżucha, albo — czy koza ma kopyta czy racice? — byliby w kłopocie. Nie jestem pewien, czy wiedzą, jak wygląda krowa. (Ale znają się na samochodach, jeżdżą windą, chodzą do kina i umieją się posługiwać telefonem. (Uwielbiają zapewne także — telewizję). Ci różnokolorowi ludzie wielkomiejscy jedno mają wspólne: „żyją" na swojej Kings Road (czy Fulham Road, czy Brewer Street — jeżeli wolicie, obok koszmarnego kolosa „Windmillu", lub w innych zakamarkach) i poza swoją dzielnicę nie wytykają nosa. Brighton, to dla nich już tak daleko, jak dla mnie dziewiczy las nad Amazonką! **„Expresso Mensch"**: tak z niemiecka nazwał felietonista „Observera" ten nowy gatunek człowieka. To także przeczuł Czapek. Panowie urbaniści! W tym jest wielkie niebezpieczeństwo. Oni mają prawo wyborcze. Oni wpływają na rządy. Im się Chruszczow — podoba.

Przyroda uciekła do Penrhos

Są w Anglii śliczne ilustrowane czasopisma poświęcone życiu wiejskiemu. „Country L i f e", „Tatler", „Queen" i wiele innych. Tylko — wsi nie ma. Przyroda uciekła. Trzeba o niej jeździć pociągiem — kilka godzin — albo „zielonym koczem". („Green Line"). Przyroda zaczyna się tutaj dopiero w Walii. Znam tam śliczną miejscowość oblaną z trzech stron przez morze. Nazywa się Penrhos. (W okolicy Pwllheli... Nie. To nie jest ! .1 drukarski, tylko walijski język. Poznamy jeszcze trudniejsze nazwy). Także i tam mieszkają Polacy. Ci mianowicie, którzy czuli się źle w wielkich miastach. Polskie osiedle w Penrhos korzysta z pomocy Assistance Board. Jak zamek w Dunster. (Tyle, że z innego paragrafu.) To przykre. Tak. Ale — bardzo pożyteczne. Trzeba o tym opowiedzieć. Wśród mieszkańców Penrhos są ludzie których dzieje rozpoczęły się dawno przed pierwszą wojną światową którzy niejednego w życiu dokonali. Z krakowskich Oleandrów, na przykład — do Penrhos... Daleka droga! Nie wszyscy zresztą stamtąd wyszli. Rozmaite były punkty startu. Ale cel mieli jeden. Teraz się spotkali. Na Półwyspie Pwllheli. Zasługują na ciszę, której pragną, na świeże powietrze, które tam mają — i na nasz szacunek.

Pytanie: Czy, gdyby życie mieli rozpoczynać na nowo, poszliby tą samą drogą?

Zapytałem kiedyś o to starego znajomego, dawnego prezydenta miasta Krakowa pułkownika-lekarza Kaplickiego.

Zaczął dawno. Od robotniczych kółek oświatowych, od samokształcenia, socjalizmu, Strzelca. Potem — naturalną niejako koleją rzeczy — nastąpiła ta zbiórka w Oleandrach... I t. d., i t. d. Potem (za to?) był na wyspie Rothesay. Ostatecznie — Penrhos.

— No właśnie... Dlatego zapytuję.

Zamyślił się. Długo milczał. Nachylił się:

— Po co to wam?

Odpowiedziałem:

— Kiedyś — może — napiszę.

Spojrzał na mnie:

— Nie teraz. Nie chę szkodzić. Mam w Kraju bliskich. Może później...

Skinąłem głową: — Później...

Sądzę, że o tym samym myślał.

Odpowiedział spokojnie, bez żadnego uniesienia, tak jak powtarza się prawdę oczywistą:

— Ależ tak. Naturalnie, że szedłbym tą samą drogą.

Jest „później". Już nie żyje.

Chyba nikomu tym w Krakowie nie zaszkodzę.

Przyroda jest również dalej na północ: na wrzosowiskach w Szkocji. Któż jednak z nas (prócz barona Adama Konopki — **St. Hubert's Hunting and Fishing Club, Park Lane W. 1.**) może sobie pozwolić na polowania — na pardwy! Krążymy więc jak lunatycy po tych samych uliczkach i kupujemy u Woolwortha tanie standardowe towary chociaż z każdym dniem coraz mniej nas dziwi, oglądamy się czasem, gdy w naszej spokojnej dzielnicy spotkamy twarzą w twarz „nowego" człowieka — pomiot Sartra — londyńską parodię egzystencjalistów z gatunku „Expresso". Myślimy wtedy:

— Czy tak ma wyglądać „nowy, wspaniały świat"? A może to my nie jesteśmy współcześni?

Oto jedno z pytań, jakie baczniejszemu obserwatorowi musi nasunąć ta wyspa.

W parowierszowej sylwetce Bernarda Shawa, jak gdyby w błyskawicznym szkicu do większej jakiejś panoramy, Czapek pochwycił i tę ważną sprawę. Dodajmy: G.B.S.,*) synonim Anglii z epoki **fin-de-siecle'u** — Anglii, która trwa do dzisiaj — uprzemysłowionej, przeludnionej i postępowej — był Irlandczykiem. To także jest charakterystyczne i dla tego kraju typowe.

Nie! Mr. Czapek nie jest łgarzem. Co za mistrz! Był w Anglii wszystkiego kilka tygodni, a ile w niej zobaczył! Ano — każdy tyle widzi, ile zobaczyć potrafi. Polacy na przykład mówią:

— Londyn jest nudny...

I wzruszają ramionami.

Trzeba, jak mi się wydaje, niemałej niefrasobliwości, żeby tak jednym słowem „załatwić" największe miasto świata. Irlandczycy także nie lubią Anglików. Ale się przynajmniej dużo od nich uczą.

... **„porwać ogień strzeżony — zanieść w ojczyste strony..."** — To robią! Chociaż o Wyspiańskim nigdy na pewno nie słyszeli.

Czapek wchłonął w siebie Londyn, mimo że podobnie jak my, wyrósł na prowincji. Posiadał jak wiemy wielką wrażliwość i męczyło go miasto. Kochał natomiast przyrodę. N. p. — drzewa... Poszedł więc razu pewnego do **Natural History Museum** na Kensingtonie. (Muzeum Przyrodnicze.) Parę kroków ode mnie. Często tamtędy przechodzicie... Ale to jest, jak mówił Mr. Kipling, już całkiem inna historyjka...

„...Przed 100.000.000 lat, gdy nie było jeszcze latarni na moim skwerze, ani kołatki na drzwiach w szczęśliwym miasteczku Dormington (Herefordshire), a amazonki nie cwałowały jeszcze po Hyde Parku — ta wyspa..."

Tak jakoś należałoby ją zacząć.

Służba z Moliera

Była urzędniczką w PIO...
Ale nie można tego tak zacząć.

*) G.B.S. to są inicjały „George Bernard Shaw". Korzystając ze światowego rozgłosu, pisarz-ekscentryk używał ich często zamiast nazwiska. Widziałem przed laty bilet wizytowy tłumacza Shawa na język polski. Tak wyglądał:

FLORIAN SOBIENIOWSKI
Przedstawiciel G.B.S. na Europę

Otwierał drzwi wszystkich teatrów w Polsce.

I oni to znali?!

Jej historia wiąże się także z moim skwerem.

... Spotykam ją codziennie rano idąc do pracy. Nie wołamy do siebie na powitanie **„hello!"** „hello!", chociaż się do siebie życzliwie uśmiechamy.

Ja mówię zwyczajnie:

— Dzień dobry pani.

Ona odpowiada mi serdecznie, ze swojej „żabiej perspektywy":

— Dzień dobry. Dzień dobry panu! — Zazwyczaj swoje powitanie powtarza dwa razy.

Jest jakieś ciepło w jej głosie. Robi to na mnie wrażenie, jak gdyby naprawdę życzyła mi dobrze.

Potem zaraz następuje pytanie:

— Co tam dziś piszą gazety?

Tak zaczyna się zwykle nasza miniaturowa rozmowa.

Winien jestem Czytelnikowi wyjaśnienie. O jakiej „żabiej perspektywie" mowa? I dlaczego rozmowa ta — jest „miniaturowa"?

Cierpliwości! Fabuła tutaj zwyczajna. Wszystko się samo wyjaśni.

Największy przewrót, jaki znają dzieje Anglii, to spadek cen towarów i wzrost ceny pracy. Wszystko inne, to są już sprawy wtórne. Produkty, rzec by można, ubocznej zasadniczej rewolucji. Dokonała się na naszych oczach. Tytuły własności domów na przykład, pozostały nienaruszone. Jeżeli ktoś odziedziczył lease „jednorodzinnej" kamieniczki (czteropiętrowej...), w której dajmy na to urodził się jeszcze jego pradziadzio, (a dziadzio umarł), — lease powiedzmy na moim skwerze — który będzie trwać już „tylko" siedemdziesiąt sześć lat — to znaczy, że posiada dach nad głową; będą go jeszcze posiadać jego dzieci i wnuki: Na pozór więc nic się jak gdyby nie zmieniło. W starym tym jednak układzie własnościowym jest jedna rzecz nowa. Nigdy jej przedtem nie znano. Dom trzeba sprzątać. (Kuchnia jest po staremu w **besement'cie** pokój stołowy i **sitting-room** na parterze, gabinet pana domu i **drawing-room** na pierwszym piętrze; sypia się na piętrze drugim i trzecim). Pracy jest sporo, a nie ma tego ' to robić.

Cena usług wzrosła! Służba jest droga. Batler obecnie, kucharz, houskiper, główna panna służąca — podobnie jak pomoc kuchenna i nawet zwyczajne pokojówki, praczka, szwaczka i jak bywało dawniej, paru „podręcznych" chłopaków czyli **boys (garden boy, kitchen boy, lift boy, cellar boy i t.d.)** słowem zwykły **house-staff** przeciętnie zamożnego domu mieszczańskiego w „dobrej" dzielnicy Londynu, krzątający się normalnie po domu i spełniający rozliczne ściśle zróżniczkowane funkcje jeszcze u progu naszego stulecia — jeszcze przed pierwszą wojną światową — dziś należy już do bezpowrotnej przeszłości. „Ludek" ten, od którego musiało być rojno w cichych obecnie uliczkach — kojarzy się w mojej wyobraźni z komediami Moliera i Fredry i powieściami Dickensa. (U Krasińskiego i Schillera odgrywał on raczej dramatyczną rolę).

(Ciąg dalszy nastąpi)

ADENAUER utwierdza swą władzę

W powodzi dociekań, jakie obiegły świat, gdy Konrad Adenauer zgodził się kandydować na prezydenta, warto zanotować dwie wypowiedzi: jedną najbardziej nierozumną i jedną najbliższą prawdy. Nierozumna pochodziła od Ericha Ollenhauera, przewodniczącego partii socjal-demokratycznej SDP, który oświadczył:

— Adenauer, przyjmując kandydaturę na prezydenta przyznał, że jego polityka nie udała się.

Słusznie wyjaśnił profesor Carlo Schmidt, gdy powiedział:

— Czuję się zaszczycony stanowiskiem Unii Chrześcijańsko Demokratycznej (CDU), która uważa, że może przeciw mnie zwyciężyć tylko przez wysunięcie kandydatury swego najbardziej sławnego męża stanu.

W tej opinii Carlo Schmidta leży sedno decyzji Adenauera. Czy przynosi to jednak zaszczyt dla p. Schmidta? O tym można powątpiewać. Podobnie bowiem można by powiedzieć, że wzmocnienie kasy pancernej jest zaszczytem dla kasiarza. Adenauer musiał osobiście wysunąć się na front, by ochronić Niemcy przed prezydenturą Schmidta. Możliwe, że inny kandydat CDU byłby też zwyciężył; ale pewności co do tego nie było, a w obliczu dużego niebezpieczeństwa nie można być lekkomyślnym. Schmidt, jako prezydent, byłby niebezpiecznym nie tylko dla Niemiec, ale też dla wszystkich narodów tęskniących za wolnością i oswobodzeniem. Byłoby to katastrofą dla Polski, gdyż Polska nie miałaby widoków na odzyskanie wolności, gdyby całe Niemcy dostały się we władanie Rosji.

Jak na Niemca — błyskotliwy

Wielu ludzi skłania się do tego by uważać obawy Adenauera przed kandydaturą Schmidta za przesadne. Przecież ten Schmidt bynajmniej nie wygląda tak groźnie. Należy on do prawego skrzydła partii, otwarcie głosi, że nie jest marksistą i robi wrażenie na wskroś burżuazyjne. Dobroduszny Szwab, jest obok ministra obrony Franciszka Józefa Straussa jedynym posłem w parlamencie przemawiającym z humorem. Literacko wykształcony, jest kosmopolitą władającym kilkoma językami. Zaprawdę nie wygląda na osobnika torującego drogę bolszewizmowi!

W niemieckim pojęciu Carlo Schmidt jest błyskotliwym zjawiskiem. W Paryżu nikt by na niego nie zwrócił uwagi. We francuskiej izbie deputowanych takich Schmidtów można by znaleźć setkami. Schmidt — matka jego była Francuzką pochodzącą z południowej Francji — jest typem francuskiego parlamentarzysty, dowcipny, o pobudliwym charakterze, nieco lekkomyślny, gdy trzeba ostrożny i czujny. Gdy odgrzebuje wspomnienia, ozdabia swe opowiadania w trafne powiedzonka, które mu znacznie później przyszły na myśl. J ednym słowem — jest to człowiek, z którym się przyjemnie rozmawia. Czego mu natomiast brak, to powagi.

58-letni ERICH OLLENHAUER, przywódca partii socjal-demokratycznej. SPD, z ramienia której Carlo Schmidt ma kandydować na prezydenta.

Sowiecka pułapka

Carlo Schmidt był niedawno w Moskwie. Dyskutował on tam z Nikitą Chruszczowem nad planem, który Kreml puścił w świat przez Adama Rapackiego, oraz nad innymi planami „disengagement". Dla każdego, kto umie liczyć do pięciu, jest jasne, że koncepcja „disengagement" jest sowiecką pułapką. Kreml wie dobrze, że rządy komunistyczne w Warszawie, Pradze i Budapeszcie mogą się tam ostać tylko tak długo, jak długo wojska sowieckie przebywają w tych krajach lub mogą im zagrozić wkroczeniem. Rozumie się samo przez się, a Chruszczow to bez ogródek potwierdził, że Moskwa nie dopuści do upadku tych rządów. Jeżeli więc bolszewicy mówią o „odangażowaniu się" to czynią to w założeniu, że armia czerwona wkroczy natychmiast na opuszczone przez się tereny w wypadku zachwiania się tam komunistycznych reżymów.

Dla Niemieckiej Republiki Związkowej ma to decydujące znaczenie.

Dr Robert Ingrim, z urodzenia wiedeńczyk, jest obecnie naturalizowanym Amerykaninem. W swej pracy politycznej i publicystycznej od wielu lat interesuje się zagadnieniami polskimi i uchodzi w Niemczech za jednego ze współtwórców koncepcji kondominium polsko-niemieckiego.

Wywody dr Ingrima zasługują na szczególną uwagę ze względu na jego bliskie stosunki ze sferami miarodajnymi w Bonn, a przede wszystkim z otoczeniem kanclerza Adenauera. Tezy artykułu reprezentują, rzecz prosta, poglądy autora, nie „Tygodnia Polskiego", który ze wszech miar interesujące wywody dr Ingrina ogłasza wyłącznie dla celów informacyjnych.

kolwiek zrobić to dla Niemiec, jeśli nie zrobiła tego dla Polski?

Te krótkie rozważania wskazują, że zastąpienie dotychczasowego sojuszu NATO przez gwarancję neutralności byłoby dla Niemieckiej Republiki Związkowej równoważne z utratą bezpieczeństwa. Sojusz jest czynnikiem bardziej konkretnym od jednostronnej gwarancji, gdyż tworzy silniejszą więź moralną, a poza tym jest oczywiste, że kraje jak Niemcy i Polska nie mogą być bronione bez czynnego udziału własnych synów.

Przedstawiciele odrodzonych niemieckich sił zbrojnych składają życzenia kanclerzowi Adenauerowi. Jeśli Adenauer zostanie prezydentem — mur oddzielający siedzibę prezydenta republiki od urzędu kanclerskiego zostanie zburzony. Konrad Adenauer obejmie pełną władzę.

Przyjmijmy, że wszystkie obce wojska wycofują się z Niemiec Zachodnich, z sowieckiej strefy Niemiec i z Polski. Powstałby w ten sposób duży zneutralizowany obszar oraz związanie Polski i Niemiec wspólnym losem w jak najbardziej ścisłym tego słowa znaczeniu. Przyjmijmy dalej, że rząd Gomułki znalazł się w niebezpieczeństwie.

Armia czerwona zjawiłaby się natychmiast w Polsce z powrotem. Byłoby to. oczywiście, złamaniem przez Sowiety umowy i Ameryka, jako państwo gwarantujące, musiałaby interweniować. Aby przeszkodzić powrotowi armii czerwonej na ziemie, gdzie jeszcze tak niedawno przebywała, musiałaby Ameryka pójść na wielką wojnę atomową. Mam poważne wątpliwości, czy Ameryka by się na to zdecydowała. Ale gdyby się zdecydowała, to czy mogłaby kiedy-

Rozstrzygałby Chruszczow

Po powrocie z Moskwy Schmidt podzielił się swymi wrażeniami na konferencji prasowej. Na zapytanie: „Czy przy „disengagement" armia czerwona wróciłaby do Warszawy lub Pankow, gdyby tamtejsze reżymy były zagrożone?"

Schmidt odpowiedział:

„Chruszczow powiedział mi, że armia czerwona wróciłaby, gdyby zagrożenie reżymów nastąpiło na skutek interwencji z zagranicy." A na pytanie „ktoby decydował, czy zachodzi interwencja z zagranicy?" padła odpowiedź: „Sam Chruszczow!"

Niebezpieczny plan

Przestrogi przed wszelkimi koncepcjami „disengagement" znalazły w ten sposób pełne potwierdzenie. Mimo to już po 24 godzinach nastąpiło coś, co jest nie do pojęcia. Partia SPD ogłosiła z podpisem Carlo Schmidta tak zwany Plan Niemiecki, plan bezwarunkowego podporządkowania się, po którym chyba Chruszczow radośnie zawołał, gdy go przeczytał: „z SPD mógłbym się porozumieć, gdyby ta partia zamiast Adenauera zasiadła do stołu rokowań".

W tym planie nie tylko uznaje się strefę sowiecką za drugie państwo niemieckie, ale proponuje się powołanie „przedparlamentu", w którym komunistyczni władcy 17 milionów niewolnych Niemców mają mieć taką samą ilość przedstawicieli, co 54 milionów wolnych Niemców Republiki Związkowej. Przyjmuje się w nim plan Rapackiego, z włączeniem co prawda Węgier i wyraża się zgodę na to, by siły narodowe obszaru neutralnego, to jest Niemiec, Polski, Czech, Słowacji i Węgier nie posiadały nowożytnej broni.

Byłaby to stuprocentowa kapitulacja. Biorąc pod uwagę, że czerwona armia jest w pełni wyposażona w najlepsze bronie jądrowe, trzeba przyjąć, że słły zbrojne niemieckie, polskie i inne, nie posiadające takiego uzbrojenia, nie miałyby nawet możności ucieczki. Nie pozostawałobyim nic innego jak siąść i czekać aż nastąpi wywiezienie na Syberię.

A teraz wyobraźmy sobie człowieka, proponującego taki plan, na stanowisku prezydenta republiki. Może inaczej patrzyłby wtedy na sytuację, ale bardziej prawdopodobnym by było, iż starałby się obecne swe myśli realizować i w tym celu partii swej ułatwić udział w wykonywaniu władzy państwowej.

Takie możliwości otworzyłyby się dla prezydenta Schmidta, gdyby kanclerzowi Adenauerowi coś się przytrafiło, a w każdym razie po wyborach w 1961.

W obu tych wypadkach prezydentowi przysługiwałoby prawo zaproponowania parlamentowi nowego kanclerza. Można być pewnym, że wybór Schmidta padłby wówczas na kogoś z lewego skrzydła CDU, na przykład na Eugeniusza Gerstenmaiera który by, wbrew większości CDU i społeczeństwa niemieckiego, utworzył z SPD większość parlamentarną i rządową.

83-letni kanclerz, w zawadiackim kapelusiku, spędza wakacje we Włoszech, wypoczywając przed kampanią wyborczą.

Etzel, Strauss kolejnymi kanclerzami

W ten sposób twórcy planu niemieckiego SPD weszliby, mimo nieuniknionej klęski wyborczej, jako ministrowie do rządu związkowego. Doszłoby wtedy natychmiast do „zjednoczenia", ale na warunkach rosyjskich z r. 1945. Linia Odry i Nysy stałaby się wówczas cienką przegrodą w wielkim więzieniu.

(Adenauer nazwał kiedyś Polaków narodem wschodnim o zachodniej kulturze. Niemcy nie mogliby pozostać narodem zachodnim przyjąwszy wschodnią kulturę.)

Do tej katastrofy nie dojdzie. Adenauer, jako prezydent, wprowadzi na urząd kanclerza człowieka, który trzymać się będzie jego linii politycznej — przypuszczalnie oddanego mu wiernie obecnego ministra finansów Franciszka Etzela. Następnym po nim kanclerzem będzie prawdopodobnie F. J. Strauss, jedyny obok Adenauera pełnokrwisty polityk w parlamencie. Zapewni to ciągłość polityki sojuszów i obrony, któa dając Republice Związkowej bezpieczeństwo pozwoli żywić nadzieje na oswobodzenie Europy wschodniej.

Pałac Schaumburg, siedziba kanclerza, posiada większy ogród niż willa Hammerstein, siedziba prezydenta. Oba te ogrody stykają się. Wystarczy zburzyć mur, by powiększyć ogród willi Hammerstein. Jest to symbol. Prezydent Teodor Heuss korzystał z uprawnień nadanych mu przez konstytucję bardzo oględnie. Odpowiadało to jego naturze. Adenauer nie będzie de Gaulle'm, ale będzie współrządził w ramach konstytucji w sposób odpowiadający swej osobowości.

Nie będzie malowanym prezydentem

W przeciwieństwie do Heussa, będzie korzystał z przyznanego mu prawa brania udziału w posiedzeniach gabinetu, bądź osobiście, bądź za pośrednictwem mocnego człowieka: sekretarza stanu Hansa Globke, którego weźmie ze sobą do willi Hammerstein. Willi tej strzeże obecnie policja Północnej Nadrenii i Westfalii. Gdy zamieszka Adenauer, wartę trzymać będą żołnierze Bundeswehry, prawdopodobnie na koniach. Państwo, reprezentowane przez Adenauera, nie będzie na nikim więcej robiło wrażenia państwa tymczasowego.

Uwolniony od drobnych kłopotów administracji wewnętrznej, będzie mógł Adenauer poświęcić się bardziej niż dotychczas polityce zagranicznej. Wespół z nowym kanclerzem będzie pielęgnował sojusze, wzmacniał front obronny Zachodu, torował drogę do wyzwolenia zrabowanych przez Rosjan prowincji wschodnich i do odbudowy Europy. Nie można dopuścić do tego, by Polska została pochłonięta przez Azję.

SPD może się szczycić, że przez wysunięcie kandydatury Schmidta wysadziła Adenauera z kanclerstwa. Wkrótce się jednak przekona, iż mało ma powodu do radości. Nad polityką niemiecką i międzynarodową wisiała niepewność: co się stanie po Adenauerze? Niepewność ta teraz znikła. Wszystko pozostaje po staremu.

Dr. Robert Ingrim

63-letni CARLO SCHMIDT, którego kandydaturę na prezydenta Republiki Związkowej przeciwstawia opozycja Adenauerowi. „W Nimczech Schmidt jest błyskotliwym zjawiskiem — w Paryżu nikt nie zwróciłby na niego uwagi" — pisze autor artykułu, zapalony zwolennik Adenauera.

Co słychać we FRANCJI?

Zjazd kupców i rzemieślników

W Bruay w północnej Francji odbył się doroczny walny zjazd Związku Polskich Kupców i Rzemieślników, który zgromadził przeszło 60 delegatów zorganizowanego kupiectwa i rzemiosła polskiego we Francji.

Po Mszy św., obrady rozpoczęły się w sali polskiej „Paloma". Prezes p. Jasiński przedstawił sprawozdanie za ubiegły rok, podkreślając fakt odnawiania się kadr Związku szczególnie na terenie Francji północnej. Młody architekt z Lille, Janusz Deryng, omówił problem szkolenia zawodowego młodzieży.

Przewodniczvcym zjazdu został p. Marchewka,

Ze sprawozdania sekretarza generalnego, p. Wojciechowskiego, dowiedzieliśmy się o pracach Związku za miniony okres kadencji zarządu oraz o konieczności przeprowadzenia reorganizacji niektórych okręgów jak i o palącym problemie nauczania zawodowego młodzieży kupieckiej i rzemieślniczej.

Ze sprawozdania skarbnika p. Dziwoki wynika, że w kasie jest blisko pół miliona franków, z czego Związek jest bardzo dumny.

Dłuższe przemówienie wygłosił prezes Izby Rzemieślniczej z północnej Francji, Francuz Mr. Lecuyer, który m.in. powiadomił zebranych, że rząd francuski przyrzekł pomoc w celu fachowego nauczania młodzieży kupieckiej, oraz że rząd daje poważne pożyczki dla rzemieślników na unowocześnienie warsztatów pracy. Lecuyer, który był w roku ubiegłym oficjalnym gościem polskich Izb Rzemieślniczych w Warszawie, opowiedział też o kontaktach jakie nawiązał z rzemiosłem polskim.

Komisja rewizyjna w osobach pp. Przybylaka, Głydy i Kurczewskiego zgłosiła wniosek o udzielenie ustępującemu zarządowi absolutorium. Wniosek przeszedł jednogłośnie.

Zjazd powołał nowy zarząd Związku w następującym składzie: prezes p. Jasiński (ponownie), sekretarz generalny p. Wojciechowski (ponownie), skarbnik p. Dziwoki (ponownie), wiceprezesami zostali pp.: Babczyński, Szopa, Krzyżaniak, Kupczyk, Krawczyk i Zwoliński, sekretarzem technicznym obrano p. Pietrusiaka a na zastępców powołano pp.: Pałkę, Pawłowskiego i Chudykę, do komisji rewizyjnej weszli pp.: Przybylak, Sobecki, Głyda i Wesołek.

Nowy zarząd postanowił m.in. wysłać pismo z wyrazami sympatii do prezesa honorowego Związku Kupców Polskich w Anglii, p. Jóźwiaka.

Na zakończenie zjazd uchwalił rezolucję ideową.

Teatr polski w Paryżu

W programie Teatru Narodów (Theatre des Nations) występował w Paryżu przez dwa dni balet Opery Warszawskiej z „Mazepą" Szeligowskiego, w opracowaniu choreograficznym Miszczyka, oraz przez dwa następne dni — Teatr Dramatyczny z Warszawy, który wystawił „Parady" Jana Potockiego.

Balet był zupełnym fiaskiem. Na premierę przyszło wielu Francuzów ze świata artystycznego specjalnie zaproszonych przez ambasadę. Wieczorem przed teatrem „Sarah Bernard" stała długa kolejka tych, którzy zaproszeń nie mieli a chcieli zobaczyć tancerzy. Byli wśród nich przede wszystkim Francuzi, którzy — jak sami mówili — „oczarowani „Śląskiem" i „Mazowszem" chcieli jeszcze raz zobaczyć tańce polskie". W rezultacie teatr był wypełniony do ostatniego miejsca.

Ale już po pierwszej scenie zrobiło się luźniej, wkrótce stojący mogli usiąść na opustoszałych fotelach, po przerwie na parterze można było nie tylko siedzieć, ale wprost... leżeć, a przed ostatnim występem zrobiły się w teatrze pustki.

Najbardziej przykry moment nastąpił, kiedy ktoś ironicnie krzyknął: „Brawo", a cała sala wybuchnęła śmiechem.

Honor Polaków uratował świetny tancerz Stanisław Szymański. Wszyscy krytycy francuscy jednogłośnie uznali wielki talent i wspaniałą technikę tego młodego tancerza. Muzyka i choreografia natomiast została określona jako „nieistniejąca".

Cała prasa francuska poświęciła zresztą baletowi mało miejsca. Przepraszam — nie cała. Komunistyczna „L'Humanite" pisała dużo i balet bardzo chwaliła.

„Figaro" zamieścił złośliwą notatkę, stwierdzając, że: „o ile przed przedstawieniem odbył się prawdziwy szturm na teatr, pod koniec oklaskiwały balet tylko resztki Polonii paryskiej".

„Parady" były większym sukcesem, chociaż i tego występu nie można uznać za triumf. Jan Potocki napisał „Parady" po francusku w roku 1792 a „odkryto" je i przetłumaczono dopiero w roku 1953. „Parady" składają się z sześciu pojedyńczych obrazów, w których przedstawione są perypetie Kasandra, Gila i Zerzabelli.

Mimo, że jest to komedia, sala rzadko wybuchała śmiechem. Najwięcej słyszeliśmy go w ostatnim akcie kiedy oglądaliśmy Kasandrę w roli demokraty. Śmiały się do rozpuku osobne grupki widzów tu i ówdzie z lożą ambasadorską na czele. Jak się dowiedzieliśmy, śmiano się dlatego, że Jerzy Magórski w roli Kasandry-demokraty, przemawiał jak Gomułka!

Mietas

FREGATA

NA KREDYT!

● SPROWADZANIE RODZIN
● WYJAZDY ZA GRANICĘ
● WAKACJE W POLSCE
I PIĘCIU INNYCH KRAJACH EUROPY

POLSKIE MIĘDZYNARODOWE BIURO PODRÓŻY

FREGATA

122 WARDOUR STREET, LONDON W.1., TEL. REG 5101

WAŻNE DLA LONDYŃCZYKÓW! Biuro Fregaty przy

7 CROMWELL ROAD, LONDON S.W.7., TEL. KNI 0461

OTWARTE JEST W SOBOTY DO GODZ. 4 PO POŁUDNIU

ST. ZJEDN. 509 FIFTH AVENUE, NEW YORK

11186

WYZWOLENIE WILNA — 40 lat

W pierwszych dniach kwietnia 1919 polski front wschodni drgnął i posunął się naprzód, osiągając linię Niemen — Szczara — Kanał Ogińskiego — Jasiołda — Pińsk, na której musiał się zatrzymać ze względu na brak rezerw. Bolszewicy trzymają: Poniewież, Wilno, Lidę, Słonim, Janów i Sarny.

W tej sytuacji zostaje zdecydowana „Wyprawa Wileńska", której termin jest wyznaczony na połowę kwietnia 1919 r. Bez wątpienia w decyzji tej odegrały rolę również pobudki osobiste i sentyment jaki Józef Piłsudski miał dla swego „miłego miasta".

Naczelny Wódz zamierzał uderzeniem na Lidę, Nowogródek i Baranowicze, odrzucić nieprzyjaciela na wschód i przez powstałą w ten sposób wyrwę uchwycić Wilno kawalerią, a tę następnie wesprzeć piechotą.

Operacja „uchwycenia Wilna", mająca charakter czysto zagonowy, zostaje powierzona ppłk. Belinie-Prażmowskiemu.

W skład jego brygady wchodzą: 1 pułk szwoleżerów mjr. Dreszera, 11 p. ułanów mjr. Zaruskiego, Dyon 4 P. Ułanów rtm. M. Nowickiego, jeden szwadron 7 p. ułanów, Szwadron Kujawski rtm. Bzowskiego i pół baterii artylerii konnej pod dowództwem por. S. Kopańskiego.

W sumie było 9 szwadronów kawalerii i pluton artylerii, których stan bojowy łącznie wynosił: 53 oficerów, 789 ułanów, 9 karabinów maszynowych i 2 działa.

Amunicji było zaledwie po sto kilkanaście naboi na karabin ręczny i po niespełna 1000 naboi na karabin maszynowy oraz po 60 pocisków na działo.

Zadanie wsparcia kawalerii i utrzymania miasta przypadło gen. Śmigłemu, który do swojej dyspozycji dostaje 6 batalionów piechoty z nowosformowanej 1. dyw. piech. Leg. i dwie baterie artylerii lekkiej. Reszta dywizji ma dołączyć później.

Oddziały przeznaczone do akcji wileńskiej ładują się w dniach 10-13 kwietnia w Warszawie, skąd via Siedlce — Wołkowysk — Mosty odjeżdżają do st. kol. Skrzybowce, będącej stacją wyładowczą. Jako jeden z ostatnich do transportu dołącza pociąg Naczelnego Wodza.

O świcie, 16 kwietnia, rusza nasze natarcie na wschodnim froncie. Gen. Szeptycki uderza na Baranowicze i Nowogródek, gen. Lasocki na Lidę, a jednocześnie rusza na północ brygada Beliny, a w dwie godziny za nią podąża piechota Śmigłego.

Strzały budzą Wilno

Wstaje jasny, słoneczny dzień 19 kwietnia. Wielka Sobota.

Wtem od strony dworca kolejowego zaterkotał karabin maszynowy, odpowiedział mu drugi.

Rozległy się strzały na dworcu.

Mjr. Dreszer ze swoim pułkiem szwoleżerów wpada poprzez Ostrą Bramę na ul. Wielką i posuwając się w dół chce wyjść na plac Katedralny. Spotyka się on z bardzo silnym ogniem karabinów maszynowych i zajmuje jedynie gmach późniejszego urzędu wojewódzkiego i część ogrodu tzw. Cielętnik. Szwoleżerowie ostrzeliwują się gęsto, jednak wobec przeważającego ognia bolszewickiego nie mogą ruszyć naprzód.

Zdobycie dworca

Wkrótce lotem błyskawicy obiegła wieść, że Polskie Wojsko zdobyło dworzec.

To szwadrony 4 pułku ułanów z rtm. M. Nowickim zajęły wiadukt kolejowy oraz zaatakowały pociąg, stojący pod parą i załadowany bolszewikami.

Wywiązała się walka o dworzec, który ostatecznie został zajęty o godz. piątej, a w półtorej godziny potem, dzięki sprawności kolejarzy wileńskich, odjechał pociąg do Bieniakoń po oddziały piechoty gen. Śmigłego.

Cenna zdobycz wpadła w ręce ułanów. Było tam, między innymi: 13 lokomotyw, 500 wagonów, wspaniale urządzony pociąg sanitarny (podobno fundacji carowej), pociąg z amunicją, nie licząc broni ręcznej, maszynowej i kas.

Rtm. Nowicki zostaje komendantem dworca i obsadza go swym liczebnie słabym szwadronem, zaś mjr. Zaruski z resztą pułku posuwa się w głąb miasta i dochodzi do ul. Niemieckiej i Trockiej, gdzie zostaje zatrzymany silnym ogniem przez bolszewików. 11 pułk ułanów tkwi tam i zaczyna się żmudna walka uliczna.

Oszukani bolszewicy

Bolszewicy są całkowicie zaskoczeni, o czym świadczy dość zabawne qui pro quo, które tak opisuje rtm. Nowicki:

„O godz. 12.00 bolszewicy z Nowo-Święcian proszą do aparatu komendanta dworca. Pytają się co słychać w Wilnie i czy daleko „białogwardyjskie" bandy?

Około Woronowa (40 wiorst) — odpowiadam. Uspokoili się.

Za godzinę telefon. Bolszewicy trwożnie już pytają się o polskie wojsko. Odpowiadam, że patrol białogwardziejców pokazał się niedaleko Wilna, ale został ostrzelany i znikł. Na to brzmi odpowiedź, że na wszelki wypadek bolszewicy z N. Święcian wysyłają eszelon piechoty.

Niezwłocznie zawiadamiam o tym ppłk. Belinę, który wysłał patrol w celu wysadzenia toru kolejowego.

O godz. 17.00 bolszewicy znowu zatelefonowali, ale już było znać, że są bardzo zaniepokojeni tym, co się dzieje w Wilnie, a do mnie odnosili się z niedowierzaniem. Toteż kiedy przyszedłem do telefonu, zaczęli mnie egzaminować i wypytywać o nazwisko komendanta dworca i miasta, dowódcy dywizji itd., na co przy pomocy telefonistów i telegrafistów jak mogłem odpowiadałem, lecz kiedy poczułem, że mogę zaplątać się — udałem, że telefon się zepsuł.

Gdy do stacji zbliżał się pociąg z naszą piechotą, bolszewicy znowu zatelefonowali i szyderczo zapytali:

— Czto wy, tawariszcz, putajetieś? Uż nie biełogwardziejec li-wy?

Odpowiedziałem: — Wy ugadali. Gawarit kamandir eskadrona 4 ułanskowo połka. Wilno w rukach Palakow

I położyłem słuchawkę...

Artyleria w akcji

Bolszewicy, których dość znaczne siły stały w rejonie Wilna, szybko zorientowali się z jak słabym liczebnie nieprzyjacielem mają do czynienia, opanowali pierwotną panikę i stawiali twardy opór, przechodząc miejscami do przeciwuderzeń.

Wtem rozlega się kilka strzałów artyleryjskich, które elektryzują miasto. To pluton artylerii konnej pod dowództwem por. S. Kopańskiego, zająwszy stanowisko przy zbiegu traktów Oszmiańskiego i Lidzkiego, ostrzeliwuje wycofujące się ul. Wiłkomierską bolszewickie tabory.

Szwoleżerowie mając duże trudności na placu Katedralnym żądają ognia artylerii. Dowódca artylerii może pomóc jedynie strzelając na wprost, wobec czego por. Kopański z jednym działonem dołącza do mjr. Dreszera.

Na wysokości zaułka Bernardyńskiego wyprzęga konie i działo zostaje podtoczone okrężną drogą, rękami obsługi pod Willę Podzamcze (późniejszy Inspektorat Armii) i ogniem bezpośrednim zmusza karabin maszynowy do milczenia. Szwoleżerowie oddychają z ulgą.

Ludność pomaga

Na odgłos walki Wilno „mobilizuje się" Każdy biegnie, by chociaż spojrzeć na polskiego żołnierza, dotknąć go ręką, pogłaskać ułańskiego konia. Powoli organizuje się pomoc walczącym oddziałom.

Kolejarze tworzą straż kolejową i obsadzając obiekty na dworcu oraz pilnując jeńców pomagają rotmistrzowi Nowickiemu w utrzymywaniu węzła kolejowego.

Robotnicy z chrześcijańskich związków zawodowych uzbrajają się w zdobyczne karabiny i dołączają do walczących oddziałów.

NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI

To samo czynią b. peowiacy, harcerze i uczniowie.

Lekarze wileńscy organizują punkty opatrunkowe. Kobiety dzielą się z żołnierzem ostatnim kawałkiem chleba, który może miał być podstawą święconego ich dzieci w dniu jutrzejszym.

Nie zważając na strzały donoszą wodę i strawę walczącym w pierwszej linii żołnierzom.

Kolejarze zdali egzamin

Niewiele to pomaga, żołnierz jest wyczerpany nocnym marszem i całodzienną walką, a na domiar złego ładownice poczynają świecić pustkami. Brakuje amunicji. Dowództwo Brygady, jak mówi mjr. Piskor, szef sztabu brygady, „jest pogrążone w czarnych rozmyślaniach". Zwolna zapada zmrok.

Radosna wieść! Piechota przybyła.

To III batalion 1. pp. Leg. pod dowództwem kpt. Langnera, w sile około 1000 ludzi, zajeżdża umajonym pociągiem przy dźwiękach Mazurka Dąbrowskiego na peron dworca wileńskiego. Kolejarze wileńscy zdali egzamin.

Noc z 19 na 20 kwietnia mija na wymianie pojedyńczych strzałów. Nadchodzi niedziela — pierwsze święto wielkanocne.

Nad ranem o godz. szóstej nadjeżdża dalsze wzmocnienie dla piechoty.

Oddziały nasze rozpoczynają walkę, zdobywając systematycznie jedną ulicę po drugiej.

Plac Katedralny zajęty. Śródmieście częściowo oczyszczone od bolszewików, trzymają oni jednak silnie prawy brzeg Wilii i oba mosty. Próby zdobycia „Zielonego Mostu" kończą się niepowodzeniem i stratami.

Bohaterscy artylerzyści

Przybywa z pomocą znów działon artylerii z por. Kopańskim. Konie zostają wyprzęgnięte na placu Katedralnym, a obsługa toczy działo wzdłuż całej długości ul. Mickiewicza (ówczesnej ul. Świętojerskiej) aż do wylotu ul. Mostowej. Cała trasa jest gęsto ostrzeliwana z przeciwległego brzegu rzeki.

Obsługa kryje się za tarczą działa, jednak ponosi straty.

Miejsce rannych kanonierów zajmują oficerowie: por. Kopański — celowniczego, ppor. Józefowicz — zamkowego. Działo oddaje kilka strzałów na przeciwległy brzeg rzeki i niszczy narożną wieżyczkę jednego z domów (który przez dłuższy czas po wojnie świecił szczerbą) zmuszając nieprzyjacielski K.M. do milczenia.

Por. Kopański traci oko, zaś ppor.

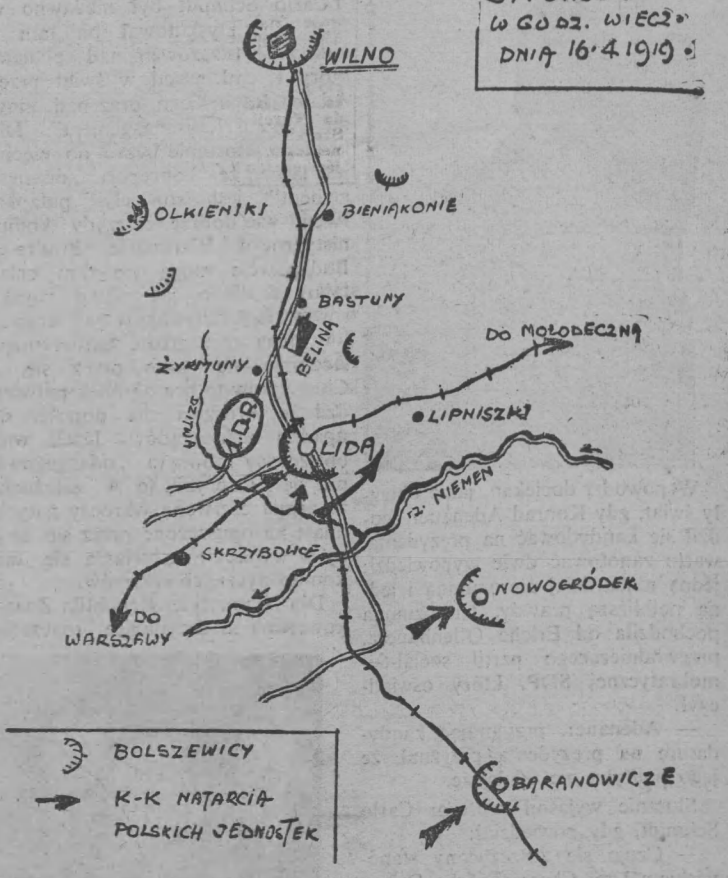

OSTRA BRAMA

Daleko z Anglii do kraju Mickiewicza, nie można tam podróżować ani zbierać materiałów do studiów naukowych, a jednak właśnie w Anglii ukazują się kolejne tomy „Alma Mater Vilnensis" poświęcone historii i kulturze tych ziem. Autorami rozpraw i wspomnień, które są nierównej wartości, ale niewątpliwie będą uważnie czytane przez następne generacje badaczy, są prawie wyłącznie Polacy. W jednym z tomów ukazała się jednak praca pisarza litewskiego, gdyż do programowych założeń wydawców, t.j. Społeczności Akademickiej Uniwersytetu Stefana Batorego należy uwzględnienie historii i kultury Litwinów i Białorusinów.

Mickiewicz pochodził z Dymitrów?

W dwóch ostatnich tomach przeciętnego czytelnika najbardziej zaciekawi rozprawa prof. W. Wielhorskiego o narodowości Mickiewicza. Że nasz wieszcz, chociaż swój największy poemat rozpoczął od słów „Litwo! Ojczyzno moja", wcale nie był „Litwinem" w takim znaczeniu, jakie temu słowu nadali politycy kowieńscy z naszego stulecia, to dla nas było zawsze jasne. Ale znajdujemy teraz nowe szczegóły o pochodzeniu rodu Mickiewiczów i dokładną analizę pojęcia narodu w pismach poety.

Otóż według prof. Baudouin de Courtenay-Jędrzejewiczowej nazwisko pochodzi od imienia Dymitr, którego pieszczotliwa forma na Rusi Litewskiej brzmiała „Mićka". Aż do naszych czasów lud wymawiał nazwisko nie „Mickiewicz", lecz „Mićkiewicz". Koło Nowogródka istnieje miejscowość Mickiewicze, lecz najliczniejszym siedliskiem rodu był zaścianek Horbatowicze.

Mickiewicze pochodzili „najprawdopodobniej", jak się wyraża autor, z ruskich, prawosławnych drobnych bojarów. Ale w żyłach wieszcza płynęła krew mieszana. Matka jego ojca była z domu Pękalska, a to była rodzina polskiego pochodzenia. Matka poety, Barbara z Majewskich, też pochodziła ze szlachty zagrodowej. Nie znaleziono żadnych dowodów, które by potwierdzały pogłoskę o semickich przodkach wieszcza.

Litwa i Korona, razem — Polska

Bardzo słuszne są wywody prof. Wielhorskiego o dwustopniowym poczuciu przynależności narodowej. Można być Szkotem, można Szkocję nazywać swoją ojczyzną, a jednocześnie uważać się za Brytyjczyka. Dla Mickiewicza Litwa była pojęciem węższym. Polska natomiast to cała Rzeczpospolita, z wszystkimi jej ludami. A więc Polakami byli Żmudzini i Białorusini, nawet Jankiel z Soplicowa „miał sławę dobrego Polaka", jak czytamy w „Panu Tadeuszu".

Tenże Jankiel szczególnie polubił pieśni narodowe i przywoził ich „naostwo z każdej za Niemen wyprawy, kołomyjek z Halicza, mazurów z Warszawy". A więc dla Mickiewicza pieśni litewskie, ruskie, mazurskie — wszystko to były pieśni narodowe, bo jak zauważa prof. Wielhorski: „Rzeczpospolitą, jako całość — poczęto nazywać już w 17 wieku w życiu potocznym krótko: „Polską".

Młode pokolenie polskie już nie bardzo rozumie, jak silnie dawna, historyczna Litwa była zrośnięta z Polską i nie umie wczuć się w psychikę ludzi, którzy głosili na Wileńszczyźnie ideologię „krajową". Ale są jeszcze tacy w starszym pokoleniu. Przed r. 1939 nazywano ich zwykle „krajowcami". O ich poglądach i przeżyciach można dużo się dowiedzieć ze wspomnień prof. Zygmunta Jundziłła, które przygotował do druku i uzupełnił obszernym „posłowiem" K. Okulicz.

Grupa kierownicza zbierała się podczas pierwszej wojny światowej w Wilnie pod przewodnictwem adw. W. Abramowicza. Wśród wybitnych jej członków prof. Jundziłł wymienia adw. B. Krzyżanowskiego, Jana Piłsudskiego (późniejszego ministra skarbu) i L. Chomińskiego.

Do tej grupy należało jeszcze co najmniej kilkanaście osób, a sympatyzowało z nią i pod niektórymi względami bardzo się zbliżało jeszcze kilkudziesięciu Polaków, głównie z kół ziemiańskich. Pokolenie, które wtedy w okresie pierwszej wojny światowej uważane było za młodsze, też wydało szereg krajowców. Oto parę nazwisk: M. Kościałkowski, późniejszy premier, prof. Świechowski, min. Staniewicz, red. Okulicz. Prof. Jundziłł zaznacza w swych wspomnieniach:

„U szczytu tej piramidy, gdzieś daleko i wysoko, stał przez dłuższy czas Józef Piłsudski, a obok niego Aleksander Prystor".

A więc ludzie z tej grupy lub do niej zbliżeni wywarli duży wpływ na losy Polski niepodległej. Nie bez racji mówiono koło r. 1930, że Polską rządzą Wilnianie.

Rozczarowania „krajowców"

Życie przyniosło tym „krajowcom" mnóstwo rozczarowań. Młody nacjonalizm litewski głosił nie współżycie, lecz odseperowanie się od Polski. Drapieżny imperializm sowiecki zagarnął największą część obszarów językowo białoruskich i zaczął sam organizować sowieckie „państwo białoruskie". Program federacyjny zbankrutował. Co więcej, po roku 1919 nastąpiło dalsze zaostrzenie stosunków polsko-litewskich. Prof. Jundziłł zauważa, że znaczna część winy leży po stronie polskiej.

Rzecz ciekawa, iż ci „krajowcy" wileńscy nie umieli się zdobyć nie tylko na konkretne wskazania, co w każdej sytuacji, od roku 1919 do roku 1939, robić należało, ale nawet na wyraźne odżegnanie się od tych fragmentów polityki polskiej, które dziś po wielu latach, uważają za błędne i niesłuszne. Co gorzej, niektórzy z nich pomagali na pewnych odcinkach w urzeczywistnieniu tej właśnie, dziś krytykowanej, polityki.

Z nieznanych szerszemu ogółowi szczegółów, ujawnionych w pamiętnikach prof. Jundziłła, warto przytoczyć dwa. W marcu 1938 r. o stanowisko pierwszego posła polskiego w Kownie ubiegał się były premier Kościałkowski, a w październiku 1939 r., już po katastrofie Polski, odbywały się w Kownie rozmowy polsko-litewskie z udziałem b. premiera Prystora.

Prace prof. S. Kościałkowskiego

W tym samym niedawno wydanym tomie „Alma Mater Vilnensis" mamy jeszcze prace prof. Courtenay-Jędrzejewiczowej o ciągłości i przemianach w kulturze, ks. Meysztowicza o podróży św. Brunona na Litwę, prof. Folejewskiego i innych.

Ale największa jest rozprawa prof. S. Kościałkowskiego, który jest w dziedzinie naukowej filarem „Społeczności Akademickiej Uniw. Stefana Batorego". Gdy w r. 1956 obchodzono na emigracji 50-lecie jego pracy naukowej (bodaj że z 2-letnim opóźnieniem), to wypełniono prawie cały tom wydawnictwa jego nowymi rozprawami z najróżniejszych dziedzin. Dają one pojęcie o szerokości jego horyzontów i rozległości zainteresowań.

Pisał bowiem prof. Kościałkowski tu, na emigracji o „liberum veto", o Rzymie i Bizancjum w kulturze średniowiecza, o starożytnym Persepolis, o duszy Wschodu, ogłosił szkic o prof. M. Zdziechowskim, a z okazji „Roku Mickiewiczowskiego" dał bardzo interesujące porównanie Mickiewicza ze Słowackim, szczególnie ich twórczości oraz ideologii.

Ale największym dziełem niestrudzonego badacza była monografia o A. Tyzenhauzie, podskarbim nadwornym litewskim u schyłku dawnej Rzeczypospolitej.

W najnowszym tomie wydawnictwa prof. Kościałkowski dał studium o ugodzie w Hadziaczu. Jest to praca bardzo na czasie, bo w przyszłym miesiącu, 22 maja, upłynie dokładnie 300 lat od podpisania i zaprzysiężenia tej ugody na sejmie w Warszawie.

W ub. roku, we wrześniu, przypadała 300 rocznica zawarcia układu w Hadziaczu. Ale to, co wtedy z przywódcami Kozaków uzgodnili komisarze królewscy, kasztelan K. Bieniewski i kasztelan L. Jewłaszewski, mogło być przecież odrzucone przez sejm a nawet przez króla. Tę też datą ważniejszą wydaje się ów pamiętny dzień, kiedy po długich dyskusjach najwyżsi dostojnicy Rzeczypospolitej z królem na czele

DZIEJE ZIEMI MICKIEWICZA

B.D.I.C

temu

Józefowicz zostaje dwukrotnie postrzelony w stopę. Obaj oficerowie odchodzą na punkt opatrunkowy, a dowództwo obejmuje por. Sarnecki, który wkrótce jest również ranny.

Piechota opanowuje most i ściga uciekających bolszewików. Bitwa o Wilno zamiera. Jej pierwsza faza jest skończona.

Przybycie N. Wodza

W nocy o godz. drugiej dnia 21 kwietnia nadszedł z resztą dywizji gen. Śmigły, który przejął zadanie utrzymania miasta.

W drugie święto Wielkanocy, w późnych godzinach popołudniowych przyjechał do Wilna Józef Piłsudski, Wielki Syn tej Ziemi.

Całe miasto wyległo na trasę jego tryumfalnego wjazdu. Stalowa linia kompanii honorowej, prezentującej

ULANI POLSCY WYZWALAJĄ WILNO

broń na peronie dworca wileńskiego, pękła pod naporem tłumu.

Dźwięki Hymnu Narodowego zostały zagłuszone okrzykami „niech żyje", a żaden z dygnitarzy nie mógł wygłosić mowy powitalnej, bo ze wzruszenia słowa im grzęzły w gardle.

W. Chocianowicz

WARSZTATY DZIEWIARSKIE

które najbardziej polecamy:

PODWÓJNE:

„GIROTEX 400" £58.15.0
„TRICALETTE SUPER" (Columbia) £51. 0.0
„TRICOLETTE T2E" ... £46. 0.0
BUSCH £45.18.0

POJEDYNCZE:

„ASK" (Auto-Knitter) £22. 0.0

Powyższe ceny obejmują koszt dostawy do Gdyni lub stacji granicznej. Do każdej maszyny dostarczamy szczegółową instrukcję polską i niemiecką.

Największy Polski Dom Wysyłkowy

TAZAB & Co. Ltd.

TAZAB HOUSE
22, Roland Gardens, London S.W.7.
MANCHESTER. 47. Gt. Western St.
BIRMINGHAM. 63. Dale End.
10721

ZAPADA DECYZJA: Mikicińskiego trzeba usunąć

PODWÓJNE ŻYCIE AGENTA (3)

Samson Mikiciński, który pracuje w początkach wojny jednocześnie dla Polaków i Niemców przenosi swą bazę szpiegowską „bank" z Rumunii do Turcji skąd otwiera mu się możliwość działania na cały Bliski Wschód. Ale jednocześnie w Turcji otwiera swą filię bukareszteńska placówka polskiego wywiadu, któremu też zaczyna się robić w Rumunii zbyt gorąco. W ślad za Mikicińskim wyjeżdża do Turcji por. Szarkiewicz. Plan Szarkiewicza: zwabić Mikicińskiego z neutralnej Turcji do któregoś z krajów sprzymierzonych.

Była to szansa dla Szarkiewicza; dostać w swoje ręce personel „banku", gdy zjawi się on w Palestynie, a jednocześnie uprowadzić z Turcji Mikicińskiego.

Ustalono którym statkiem z portu Constanza personel „banku" odbędzie podróż do Haify.

Szarkiewicz wiedział, że w bagażach „banku" będzie sporo materiału kompromitującego, który może być ukryty po wylądowaniu. Nie można było do tego dopuścić. Dlatego też trzeba było zatrzymać bagaż jeszcze w porcie; oczywiście również i właścicieli bagażu.

PIERWSZY CIOS

17 września 1940 statek, którym podróżowali czterej bankowcy, przybił do portu w Haifie. Władze bezpieczeństwa zatrzymały ich w porcie z bagażem. Zatrzymanych przesłuchiwano prowizorycznie, a bagaż skontrolowano gruntownie.

W bagażu znaleziono, obok obfitego przemytu (morfina, kokaina, waluty, brylanty), również korespondencję, szyfry i notatki, związane z działalnością bankubazy.

Po rozpatrzeniu się w przejętym, obciążającym bankowców materiale, władze bezpieczeństwa zdecydowały, że do czasu „rozwiązania" sprawy Mikicińskiego, nie będzie wszczęte przeciw zatrzymanym dochodzenie za współpracę z nim. Jak dotąd bowiem Mikiciński był przecież pełnoprawnym przedstawicielem dyplomatycznym państwa neutralnego, dobrze notowanym nie tylko w sferach dyplomatycznych, ale ciągle jeszcze u niektórych władz polskich w Londynie. Ponadto połączenie zatrzymania bankowców z działalnością Mikicińskiego zaostrzyłoby jego czujność. Dlatego też jako powód zatrzymania bankowców w areszcie podano tylko przemyt walut i narkotyków.

NOWE PLANY PRZECIWNIKÓW

Aresztowanie bankowców było ciosem dla Mikicińskiego. Utracił nie tylko oparcie w Palestynie, ale zachodziła uzasadniona obawa, że pociągnie to za sobą zlikwidowanie całej sieci na Bliskim Wschodzie. Przejęcie bowiem korespondencji i zeznania bankowców mogły naprowadzić na ślad sieci i praca kilku miesięcy poszłaby na marne. Właściwie całą sieć trzeba było uznać za „spaloną", przynajmniej do czasu wyjaśnienia się rozmiarów wsypy.

Mikiciński słusznie mógł się poczuć zdruzgotany i osamotniony, gdyż nawet przyjazny dotąd ambasador niemiecki w Ankarze, von Pappen nie szczędził mu wymówek za brak przezorności i dopuszczenie do utraty tak zgranego zespołu.

„Nawet Camille uskarżała się na ten zwrot w stosunkach i nieżyczliwość ambasadora. Dotąd co jakiś czas otrzymywała po kilka butelek reńskiego wina ze skrzynek przesyłanych Mikicińskiemu w prezencie przez ambasadora. Teraz zaś skończyło się nie tylko wino dla niej, ale i Mikiciński był poszkodowany, bo zamiast doskonałych cygar od ambasadora musiał się zadowolić marnymi miejscowymi".

Zdany na własne siły Mikiciński musiał odrobić poniesione straty i założyć nowe placówki.

Szarkiewicz zaś po rozprawieniu się z bankowcami, co zabrało mu kilka tygodni czasu, całą energię rozwinął teraz dla pochwycenia dyrektora „banku" i zacieśniał wokół niego swoją sieć.

Przeciwstawne wysiłki obu przeciwników ześrodkowały się na jednym i tym samym człowieku. Przez niego Mikiciński zamierzał wypełnić luki w siatce wywiadowczej, spowodowane wsypą, a jednocześnie Szarkiewicz upatrzył go sobie jako przynętę dla zwabienia przeciwnika.

TAJEMNICZY X

Człowiekiem tym był podoficer „X".

X zwerbowany, a raczej podstawiony przez Szarkiewicza jeszcze w Rumunii, znalazł się w Stambule i miał być przez Mikicińskiego wysłany z zadaniami wywiadowczymi, jako zaczątek nowej sieci. W nim to Mikiciński pokładał swoje nadzieje.

Nad całą sprawą czuwał Szarkiewicz. Pouczał X-a jak ma postępować dla sprowadzenia Mikicińskiego w upatrzone miejsce. X miał przeciągać rozmowy i zgodzić się na ostateczne odprawienie go przez Mikicińskiego dopiero wówczas, gdy Szarkiewicz ukończy swoje przygotowania.

X, gdy zbliżał się termin jego wyjazdu, stał się oporny wobec Mikicińskiego. Powiedział mu, że zachowuje się niekonspiracyjnie, wzywając go za często na rozmowy do hotelu, gdzie kręci się wiele osób, na pewno również agentów. X domagał się zmiany miejsca spotkań.

Mikiciński uspokajał X-a i tłumaczył, że to zapewne jego wrażliwość nasuwa mu te podejrzenia. Obstawał przy utrzymaniu hotelu jako miejsca spotkań.

X był jednak nieustępliwy i zagroził, że zerwie z nim stosunki, jeżeli nie ustalą innego miejsca. Mikiciński zgodził się, by następne spotkania odbyły się w mieszkaniu X-a.

O to właśnie chodziło Szarkiewiczowi, gdyż mieszkanie to było przez niego wybrane i już przygotowane na przyjęcie Mikicińskiego. Trzeba tylko było by przywykł do niego, czuł się w nim dobrze, a mieszkanie spełni swoją rolę, gdy nadejdzie odpowiednia chwila.

POLICJA TURECKA

W miarę rozwijania swojego planu Szarkiewicz zrobił zgoła nieoczekiwane odkrycie, którym był niezwykle poruszony. Camille i ludzie jego, obserwujący Mikicińskiego stwierdzili, że jest on również pod ścisłą obserwacją tureckich organów bezpieczeństwa.

Mogło to pokrzyżować plany Szarkiewicza, a nawet uniemożliwić ich wykonanie. Trzeba było bowiem — wykonując plan — nie tylko zwalczyć przebiegłość Mikicińskiego, ale także obejść czujność policji tureckiej. Co, oczywiście, było już grą bardziej ryzykowną i mogło spowodować wsypę.

Ale dlaczego policja turecka interesowała się Mikicińskim?

Zwolna zagadka się wyjaśniła.

Zainteresowanie się policji tureckiej Mikicińskim nie było wcale spowodowane chęcią zapewnienia mu bezpieczeństwa i nie dla jego ochrony roztoczono nad nim obserwację.

Przeciwnie, były poszlaki, że Mikiciński wszedł w konflikt z prawem tureckim i chodziło o przyłapanie go na gorącym uczynku. Za zbyt wielu osobami, blisko z nim związanymi, zamknęły się w kilku krajach bramy więzienia. W tym czasie pojawiły się masowo na czarnej giełdzie w wielu krajach Bliskiego Wschodu fałszywe banknoty funtów szterlingów. Nici tej afery prowadziły m. in. również i do Mikicińskiego, jako jednego z jej organizatorów.

Z biegiem czasu policja turecka uporała się z tą aferą.

Kolpolterów zamknięto i przepłoszono. Stwierdzono, że inicjatywa wyszła z Berlina i stamtąd nadchodziły fałszywe banknoty.

Czy to dzięki swojej przebiegłości, czy też przez wzgląd władz tureckich na jego dyplomatyczny status, Mikiciński wyszedł z afery fałszerskiej obronną ręką. Obserwacje policji prawie ustały i Szarkiewicz nie potrzebował obawiać się już konkurencji. Pozostał sam na placu, tylko, że wykonanie planu nieco się opóźniło.

ZLECENIA PROF. KOTA

Zanim jednak można było dać sygnał do puszczenia planu w ruch jedna jeszcze okoliczność zaniepokoiła wykonawców.

Z końcem grudnia 1940 w jednym z polskich lokali urzędowych w Stambule, gdzie przewijało się sporo osób, znaleziono ciekawe notatki pisane ręcznie. Zapewne ktoś pozostawił je przez nieostrożność. Nie można było dojść kto jest ich właścicielem, a wzbudziły zaniepokojenie, gdyż jedna z notatek dotyczyła Mikicińskiego.

Notatnik zawierał ponadto poufne zlecenia do wykonania w różnych krajach w Egipcie, Palestynie, Turcji, Jugosławii i na Węgrzech. Zlecenia te były bardzo zagadkowe, wiele z nich o charakterze wywiadowczo-informacyjnym i personalnym, wzbudziły więc podejrzenie, toteż notatnik sfotografowano.

Okazało się później, że to kurier prof. Kota udający się z Londynu do Warszawy otrzymał te zlecenia od swojego mocodawcy i będąc w przejeździe przez Stambuł, pozostawił notatnik przez zapomnienie w tym biurze.

Notatnik zwrócono, oczywiście, właścicielowi, ale współpracownik Szarkiewicza zlecenia dotyczące Mikicińskiego, przekazał swojemu szefowi.

Zlecenie, pisane ręką prof Kota, brzmiało niepokojąco:

„Niech Mikiciński będzie w szyfrze nazywany Lis... list do niego niech p. Kurcjusz przeczyta i zgrabnie prześle"...

Kurcjusz był przedstawicielem prof. Kota na Bliskim Wschodzie i jak widać pośredniczył w tej konspiracyjnej korespondencji. Wynikało z tego, że prof. Kot był nadal w kontakcie z Mikicińskim.

Szarkiewicz postanowił jednak przejść do porządku dziennego nad tymi powiązaniami Mikicińskiego z ministrem dla spraw

Kraju, pełnić swoją powinność i plan wykonać.

ECHA W WARSZAWIE

W tym czasie, gdy w Stambule zbierały się chmury nad Mikicińskim, na przełomie 1940-1941, działalność jego omawiano wyczerpująco w Warszawie. Bawił tam podówczas emisariusz wojskowy „Antoni" z Londynu i między innymi wielu sprawami i tę miał wyjaśnić w Komendzie ZWZ.

Zarówno „Rakoń" (gen. Stefan Rowecki) komendant ZWZ, jak i szef wywiadu „Brodowicz" (ppik Wacław Berka) jak najostrzej potępili używanie jako kurierów

do Kraju ludzi pozostających na służbie niemieckiej.

Byli oni żywo zainteresowani tym, do jakiego stopnia Mikiciński mógł mieć w Paryżu wgląd w sprawy krajowe, szczególnie wojskowe. Mogło to bowiem mieć nieobliczalne następstwa dla bezpieczeństwa całego ruchu podziemnego w Kraju. Wprawdzie Mikiciński nie przywoził z Paryża żadnych zleceń dla ZWZ, ale współpraca ZWZ z podziemiem politycznym ,dla którego miał zlecenia, była bardzo ścisła i stamtąd zagrożenie mogło pośrednio przerzucić się na ZWZ. Obaj stwierdzili, że — jak dotąd — nie można było żadnego wypadku aresztowania przez Gestapo ludzi podziemia przypisać działalności Mikicińskiego.

Emisariusz „Antoni" zapewnił, że Mikiciński nie miał w Paryżu żadnego wglądu w krajowe sprawy wojskowe. Nie było jednak wykluczone, że Mikiciński, mając rozgałęzione stosunki w polskich sferach oficjalnych, mógł przez ich niedyskrecje zbierać mniej ważne wojskowe wiadomości krajowe.

Po wymianie poglądów na temat tego co o Mikicińskim wiedziano w Warszawie i na Zachodzie, za najbardziej prawdopodobne przypuszczenie wysunięto, że był on na służbie niemieckiego wywiadu wojskowego. Jeżeli to przypuszczenie było trafne, to zmniejszało to możliwość zagrożenia. Za bezpieczeństwo pod okupacją niemiecką w Polsce odpowiedzialne było całkowicie Gestapo. Było ono jednak w otwartej nieomal wojnie z wywiadem wojskowym, który zapewne nie dzielił się swymi informacjami z Gestapo. Stwierdzono bowiem na wielu przykładach, że między tymi urzędami nie tylko nie było współpracy, ale panowała zawzięta rywalizacja.

Dalsza analiza tej sprawy nasunęła przypuszczenie, że niemiecki wywiad wojskowy nie był w 1939 i 1940 r. zainteresowany sytuacją w Polsce, toteż prawdopodobne było, że Mikiciński przeznaczony był do zbierania wiadomości o polskim ośrodku kierowniczym w Paryżu, o wojsku polskim formowanym we Francji i o współpracy polsko-francuskiej.

Ułatwianie Mikicińskiemu przez Niemców podróży do Polski nie miało więc na celu zadań wywiadowczych, lecz chodziło o jego wkupienie się do kierowniczego ośrodka polskiego w Paryżu i umocnienie tam jego pozycji. Jako chęć podmurowania pozycji Mikicińskiego u Polaków trzeba było też uznać rewizję w lokalu poselstwa chilijskiego przy ul. Frascati. Inscenizacja tej rewizji była bardzo wyraźna i naiwna. Niemcy wiedzieli bowiem dokładnie, że Mikiciński przebywał w tym czasie za granicą, a stworzyli pozory, że nalot na poselstwo miał na celu pochwycenie go w Warszawie. Rewizja ta wskazywała jednak, że nadszedł kres oficjalnych przyjazdów Mikicińskiego do Polski i to łączyło się z kwestią bezpieczeństwa — znanych mu — osób w Polsce. Rozpatrując tę sprawę,

wysunięto przypuszczenie, że Niemcy nie będą stosować wobec tych osób represji, by przez to nie demaskować jego roli. Mogło to, oczywiście, trwać tylko tak długo, jak długo Niemcy potrzebowali Mikicińskiego.

Dlatego też „Antoni" ostrzegł wojskowe władze krajowe, że Niemcy wkrótce przestaną liczyć się z tymi względami, gdyż Mikiciński zostanie wkrótce unieszkodliwiony. „Antoni", w drodze z Londynu, w przejeździe przez Bliski Wschód badał tam działalność Mikicińskiego, dla powiadomienia o tym ZWZ w Warszawie. Omawiał tę sprawę z Szarkiewiczem w Stambule i wiedział o przygotowaniach do unieszkodliwienia Mikicińskiego.

A. Heller

Copyright by A. Heller. The Polish Daily

przy biciu dzwonów i huku armat zaprzysięgli ten układ.

300-setne rocznice wielkich wydarzeń były zwykle uroczyście obchodzone w Polsce. W roku 1910 we wszystkich zaborach pamiętano o 500-leciu Grunwaldu. W trzy lata później uczczono, choć już nie w takiej samej skali 500-lecie unii horodelskiej. Było — i jest jeszcze — zrozumienie, że historia to niezbędny składnik rozwoju i siły narodu.

Rzeczpospolita trzech narodów

Nie tylko historycy polscy, ale i część ukraińskich, jak wykazuje prof. Kościałkowski, ocenia ugodę hadziacką dodatnio. Ze stanowiska ukraińskiego był to przecież krok naprzód. Rzeczpospolita, państwo polsko-litewskie, miała się przekształcić i składać z 3 członków: Korony, W. Księstwa Litewskiego i W. Ks. Ruskiego, złożonego z 3 województw: kijowskiego, bracławskiego i czernihowskiego.

Ugoda nie weszła w życie. W tym samym roku 1659 Kozacy, obalili hetmana Wyhowskiego, zwolennika porozumienia z Polską. Warunki nie były tak sprzyjające, jak podczas zawierania unii w Lublinie (1569), bo za Jana Kazimierza Polska była bardzo wyniszczona i osłabiona licznymi najazdami, Rosja natomiast urosła w siłę. Popełniono zresztą wtedy i nieco później szereg błędów po stronie polskiej.

Stanisław Sopicki

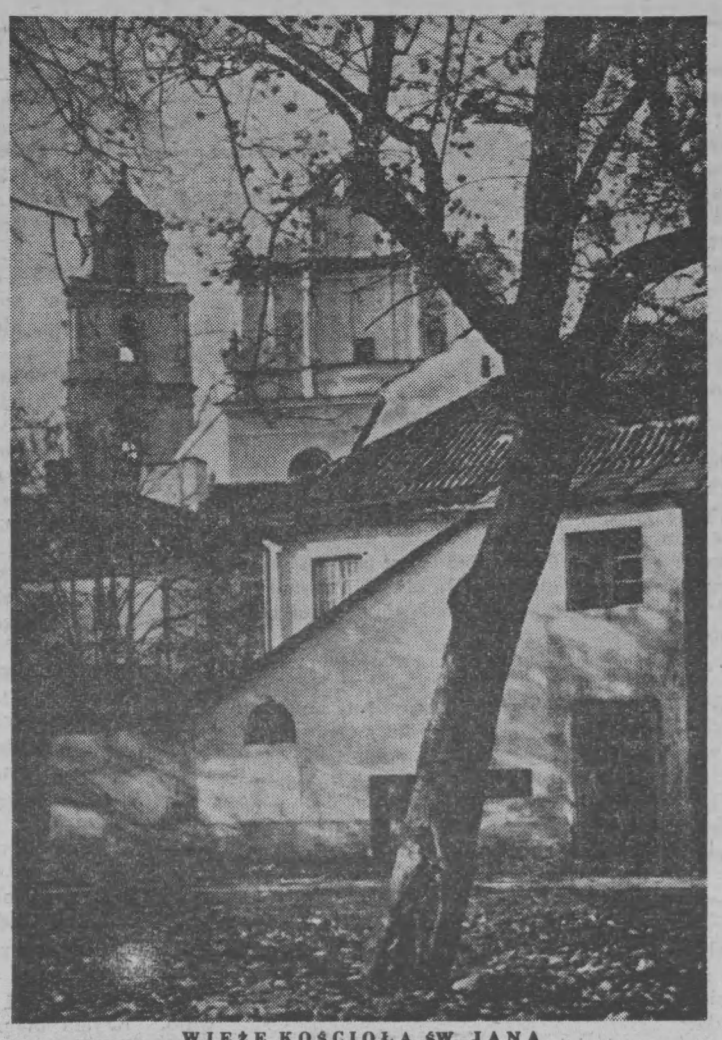

WIEŻE KOŚCIOŁA ŚW. JANA

ROYAL JELLY

(PSZCZELE MLECZKO)

Naturalny środek odmładzający wzmacniający, usuwający zmęczenie i poprawiający ogólny stan zdrowia. 15-dniowa kuracja (słoik 1.000 mgr. z przesyłką) w W. Brytanii 50/-, do Polski 52/-.

ROYAL JELLY

DISTRIBUTION CENTRE
14, Albert Bridge Road.
London, S.W.11.
8799

Józef Zakrzewski powoli wspina się po drabinie śliskiej kariery działacza komunistycznego. Odnosi sukcesy jako redaktor „Nowej Trybuny, jako prelegent w Związku Robotników Budowlanych, podbija, mimo pozornej nienawiści, „serce" komunistki Freikindowej, zwycięża w rozgrywkach bokserskich — wreszcie ośmiesza przeciwników politycznych w słynnej sprawie pojedynku z korporantem Gorzkowskim.

Józef Łobodowski (13)

Miłe złego początki

(DZIEJE JÓZEFA ZAKRZEWSKIEGO)

Jeden z korporantów poczerwieniał z gniewu i oświadczył, że podobne kpiny mogą skończyć się spisaniem jednostronnego protokołu.

— Doskonale! — odparł Zakrzewski z zimną krwią. — Przygotujcie ten protokół i przyślijcie mi go przed podpisaniem. Poprawię wam błędy ortograficzne. A teraz fora! — krzyknął, otwierając drzwi — bo spuszczę ze schodów!

Wylecieli jak oparzeni. Józef natychmiast zawiadomił o wizycie i jej wyniku wszystkich przyjaciół i znajomych. Tego samego dnia w cukierni Rutkowskiego, w „Europie" u Semadeniego i Radzymina opowiadano sobie o splantowaniu sekundantów. Komentowano wydarzenie na różny sposób, ale nawet zaklęci wrogowie Zakrzewskiego czuli się zakłopotani. Spisanie jednostronnego protokołu traciło w tych warunkach swój efekt. Niektórzy twierdzili, że obrażeni sekundanci powinni z kolei wyzwać Zakrzewskiego na pojedynek. Ale co będzie, jeśli i tych spotka taki sam despekt? Złośliwi sugerowali, żeby Gorzkowski i jego zastępcy stanęli do najbliższych mistrzostw bokserskich, licząc, że wylosują Józefa.

Ostatecznie, sprawa rozeszła się po kościach. Korporanci zapowiedzieli zemstę. Z różnych stron uprzedzano Zakrzewskiego, żeby się miał na baczności.

Ale jemu było w głowie co innego. Któregoś dnia spotkał na ulicy jednego z działaczy Związku Młodzieży Demokratycznej, Wojciecha Deptałę. Był z nim w swoim czasie w bardzo bliskich i przyjaznych stosunkach, ale potem rozeszli się na tle politycznym. Odtąd Deptała trochę boczył się na Zakrzewskiego. Tym razem jednak sam go zaczepił i zaprosił na pół czarnej.

Wybrali maleńką cukierenkę, tuż koło Saskiego Ogrodu. Nie było nikogo, senny kelner kiwał się nad starym numerem „Muchy". Deptała pytał, co Zakrzewski porabia, czy zamierza wyjechać z Lublina na wakacje, jak mu idzie „Nowa Trybuna". Miał jakieś dziwnie współczujące oczy i tajemniczy wyraz twarzy. Wreszcie zdecydował się i puścił farbę. Nie zgadza się z kierunkiem, jaki przybrała ideowa ewolucja Józefa, ale pragnie go ostrzec. Wie z najbardziej pewnego źródła, że Zakrzewski jest ściśle inwigilowany. Wydział Bezpieczeństwa zna jego kontakty z Klubem Dyskusyjnym i z profesorem Mendelsonem. Orientuje się, w jakim charakterze działa na terenie Związku Budowlanych. On, Deptała, żałuje szczerze, że Józef zradykalizował się tak bardzo, ale ceni go wysoko i jako stary kolega uważa za swój obowiązek uprzedzić, żeby się miał na baczności.

Zakrzewskiemu zrobiło się nieprzyjemnie. Z góry liczył się z tym, że jego kontakty zostaną wykryte prędzej czy później, ale nie spodziewał się, że to pójdzie tak szybko.

— U Mendelsona pożyczam książki — powiedział, siląc się na obojętny ton — a co do Klubu Dyskusyjnego... To jest przecież instytucja legalna. Odczyty i polemiki koncentrują się na zagadnieniach ściśle teoretycznych. Znowu do Związku Budowlanych należą wszyscy: równie dobrze komuniści, jak socjaliści, chadecy i bezpartyjni. Nie mam nic do ukrywania.

— Ja osobiście, kolego, o nic was nie podejrzewam — uśmiechnął się Deptała, pokazując białe, zdrowe zęby. — Wiem tylko, że was inwigilują i to już od dłuższego czasu. Więc na wszelki wypadek uprzedzam. Bardzo ostre przemówienie wygłosiliście na obchodzie u Budowlanych...

— Skąd wiecie, że ostre? — nastroszył się Józef.

— Bo czytałem, coście mówili, od deski do deski! — wyrąbał tamten. — Będę z wami, panie kolego, całkowicie szczery i wyłożę kawę na ławę. Maliniaka przecież znacie. Wiecie, że od roku pracuje w starostwie? No, więc... Ma odpis i dał mi do przeczytania. Widocznie u Budowlanych był konfident i wasze przemówienie dokładnie przestenografował. Teraz jasne?

Pogadali jeszcze kilka minut i rozstali się w najlepszej komitywie. Już był na rogu ulicy, gdy Deptała go dogonił.

— Byłbym zapomniał... Mieszkanie tego majstra, który wszystkim kręci w Związku... nie pamiętam, jak się nazywa... jest pod stałą obserwacją. Lepiej, żebyście tam za często nie chodzili.

Józef przejął się rozomwą nie na żarty. Nie zdając sobie sprawy z kierunku, skręcił w ulicę Lipową i połapał się dopiero, gdy zaszedł aż pod prawosławny cmentarz. Chciał być sam, żeby zebrać spłoszone myśli. Wszedł przez uchyloną bramę, zagłębił się w gąszcz jaśminów i kalin, bujnie rozkrzewionych za poszczerbionym murem. Groby były przeważnie zapadnięte w ziemię, nieliczne kamienne pomniki porozbijane, krzyże pochylone. Rosjan w Lublinie prawie nie zostało, parafia prawosławna zlikwidowała się podczas wojny światowej, nikt nie dbał o cmentarz, który zarósł zupełnie i zdziczał przez te kilkanaście lat. Wciśnięty między olbrzymi cmentarz katolicki, zwany starym i niewielki, bardzo starannie utrzymany — ewangelicki, sprawiał wrażenie ruiny, opuszczenia i smutku. Mało kto tu zaglądał, a i to chyba tylko z ciekawości. Tylko słowiki, nieczułe na różnice religijne, przelatywały nad murami trzech cmentarzy i darły się z jednakowym miłosnym bezwstydem przez krótkie wiosenne noce.

Poszedł ku wielkiej braterskiej mogile, w której w 1914 roku pochowano kilkunastu żołnierzy rosyjskich, zmarłych z ran w lubelskim szpitalu. Żelazne sztachety, otaczające mogiłę, przeżarła ruda rdza, ręka nieznanego świętokradcy powyłamywała poszczególne pręty, prawosławny, ozdobny krzyż ledwie można było dostrzec w gęstej zieleni. Wyrósł tam wysoki krzak czeremchy, rozwalił część ogrodzenia i oplótł gałęźmi krzyż, chroniąc go przed upadkiem. Na całym cmentarzu nie było innej czeremchy. „Gdybym był przesądny — mawiał Józef do kolegów — uznałbym to za cud, albo palec Boży. Przecież czeremcha to typowe rosyjskie drzewo..." Ale w głębi ducha był pewny, że nie chodzi o zwykły przypadek.

Usiadł na przegniłej ławeczce i medytował. Na razie nie mają o co go zahaczyć, ale musi zachowywać większą ostrożność. Trzeba

będzie tak dobierać tematy odczytów, żeby Defa nie mogła się przyczepić. Czarnemu powtórzy rozmowę z Deptałą i razem coś wymyślą. Ale że też po dziś dzień nie zauważył, że go inwigilują!

Nagle plasnął dłonią w czoło i roześmiał się głośno. Przecież Bronia może mu posłużyć jako doskonały parawan. Będzie ją od czasu do czasu wyciągał z domu do kina, albo na spacer, będzie udawał zainteresowanego — i spokój! Niech mu udowodnią, że chodzi do Czarnego ze względów politycznych, a nie dla córki. Korepetycje już się kończą, czasu będzie dość, żeby się zająć dziewczyną. Przypomniał sobie giętkie ciało Broni, gdy tańczyła z nim tango. Przeciągnął się w ramionach. „Połączymy przyjemne z pożytecznym" — pomyślał.

Zapadał zmierzch. Od pobliskiego boiska „Sokoła" dobiegały głosy i uderzenia piłki. „Trenują przed niedzielnym meczem..." Na cmentarzu gęstniał mrok. Dwa nietoperze zatoczyły koło tuż nad głową Józefa. Na wszelki wypadek wyłamał z gęstwiny spory pręt i szybko poszedł ku cmentarnej bramie.

Nazajutrz zaraz po obiedzie poleciał do Chróścielów. Majster już wychodził na budowę, ale gdy Zakrzewski mrugnął na niego porozumiewawczo, powiesił cyklistówkę na kołku, żonę i córkę wyprawił do kuchni. Wysłuchał relacji z uwagą i długo tarł czuprynę szeroką dłonią.

— A nie myślicie, że tego gościa mogli umyślnie na was nasłać? Że niby ostrzega, a chce się wkraść w zaufanie i wziąć was pod pic? O prowokację nie trudno...

Józef gorąco zaprzeczył. Z Deptałą ma od chwili wystąpienia ze Związku Młodzieży Demokratycznej stosunki nieco naciągnięte, ale to przyzwoity człowiek. Ostrzega uczciwie.

— No to trza się zastanowić... Ale tak na sucho nie wypada — roześmiał się. — Jak to ruskie powiadają: bez wódki nie rozbierzesz... Stara, jest tam co do wypicia? To niech Bronka skoczy na jednej nodze i przyniesie setkę.

Dziewczyna wróciła po kilku minutach. Wypili ze smakiem zagryźli. Chróściel targał kruczą czuprynę.

— Że łapsy łażą, to nie dziwota. Nie pierwszy raz i nie ostatni. Trza by się tylko upewnić, czy jesteśmy pod stałą obserwacją, czy tylko od przypadku do przypadku. Bo to może być w związku z rocznicowym obchodem. Pierwszy Maj też był nie tak dawno, a oni zawsze w tym okresie wzmacniają inwigilację... Jak sądzicie?

— Wiecie co... — Józef był z lekka zażenowany. — Ja już to przemyślałem. Jeśli pozwolicie, wziąłbym waszą Bronię do kina tak bym wymierzył, żeby ją odprowadzić o zmroku. Przeszlibyśmy się kilka razy przed domem, że niby odstawiamy pogaduszkę na pożegnanie... Jeśli tu ktoś będzie warował, to go chyba przyuważę... A ja Broni i tak już dawno kino obiecywałem.

— Macie recht, towarzyszu! — Czarny huknął pięścią w stół. — A jak za pierwszym razem się nie połapiecie, to będzie można taką a la randkę powtórzyć raz i drugi. Co...? Bronka też się z wami chętnie przewietrzy, że to moja stara nigdzie dziewczyny nie puszcza. I nie musicie się spieszyć. Wróci późno, to sobie kolację podgrzeje...

Wypili ostatni kieliszek. Czarny zwrócił się ku drzwiom.

— Bronia! Bro-nka-aa..! A chodź no tutaj, smarkula!

W kwadrans później wychodzili z domu. Przystanęli na ulicy z całą ostentacją i rozmawiali przez chwilę. Wreszcie Czarny pożegnał się, a oni ruszyli ku śródmieściu.

Patrzył z przyjemnością na dziewczynę. Miała na sobie niebieską, perkalową sukienkę w białe grochy, mocno ściśniętą paskiem, równie niebieski beret i pantofle na niskim słupku. Była wyraźnie uszczęśliwiona wyjściem na miasto i oczekującą rozrywką. Uśmiechała się, ilekroć na nią spojrzał, policzki różowiły się pod ledwie zaznaczającą się opalenizną.

— Gdzie się Bronia opaliła?

— Byłam z koleżankami na łąkach parę razy. Ale więcej to w domu siedzę. Mama nie pozwala...

— Może byśmy się której niedzieli wybrali do Zemborzyc..? Kajakiem w godzinę zajedzie, chociaż to pod prąd.

— Na cały dzień?

— No, pewnie! Wałówkę by się wzięło, a zresztą i na miejscu można zjeść. Las piękny i koło młyna doskonałe miejsce na kąpiel...

— Jabym się kąpać nie mogła...

— Dlaczego?

— Nie mam kostiumu kąpielowego. Chyba, żeby tatuś dał pieniądze...

— Jak nie da, to ja ci kupię. A ty za to o wałówkę się postarasz i będziemy na kwit. Zgoda?

— Ja bym z panem pojechała, ale nie wiem, czy mama pozwoli.

W Lublinie była dwa przyzwoite kina. Największe „Corso", przy Litewskim Placu, często wypożyczane na rewie i przedstawienia amatorskie i znacznie mniejsze, ale bardziej luksusowe, „Apollo". Inne miały źle przewietrzane sale, przestarzałą aparaturę i wyświetlały filmy sprzed wielu lat. Niewielka salka na Bernardyńskiej specjalizowała się w filmach kowbojskich i oblegana była przez wyrostków; stary osiemnastowieczny teatr, przerobiony na kino, przy ulicy Archidiakońskiej, był niemal wyłączną domeną publiczności żydowskiej. Ale i polscy studenci chętnie tam zaglądali, nie tyle dla filmów, co w nadziei, że się uda przygruchać jakąś przystojną Izraelitkę.

Józef zdecydował się na „Apollo", gdzie wyświetlano film sowiecki. Chciał być w porządku z ortodoksyjną majstrową. Przystanęli na chwilę przed oszkloną gablotką, żeby obejrzeć fotosy. Na jednym para Turkmenów w kosmatych czapach... rozległy step i suche badyle, sterczące na pierwszym planie... kopaczka, wdzierająca się w strome zbocze... Spojrzał z ukosa na Bronkę. Stała ze skwaszoną miną, skubiąc nerwowo spódniczkę. Wziął ją za rękę.

— Słuchaj, Broniu, ty może byś wolała do innego kina. Mnie wszystko jedno. Chcesz — pójdziemy do „Corso"... Tam wyświetlają „Damę Kameliową" z Gretą Garbo.

Dziewczyna zaczerwieniła się.

— Jak pan Józef pozwoli, to wolałabym na Gretę Garbo.

Bez słowa pociągnął ją za sobą. Spojrzała na niego z wdzięcznością i od razu poweselała. Skręcił w Kościuszki i wyszli na Krakowskie Przedmieście.

— Bo mama — tłumaczyła się dziewczyna, trochę jeszcze zakłopotana — nie pozwala mi chodzić na te filmy. Mówi, że burżuazyjne i że trzeba chodzić na sowieckie. Tylko że ja w nich nic ciekawego nie widzę. Wszystko zawsze o rewolucji, a nic o prawdziwym życiu... I ludzie brzydko poubierani... A na takim filmie z Gretą Garbo to bym przez trzy seanse siedziała bez przerwy.

— Dużo filmów z nią widziałaś?

— Tylko dwa. A ostatni, to był śliczny... Nie pamiętam tytułu. To ona była żoną bardzo bogatego pana, który jeździł zawsze na polowania do dalekich krajów. Dużo od niej starszy, prawie zupełnie siwy, ale przystojny, nie można powiedzieć. To on był o nią strasznie zazdrosny i ciągle ją podejrzewał. I są zaproszeni na polowanie przez jakiegoś malajskiego czy hinduskiego księcia. Bardzo piękny, tylko że zły i okrutny. Służbę bił batem. Nils Asther go grał. I od pierwszej chwili jak poznał Gretę przypadkiem na okręcie, to się w niej zakochał. A mąż to zaraz przyuważył i postanowił się zemścić. Więc jak było polowanie na tygrysy, to on — mąż Grety, znaczy się — umyślnie za późno strzelił i tygrys poranił Nilsa Asthera...

(Ciąg dalszy nastąpi)

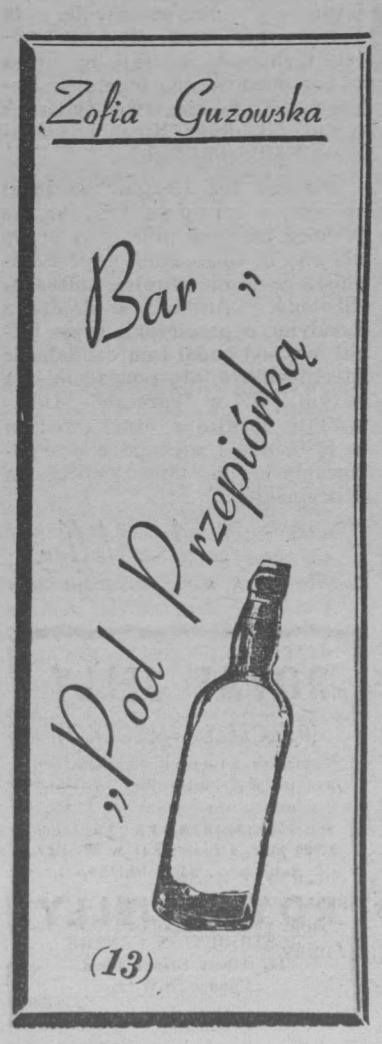

Zofia Guzowska

Krystyna zawiera wreszcie zgodę z „Wiktorem", działaczem Podziemia, którego niesłusznie posądzała o współpracę z Gestapo. Pewnego dnia do baru przychodzi dziwna para: atrakcyjna młoda dama o niewinnej twarzy — to znana złodziejka z talentem „operująca" w tramwajach; on — agent policyjny.

— Wcale nie. Opowiadał mi także pewien agent policyjny od spraw kryminalnych, że niedawno w jakiejś łapance dostała się w ręce Gestapo i wyobraź sobie jak się wydostała: najbezczelniej w świecie ukradła jednemu gestapowcowi 18 tysięcy złotych i dała drugiemu żeby ją wypuścił. Fakt najzupełniej autentyczny. Mam słabość do tej dziewczyny, zaciekawia mię jej psychika, jej osobliwa mentalność, godna bliższej obserwacji. Ma np. bardzo dobre serce, nie ominie żadnego ubogiego. Trzeba widzieć jak czasem przyjedzie do nas dorożką, jak się serdecznie troszczy o tego swego dryndziarza, jak mu funduje, jak hojnie płaci.

— Słowem Rinaldo-Rinaldini w spódnicy?

— Coś w tym rodzaju. W lokalu u nas zachowuje się zupełnie przyzwoicie, funduje całej swojej hałastrze, ile tylko zapragną, ale sama nigdy miary nie przebierze, trzyma fason i nie upija się. Słowem dama.

— Z podziwem patrzę i słucham, jak wy wszystkie trzy potraficie doszukać się „zagubionego człowieczeństwa" w tych waszych andrusach i złodziejaszkach.

— Tss... ciszej, bo zdaje się, że wychodzą... Nie, to tylko ten agent.

— Do widzenia panu!... Zenia jeszcze została, widocznie czeka na kogoś. Muszę tam pójść delikatnie zbadać, kto będzie płacił.

Krystyna przeszła na salę i zaczęła sprzątać ze stolika, przy którym siedziała Zenia, paląc papierosa.

— Pani szefowo, poproszę o rachunek, bo chociaż ja tu jeszcze posiedzę i dam zarobić, ale ten wolę od razu zapłacić.

— To pani płaci, nie ten kawaler?

Zenia zaśmiała się głośno.

— Pies mu mordę lizał! Zresztą, prawdę powiedziawszy, zarobiłam na nim niezgorzej.

— Pani na nim zarobiła? Jakim sposobem?

— Ano, moim sposobem. Ma pani chwilkę czasu, to pani rozpowiem, bo to bycza historia. Napije się pani czego? Zenia stawia. Na co pani ma ochotę? Likier, ciastka, no? Nie krępać się.

— Nie, dziękuję, nic jeść ani pić nie będę, ale usiąść i posłuchać mogę, bo akurat nie mam żadnego gościa.

— Ale papierosa pani zapali? Mam dobre, prawdziwe „kamele". To było tak — zaciągnęła się dymem. Wsiadłam wczoraj w tramwaj. Przy niedzieli tłok jak diabli. Myślę sobie: „dobra jest". Dałam konduktorowi 50 złotych, żeby mi pozwolił pracować. Co pani tak patrzy? Tak się należy. Stoję sobie blisko wyjścia, a tuż koło mnie ten właśnie facet. Patrzę na rękę ma „Longina". — Mówię pani klasa! Pani sama by nie wytrzymała.

— Kto wie! — roześmiała się Krysia.

— Więc Zenia grzecznie, pomalutku zdjęła mu ten zegareczek. Ale widzę też portfelik niezgorzej wypchany. Więc do roboty. Zenia nie jakiś tam pierwszy lepszy patałach, co żyletką psuje garderobę: grzecznie, cichutko wyjmuję portfelik, wybieram forsę, a portfel z papierami z powrotem do kieszeni, bo co mi po nich, a po co krzywdzić człowieka? Przecież teraz bez dokumentów ani rusz. Zrobiło się miejsce koło niego. Posunął się grzecznie i mnie zaprosił. Podziękowałam, siadłam i siedzę. Raptem krzyk:

„Złodzieje, gwałtu, mój zegarek i pieniądze! Pieniądze!"

Zrobił się rejwach, zaczynają legitymować, rewidować, ale samych chłopów. Zenia nic, siedzi sobie, elegancka dama. Zresztą już nic nie ma przy sobie. Dojeżdżamy do Krakowskiego, wysiadam, daję jeszcze konduktorowi 50 zł. bo lubię dać zarobić biednemu, ciężko pracującemu człowiekowi, a ten drań, moja pani, pokazał mnie temu gościowi. Cholera go wiedziała, że to był agent w dodatku!

— Ten konduktor?

— Ten zrobiony, zanim się obejrzał, prysnęłam w tłok na przystanku i chodu. Ale se mnie przyuważył. Dzisiaj idę Targową do was, a ten wali naprzeciwko. Trochę głupio mi się zrobiło. Staje przede mną, łapy rozczapirza i powiada:

— No i co z nami będzie?

— Wola Boska — odpowiadam.

— To chodźmy na wódkę — on mówi.

Wziął mnie de pache i tu przyprowadził.

— No i co? Oddała mu pani zegarek i forsę?

— Ale! Czy to ja frajerka? Za rękę mię złapał, czy co? Wyparłam się wszystkiego w żywe oczy. Najwyżej powiadam, mogę panu postawić parę kolejek na dobrą znajomość.

— I przystał?

— A co miał zrobić? Konduktor mu powiedział, że jestem fachowa, ale to jeszcze nie dowód, że to ja go zoperowałam...

Krysia poderwała się nagle, bo usłyszała hałas otwieranych drzwi wejściowych i ożywione głosy w pierwszym pokoju.

— Bardzo przepraszam, panno Zeniu, ale muszę iść, bo tam się sypnęli goście, a nasza bratowa sama, nie da rady.

Weszła orkiestra, kilku stałych gości z bazaru, a wśród nich Czesio, Edek, Feluś i inni. Ruch się zrobił przy bufecie i na sali. W pewnej chwili, gdy Krysia z tacą pełną kieliszków i zakąsek wychodziła zza bufetu, drzwi znowu zabrzęczały i wkroczyło nowe towarzystwo.

Na czele szła tęga, nie pierwszej już młodości, paniusia w karakułach, mocno umalowana, z gołą głową starannie zaondulowaną, a za nią trzech młodych ludzi.

— Szanowanie paniom! Czy jest Zenia?

— Jest, jest, właśnie czeka na państwa.

Przeszli, a Hanka przechyliwszy się przez ladę, spytała szeptem:

— Czy to ta — „ferajna?"

— Uhm! Teraz będzie zabawa na całego. Zobaczysz jaki zrobią rachunek.

Jakoż za chwilę dał się słyszeć głos Zeni:

— Panie Misiu, prosiem fokstrota, ale z fajerem! Pani szefowa, wóda i zakąski!

Tańce trwały już dłuższą chwilę, gości wciąż przybywało, Krysia biegała z półmiskami i butelkami, pani Hanka ledwie mogła nadążyć z krajaniem kanapek.

B.D.I.C

SAMOCHÓD PRZYSZŁOŚCI

MOTOR i JA
B. DZIEWANOWSKI

Jaki ma być samochód przyszłości? Pytanie to nasuwa się wielu ludziom. Powodów jest na to bardzo dużo: mała wydajność silnika spalinowego, ograniczone zasoby złóż płynnego paliwa itp. Problemem tym zajmują się komórki konstruktorów przy dużych firmach, szczególnie w Stanach Zjednoczonych. Współczesny samochód amerykański różni się od swoich europejskich kolegów nie tyle rozwiązaniami technicznymi, ile wielkością i sylwetką — dającą wrażenie, że nie jest to samochód, tylko raczej skrzyżowanie samochodu z samolotem. Ciekawsze są jednak rozwiązania techniczne w tzw. modelach samochodu przyszłości.

FORD I PIASECKI

Niedawno zakłady Forda wyprodukowały ciekawy model pierwszego w świecie samochodu atomowego, który nazwany został „Nuclear". Samochód posiada tył kilkakrotnie dłuższy od zwykłego, a część użytkową, tzw. kabinę dla kierowcy i pasażerów, wysuniętą do przodu. W części tylnej, zakończonej płetwami, w grubym pancerzu z ołowiu ma się mieścić paliwo atomowe. Samochód jest przystosowany do poruszania się tylko po ziemi. (Należy tu wyjaśnić, że samochód przyszłości, być może, przystosowany będzie do poruszania się i po ziemi i w powietrzu).

Nowy rewelacyjny pojazd mechaniczny, wyprodukowany przez zakłady Piaseckiego w Stanach Zjednoczonych (znana firma helikopterów) „latający jeep", posiada dwa poziome zatory, umieszczone z tyłu i z przodu aparatu — służące do poruszania się w powietrzu — i umożliwiające zarazem pionowe startowanie i lądowanie.

Podobnie doświadczalny samochód „Volonte", zbudowany w zakładach Forda, wyposażony został w trzy poziome zatory, które umożliwiają mu poruszanie się w powietrzu i startowanie z miejsca.

SILNIKI ELEKTRYCZNE

Produkuje się też doświadczalne modele samochodów napędzanych silnikami elektrycznymi, do komunikacji wyłącznie lądowej. Motory tych samochodów mają być zasilane energią fal elektromagnetycznych, wysyłanych bądź za pośrednictwem wież wyposażonych w anteny kierunkowe i ustawionych we właściwych odstępach wzdłuż autostrad, bądź za pomocą ułożonych pod nawierzchnią dróg przewodów, przez które przepływać będą prądy wysokiej częstotliwości.

Specjalne urządzenie antenowe, umieszczone pod podłogą samochodu, zbierać będzie energię pola elektromagnetycznego, powstającego wokół przewodu. Energia ta ma być zamieniana na prąd poruszający silniki, umieszczone w kołach samochodu. Samochód taki wyposażony też będzie w automatycznego szofera, który zastąpi całkowicie kierowcę w prowadzeniu samochodu, zwiększając bezpieczeństwo jazdy.

A może zostanie wynaleziony małych wymiarów akumulator elektryczny, dający się ładować prądem dużej mocy? Gdzie jest granica fantazji, trudno dzisiaj powiedzieć.

NOWA METODA LECZENIA SERCA

Szanowne ZDROWIE

Niskie temperatury, które oznaczają, według powszechnego mniemania, śmierć żyjących organizmów mogą również ratować życie.

Znakomity biolog francuski Jean Rostan odkrył w r. 1946, że gliceryna posiada właściwości chroniące przed niszczącym działaniem niskich temperatur. Komórki organizmów żyjących przystosowują się w glicerynie do obniżonej temperatury — gliceryna chroni je przed tworzeniem kryształków lodu i śmiercią.

Badania nad tymi właściwościami gliceryny pogłębił inny młody uczony francuski Louis Rey, który za swe wyniki otrzymał nagrodę naukową. Rey włożył serce wyjęte z embriona kurczęcia, otoczone warstwą gliceryny, w ciekły azot o temperaturze *minus 196 st. C.* Serce skurczyło się i stało się twarde jak kamień, który można uderzać młotkiem.

Zamrożone serce można było przechowywać przez wiele lat. Uczony włożył je następnie do ciepłej wody: serce ożyło i zaczęło pulsować.

Organizm ludzki nie znosi na ogół przeszczepiania organów wziętych z innego organizmu. Obecnie prowadzone doświadczenia z zamrażaniem wykazują, że pod wpływem niskich temperatur tkanki ludzkie zmieniają swą strukturę fizyczną i chemiczną w taki sposób, że przeszczepianie nie musi wywoływać komplikacji.

Uczony jugosłowiański Radosław Andżusa, przeprowadzał próby zamrażania szczurów. Temperaturę ciała szczura można obniżyć do 0 st. C. i niżej (ale nie niżej niż minus 6 st. C.) Szczury, których krew była ochłodzona do zera stopni (ale nie była zamarznięta) były umieszczane następnie w ciepłej kąpieli; temperaturę wody stopniowo podwyższano i stosowano sztuczne oddychanie. Szczury dobrze znosiły ten eksperyment.

Parkes i inni uczeni angielscy zamrażali chomiki. Udało im się skrystalizować połowę krwi chomików. W wyniku tego drobne kryształki zamarzniętej krwi krążyły z serca do mózgu przez tętnice i żyły zwierzątek — nie powodując śmierci.

Szczur, którego temperaturę obniżono do 10 st. C. i utrzymano w stanie półzamrożenia, przez 3 godziny miał podobno po tym doświadczeniu serce silniejsze niż inne szczury, których nie poddawano temu eksperymentowi.

Czyżby odkryto nową metodę leczenia chorób serca przez zamrażanie pacjenta? Czyżby niskie temperatury dawkowane odpowiednio nie zabijały, ale ratowały człowieka przed śmiercią?

Dalsze badania dadzą na to pytanie odpowiedź. *M.B.*

ZBIERAMY ZNACZKI

Poczta gołębia

Pośrednictwo gołębi pocztowych w przekazywaniu wiadomości należy do najciekawszych i najdawniejszych środków komunikacji pocztowej. Po wprowadzeniu telegrafu i telefonu zarzucono ten sposób komunikacji.

Przypomniano sobie o gołębiach pocztowych w czasie pierwszej wojny światowej jako o środku porozumienia nierzadko pewniejszym od środków technicznych. Po wojnie nasze władze wojskowe zwróciły uwagę na gołębie pocztowe. Celem propagowania hodowli tych pożytecznych ptaków urządzano od czasu do czasu loty propagandowe. Pierwszy taki lot odbył się 26 sierpnia 1923 r. z Warszawy do Katowic. Za pośrednictwem gołębi, których wypuszczono wtedy 450, wysłano trochę depesz pisanych na kartkach białego papieru formatu 5½ x 9 cm, ze stemplem fioletowym.

Nadzwyczaj rzadka jest depesza wysłana 15 sierpnia 1924 r. z Radzymina do Kuriera Czerwonego w Warszawie z okazji obchodu rocznicy zwycięstwa nad bolszewikami. Depesza pisana była na specjalnym blankiecie drukowanym przez Ministerstwo Spraw Wojskowych.

Zawierała ona nadawcę: *Zgromadzeni na uroczystości w Radzyminie obywatelstwo tego miasta i wojsko garnizonu Zegrze*, odbiorca: *Kurier Czerwony Warszawa*, nr gołębia pocztowego: *83*, dzień odlotu: *15. VIII.*, godzina odlotu: *15.15*, dzień i godzina przylotu: *15. VIII godz. 15.40*.

Ten rzadki okaz filatelistyczny znalazł się w zbiorach Lorda Bute i ostatnio na aukcji znaczków lotniczych w firmie Robson Love w Londynie depesza ta została sprzedana do Stanów Zjednoczonych.

Zbiory Królowej Angielskiej na wystawie w Polsce

W r. 1960 z okazji setnej rocznicy pierwszego polskiego znaczka pocztowego odbędzie się w Polsce Międzynarodowa Wystawa Filatelistyczna. Wystawa otwarta będzie w Warszawie w czasie od 27 sierpnia do 9 września.

Królowa Elżbieta II wyraziła zgodę na pokazanie w czasie wystawy części zbiorów królewskich, które należą do najciekawszych w świecie.

P-k.

Krzyżówka Nr. 13

(Ułożył S. T. R., Anglia)

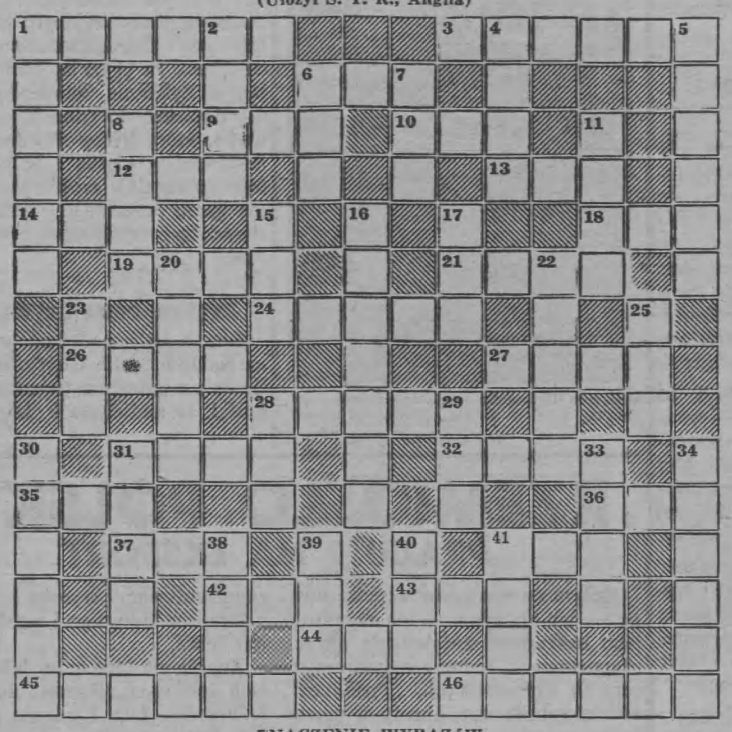

ZNACZENIE WYRAZÓW

Poziome:
1 — Przypomina zakonnicę, lecz to dawna nazwa podoficera.
3 — To nie wezwanie do przebrania miary, lecz trująca roślina błotna.
6 — Miasto nad Dunajem.
9 — Polska miejscowość historyczna, znana wielu spragnionym.
10 — Morskie ma swój urok.
12 — Słynna miejscowość kuracyjna w Belgii, pamiętna z 1920 roku.
13 — Bardzo pomocny niektórym zwierzętom ssącym.
14 — Fonetycznie niewiadoma.
18 — U brytyjskich wybrzeży wyspa, mająca w herbie trzy nogi.
19 — Instrument muzyczny, związany z mitycznym bogiem wiatrów.
21 — Znana nam ze swej zmienności.
24 — Pospolity minerał krystaliczny.
26 — Najdłuższy na świecie łańcuch górski.
27 — Tak też nazywamy mamidło.
28 — Nie bardzo miły przy pisaniu.
31 — Bardzo ruchliwa dzielnica w Londynie.
32 — Do spoczywania w niej jest mało chętnych.
35 — Następstwo pociągnięcia za spust karabinu.
36 — Taki mimowolny ruch twarzy powoduje czasem nieprzyjemności.
37 — Dodatek do tytułu byłych dostojników.
41 — Płynący owad z rybkami w okolicach Grudziądza.
42 — Tłustość w kościach.
43 — Ma je dobry rosół.
44 — Ślepy daleko nie zaprowadzi.
45 — Znak wysokiej władzy wojskowej.
46 — Mogiła z czasów pogańskich na polskich rubieżach.

Pionowe:
1 — Dobrego gatunku szalik to renoma dla firmy (anagr.).
2 — Znana z pobytu Napoleona.
4 — Krakowski budowniczy, znany na terenie Wilna z budowy kościoła Św. Piotra i Św. Pawła.
5 — Sienkiewiczowski bohater.
6 — Kanton w Szwajcarii, związany z jej bohaterem narodowym.
7 — Samson zawdzięczał to włosom.
8 — Za suta farba mało zdobi (anagr.).
11 — Uszczerbek.
15 — Uczący się w dawnych czasach.
16 — Rodzaj fantazyjnej ozdoby.
17 — Nazwisko bardzo dawnego wojewody wileńskiego, związane z przysłowiem.
20 — Narzędzie rolnicze.
22 — Imię nazwiskiem słynnego aktora polskiego.
23 — Lwowski dziennikarz i powieściopisarz, znany z ośmieszania austriackiej biurokracji.
25 — Panuje przy braku dobrego światła
28 — Ptaszek, który gwiżdże.
29 — Drapieżna ryba w słodkiej wodzie.
30 — Anioł ze Starego Testamentu.
31 — Królewskie imię psa fonetycznie i wspak.
33 — Taka możliwość jest w miłości i na wojnie (anagr.).
34 — Nazwa kajaka, który gonił Smętka (wspak).
38 — Ładny to swat, co może pochłonąć swatkę (anagr.).
39 — Kobieta, czasem bywa częścią dramatu.
40 — Przyprawa do rosołu.
41 — Miała ją przedwojenna Warszawa, chociaż w Afryce nie leżała.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 11

Poziome: banan, mika, Sola, rybie, lelek, Eol, Ajmer, Ob, Tunis, koza, raróg, re, Ankona, muł, Andy, tur, Nisko, Abo, róg, kotka, wampir, St. Lucia, jaskier.

Pionowe: bora, Nubijczyk, Niemen, mila, koliber, ocean, Atlas, Skutari, ikra, Tyr, Genua, Ely, Angola, emu, Urugwaj, Turcja, Samsun, Nukus, lotos, Barce.

Nagrodę za rozwiązanie otrzymuje p. A. Traidecki.

Fakty i urojenia

ZNAMIĘ (Dziedzictwo lęku)

ISTNIEJE od wieków głęboko zakorzeniony przesąd, że matka przekazuje w dziedzictwie swemu dziecku uczucie lęku lub inne silne wzruszenie, które przeżyła bezpośrednio przed jego urodzeniem. Nie ma w tym poglądzie ani źdźbła prawdy. Medycyna ustaliła z wszelką pewnością, że nie zachodzi żaden związek między ustrojem nerwowym matki i jej nienarodzonego dziecka.

CIŚNIENIE KRWI

JAKŻE często słyszy się twierdzenie, wypowiadane z niewzruszoną pewnością, że liczba, określająca normalne ciśnienie krwi człowieka, winna odpowiadać jego wiekowi, dodanemu do stu, że zatem normalne ciśnienie krwi czterdziestolatka winno wyrażać się liczbą 140. Niepodobna, oczywiście ustalić, komu zawdzięczamy ten fałszywy pogląd. Ciśnienie krwi zależy od indywidualnych właściwości człowieka, stanu jego zdrowia, wieku, płci i usposobienia, jak również od różnych czynności fizjologicznych organizmu. Nie ma norm ustalających te sprawy.

W 4 OCZY

Małżeństwo — to namiot na dwoje

Droga Ciotko(?) Anno!

Jestem młodą mężatką. Kocham swego męża i on mnie kocha. Nie znam uczucia zazdrości może dlatego, jak twierdzą bardziej doświadczone koleżanki, że jak dotąd nie dawał mi mąż powodu do niej, a może, jak twierdzą inne, za mało jestem zaangażowana uczuciowo... Kocham całą duszą i ciałem. Z niekłamaną przyjemnością „chodzę" jak to się mówi koło swego chłopca; cerowanie skarpet, przyszywanie guzików sprawia mi satysfakcję.

Wzajemnie prześcigamy się by świadczyć sobie codzienne drobne usługi...

To jest początek listu pani S.

Szkoda, że szczęśliwa mężatka nie mogła zakończyć, po prostu zamknąć swych myśli o małżeństwie właśnie w tym miejscu.

Nie. Zaraz po słowach o szczęściu następują słowa oznaczające zwątpienie:

Jeśli coś zatruwa moje myśli — to jedynie pobłażliwe uśmiechy i ostrzegawcze „rady" tych doświadczonych mężatek, które zgodnym chórem twierdzą, że u nich w pierwszych miodowych miesiącach było identycznie, lecz z czasem prysnął romantyzm małżeństwa...

Mąż zaczyna wracać późno, staje się opryskliwy i zaniedbuje żonę. Wreszcie po wielu burzach i płaczach okazuje się, że ma inną. Szczęście małżeńskie skończone.

Oto jaki obraz ma przed oczyma „szczęśliwa mężatka". I to na podstawie opowiadań „doświadczonych" koleżanek.

Droga Ciotko (?) Anno ratuj przed przyszłym złym losem. Zwracam się do Ciebie póki czas, póki szczęście trwa.

Droga, Kochana Pani! Małżeństwo jest to namiot, w którym mieści się tylko dwoje. Przyjaciółki Pani na siłę chcą się wedrzeć do tego schronienia i zniszczyć szczęście.

Niech Pani rozmawia z nimi o przepisach na bigos i o sprzątaniu, o telewizji, albo o filmie, ale stanowczo nie pozwala analizować swego życia!

To pierwsza rada.

Jest Pani szczęśliwa. Proszę nie myśleć, że szczęście się popsuje. Stanowczo, wyrzucić takie pesymistyczne myśli z głowy.

Druga rada to pozostać sobą. Taką właśnie jaką pani jest i jaką mąż kocha. Nie myśleć o tym co może być ale starać się aby to co jest przetrwało.

Trzecia rada to ta, którą daję każdej mężatce — być pogodną, świeżo i czysto ubraną, umieć z mężem dzielić całe życie, myśli i smutki, sprawy zawodowe i rozrywki. Być zawsze gotową do zabawy i do poważnej pracy.

Zazdrość to najgorszy z grzechów. Niech Pani nie daje się opanować bezpodstawnej chorobliwej zazdrości.

Ani też zawiści, której pełne są Pani „bardziej doświadczone koleżanki", które starają się zrujnować Pani szczęście.

Kto doradzi?

Kochana Siostro Anno!

Co tydzień pilnie czytam rubrykę „W cztery oczy" i jestem bardzo rozczarowana, że nigdy nie napiszą do niej panny.

Czy trzeba wyjść za mąż i być nieszczęśliwą, aby szukać rady u innych?

A może Pani, Siostro Anno, lepiej poradziłaby jak wyjść za mąż tak szczęśliwie, żeby nie potrzebować o radę się do Pani zwracać?

Ja sama szukam męża, to znaczy jest wielu takich, którzy chcą się ze mną ożenić, bo panien polskich brak na emigracji, a ja nie jestem do pogardzenia. Tylko jak przekonać się, że chłopiec, który się nam podoba powierzchownie jest naprawdę dobry i nadaje się na towarzysza życia?

Może Siostra Anna da kilka rad niedoświadczonym panienkom. Lepiej wcześniej uprzedzić je co je czeka niżby miały potem żałować. Tyle kobiet wychodzi źle za mąż bo nikt im nie powiedział jak wybrać męża. *Janina M.*

Zanim sama wybiorę się z radami dla Pani, moja Droga Przezorna, chciałabym prosić Czytelniczki doświadczone w stanie małżeńskim, by pośpieszyły z radami dla panny Janiny.

Siostra Anna

Nagle w sali rozległ się krzyk, brzęk tłuczonych naczyń i łoskot przewracanych krzeseł.

— Panie Czesiu, błagam niech pan zajrzy na salę, co się tam robi, ja w tej chwili ruszyć się nie mogę — wołała Krystyna z kuchni.

Czesio wyjrzał przez drzwi i zaraz wrócił, ruszając obojętnie ramionami.

— Nic takiego, niech się panie nie przejmują. To tylko czynna wymiana zdań między Zenią i jej mamusią.

Pani Hanka rzuciła krajanie szynki i pobiegła na salę, ale gdy nad jej głową furnął talerz i z trzaskiem rozwalił się o piec, uciekła przerażona z powrotem za bufet.

— Boże, co za awantura!

— Awantura? Lepsze tu widzielim. Nie trza się przejmać, szkoda nerw — orzekł filozoficznie Feluś.

— Zwykła rodzinna draka — wyjaśnił Czesio — całkiem zresztą nieszkodliwa. Zaraz się skończy.

Jakoż na sali istotnie uspokoiło się trochę; dał się słyszeć podniesiony głos Zeni:

— Zabierać się, hołota! Chodu do domu! Ani jednej ćwiartki więcej nie postawię! No, już was nie ma.

Cała ferajna przemaszerowała gęsiego przez bar i z hałasem, trzaskając drzwiami wyniosła się na ulicę. Ostatnia wyszła Zenia, czerwona z pasji. Od drzwi odwróciła się i kiwnąwszy głową rzuciła w stronę bufetu:

— Jutro wpadnę, to zapłacę cały rachunek i za pobite szkło i za całą grandę. Proszę zapisać.

— Dobrze, dobrze — zawołała Krysia — wiemy że z pani solidny gość.

— O co im poszło? — zapytała po jej wyjściu Hanka.

— Zacna mamunia, gdy Zenia poszła tańczyć, dobrała się do jej torebki i wygarnęła całą forsę. Więc Zenia kiedy się opatrzyła wpadła w pasję i dawaj walić w mamcię czym popadło. Powiedz, nie rozłościłabyś się sama, gdybyś była na jej miejscu?

— Nie wiem, nie potrafię się wczuć w psychikę złodziejską . . . — odparła Hanka z lekką urazą w głosie.

ROZDZIAŁ XV.

Wiosna była na świecie. Piąta już okupacyjna wiosna!

— Ale to już chyba ostatnia — mówiono powszechnie.

Wiadomości, dochodzące ze wszystkich frontów, zdawały się to potwierdzać.

Wczesnym rankiem, ledwie blado-różowy świt zaczął rozjaśniać niebo, o tej jedynej godzinie kiedy Warszawa nareszcie usypia i nawet niemieckie patrole bardzo rzadko ukazują się na mieście, ulicą Warecką w stronę Placu Napoleona, szedł młody mężczyzna ubrany po sportowemu, w długich butach, które tak głośno stukały po betonowych płytach, że aż gdzieś w ruinach odzywało się echo jego kroków.

— Psiakrew! — zaklął z cicha. — Chyba diabeł podkusił Hankę, a ona mnie, żebym na taką imprezę wziął takie cholerne buty!

Zdawało mu się, że słychać go w całej dzielnicy, więc przystanął na chwilę, nasłuchując, czy ten hałas nie sprowadził patrolu, a potem z wielkim wysiłkiem zaczął stąpać na palcach, rozglądając się bacznie na wszystkie strony.

Odetchnął z ulgą. Pustka i cisza.

Skręcił w Mazowiecką i zatrzymał się przed zamkniętą jeszcze bramą domu pod numerem 8. Zastukał lekko trzy razy w zasłonięte kocem okno na parterze. Po chwili otworzyła się furtka w bramie i wyjrzała ostrożnie starsza kobieta, otulona chustką.

Kiwnął jej głową i przez bramę i obszerny kwadrat podwórza zszedł szybko po schodach do suteryny w poprzecznej oficynie. Na końcu korytarza otworzył wyjętym z kieszeni kluczem drzwi, na którym był napis:

„Warsztat stolarski".

W pierwszej izbie istotnie paru starszych mężczyzn heblowało deski.

— W porządku? — spytał półgłosem najbliżej stojącego.

— Tak. Jest ich tam coś ze dwadzieścia. Młode i stare. Całą noc pakują. Najgorzej z tymi kocami: za wielkie, trzeba przecinać na pół.

— A buty?

— Już zapakowane. Sześć tysięcy. Tyle miało być?

— Tyle.

— Koców dziesięć tysięcy. Zaraz skończą.

— W porządku. Wyjrzę przed bramę bo samochodu tylko patrzeć. Siostry mojej jeszcze nie było?

— Nie. Przecież jeszcze nie ma piątej. Ale łącznik już jest, czeka.

Wyszedł przed dom i w tejże chwili zobaczył, jadący od strony poczty olbrzymi samochód niemiecki tzw. „Bissing". Potwór hałasował tak bezczelnie, że zdawało się całą ulicę rozbudzi.

„A tu naprzeciwko u „Philipsa" przecież Gestapo kwateruje" — pomyślał z lekkim dreszczykiem. — Co za sens przysyłać taką machinę . . ."

Samochód zatrzymał się przed bramą. Z szoferki wyskoczył młody człowiek w skórzanym kombinezonie.

— Obywatel Leszek? — spytał podchodząc.

— Tak.

— Przyjechałem po towar.

— Widzę. Ale po jaką cholerę takim smokiem. Trzeba wjechać w bramę, a przecież to bydlę nie wlezie!

Szofer zmierzył wzrokiem wóz i bramę.

— Faktycznie, mruknął, nie da rady. No, trudno, będziem ładować na ulicy.

— Bójcie się Boga, na oczach Gestapo? Zauważą i co wtedy?

— Niic. Nie ruszą nas. A gdyby spróbowali, marny jeich los. Mamy ubezpieczenie . . . Klasa!

— Gdzie?

— A tu mieli stać na rogu od Świętokrzyskiej, na rogu Trauguta i koło Towarzystwa Kredytowego.

— Zaczekajcie chwilę. Muszę pójść sprawdzić.

Szofer ruszył obojętnie ramionami, jakby chciał powiedzieć: — „A sprawdzaj, jeśli masz ochotę" — i zapalił papierosa.

Leszek pobiegł najpierw w stronę Zachęty. Istotnie na rogu Trauguta stał mały samochód osobowy. Przez opuszczone okno widać było lufę erkaemu. To samo przy gmachu Towarzystwa i na obydwu rogach Świętokrzyskiej.

„Obstawa, owszem. Ale czy można ryzykować? Chłopaki w lasach lubelskich muszą mieć najdalej do jutra swój ekwipunek. Czemu tej Reny nie widać?" — niepokoił się.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Co pisze prasa
Дозволено Цензурою

TWARDY ŻOŁNIERZ — CZY MIĘKKA SZMATA

Mówiąc o społeczeństwie, trzeba je widzieć takim, jakim jest. Dwa razy dziennie duszonym w tramwaju, dręczonym, maltretowanym i upokarzanym co chwila, bez przerwy od rana do wieczora przez tyle już lat. W sklepie, w kinie, w restauracji, w pociągu, w biurze, w urzędzie... Społeczeństwo śmiertelnie zmęczone. Zmęczone i zdziczałe.

Któż to przemawia tak mądrze i inteligentnie choć z tak beznadziejnym pesymizmem?

To jeden z czołowych pisarzy Polski komunistycznej, Andrzej Braun.

Bezradny marksista

Posłuchajmy jeszcze:

Po wstrząsach i rozczarowaniach, po widomych objawach wyrodnienia idei w toku ich materializowania się, coraz powszechniejsze staje się przekonanie o końcu wieku ideologii.

Ten niepokój ogarniał w ostatnich czasach każdego kto śledził myśl marksistowską i jej coraz częściej dostrzegalną bezradność w stosunku do komplikującej się rzeczywistości. Marksista coraz częściej stawał bezradny, próbując przy jej pomocy objaśnić taki czy owaki proces, a jednocześnie nie mógł wmawiać sobie, że owe sprawy nie istnieją. Nie o to już chodziło, czy wyjaśnienia trafiały do przekonania, czy też były dyskusyjne, istotny stawać się musi sam fakt, czy myśl marksistowska we współczesnym świecie w ogóle dostrzega pewne zagadnienia, czy też uchodzą one jej uwadze.

Pod każdym z tych słów można się oburącz podpisać. Każde bowiem jest tak słuszne i mądre, że zasługuje aby je przechować w pamięci na długie, długie czasy.

Tak też właśnie uczyniłem. Przechowuję je — od dwóch lat, od czasu gdy były napisane („Nowa Kultura" z 8 września i 5 maja 1957 roku).

Och, jak byczo!

W kwietniu 1959 roku Andrzej Braun przemawiał zgoła odmiennie.

Oto co można i należy przeczytać w „Życiu Warszawskim":

O ile jednak można się z grubsza zgodzić z tym, że ludzie na uprzemysłowionym Zachodzie ciągle jeszcze pracują wydajniej i intensywniej — o tyle, jeśli chodzi o intensywność życia intelektualnego, jego autentyczność i aktywność, JESTEŚMY ZDECYDOWANIE GÓRĄ. Stwierdzają to wszyscy przyjeżdżający do nas cudzoziemcy. Zazdroszczą nam intensywności naszego życia duchowego. Myślę, że my sami, inteligencja polska, nie zdajemy sobie w pełni z tego sprawy.

W końcu dochodzi się do wniosku, że właściwie my to już wiemy, a nawet smutno powiedzieć, wiemy więcej. I nie będzie naszą zarozumiałością, bo przyznaje to każdy wnikliwie myślący człowiek stamtąd, jeśli zdamy sobie sprawę, że pierworództwo myślowe czy historyczne wszelkich idei oraz doświadczeń naszego czasu wywodzi się od nas. Oni są obserwatorami. Żywią się, karmią, nabierają rumieńców, olśniewają i nas i siebie, opracowują i egzemplifikują to, co się u nas dzieje.

U nas wsio jest

Pan Braun wyjaśnia „źródła pierworództwa" socjalistycznego w dzisiejszym świecie:

Postawa aktywnego rozwiązywania sprzeczności, postawa racjonalna, atakująca to, co było dotychczas nierozwiązywalne, nie wycofująca się ani na grunt abstrakcyjnych wszechzastosowalnych formułek typu: „człowiek nic nie może", „Władza jest trucizną", „życie nie ma sensu" ani na pozycję mistycyzmu i ucieczki w niemyślenie, niedziałanie — jest tym właśnie (obok znalezienia się na najdalej dotychczas historycznie wysuniętym etapie rozwoju społeczno-ustrojowego — źródłem naszego pierworództwa ideowomyślowego w dzisiejszym świecie. Gdzie indziej wszystko — w sferze duchowej — może być piękniejsze, efektowniejsze, bogatsze, ale nie można tam powiedzieć nic ponad to, co u nas już jest lub było.

Aż dziw bierze jak zadziwiająco wydoskonaliła się w ciągu dwóch lat doktryna, za której sprawą „pierworództwo wszelkich idei" wywodzi się z kraju socjalistycznego. I jak ucywilizowało się w czasie rekordowo szybkim owe „zdziczałe" społeczeństwo, że mogło awansować do roli bezapelacyjnego przywódcy duchowego świata, co bez wahania przyznaje panu Braunowi każdy wnikliwie myślący przybysz z Zachodu.

A może ucywilizował się sam Andrzej Braun?

Bo on również był — w stosownym czasie — „dziki", czy „wściekły", czy „pryszczaty", czy jak tam jeszcze nazywano owych zbuntowanych „targanych humanistycznym niepokojem" pisarzy.

Serce, administracja i... szmata

Ale to zdecydowanie minęło. W obecnej zadziwiającej metamorfozie — p. Brauna mamy może do czynienia — aby jeszcze raz się posłużyć celnymi wyrażeniami p. Brauna — tego sprzed dwóch lat: „z jeszcze jedną wersją starego procesu podporządkowywania człowieka i rozwoju jego świadomości administracyjnym kłopotom władzy".

Bo władza ma takie kłopoty i to poważne. Partia i rząd dały — ustami swego najważniejszego eksponenta — wyraz niewruszonej woli, aby twórczość była „zaangażowana, optymistyczna i realistyczna". Inaczej o jej drukowaniu nie będzie mowy.

Więc p. Braun ofiaruje twórczość nad wyraz zaangażowaną, nad wyraz optymistyczną oraz realistyczną — w tym sensie że nadzwyczaj wiernie przedstawiać to, co ma służyć „pokrzepieniu serc administracji".

Bo p. Braun — jak to sam z ujmującą szczerością przyznaje w jednym ze swych autobiograficznych felietonów — posiada „bardzo żywe poczucie społeczne, aby zawsze być po którejś stronie".

Andrzej Braun jest zdecydowanie produktem nowej kultury.

Co to jest produkt nowej kultury — tego nikt lepiej nie scharakteryzował niż on sam właśnie na łamach „Nowej Kultury" (z 17 lutego 1957 r.) Produktem nowej kultury są:

Ci co dotąd sztywni, oficjalni i pryncypialni, zbiorowo optymistyczni i zbiorowo pesymistyczni, publicznie weseli i publicznie zatroskani — z jednej strony są skałą, z drugiej przeżywają demonstracyjne załamania. Ci co modnie jeździli do Moskwy, modnie jeżdżą do Paryża i są modnie — szmatą.

Do ostatniego słowa — nic dodać, nic ująć...

Poławiacz Pereł

Korespondent „Tygodnia" z Kraju pisze:

TRĄD W PAŁACU K

WARSZAWA w kwietniu

„Teatr Polski" w Warszawie wystawił niedawno sztukę Ugo Betti'ego p.t. „Trąd w Pałacu Sprawiedliwości". Miała ona wielkie, niewspółmierne do swej nikłej wartości literackiej, powodzenie. Chyba dlatego, że jej tematyka okazała się bliska zainteresowaniom polskiego widza.

Małgosia Piekarska, cudowne dziecko, gra główną rolę w filmie „Przygody Basi"

W pewnym mieście włoskim szerzy się korupcja. Przybiera ona takie rozmiary, że ministerstwo sprawiedliwości wysyła komisję dla przeprowadzenia śledztwa. W aferze podejrzani są wszyscy sędziowie miejscowego sądu z jego prezesem włącznie.

Rychło ujawnia się kto jest jej sprawcą. Staje się atoli również jasne że zamieszani są w nią w mniejszym lub większym stopniu wszyscy wokół Pałacu Sprawiedliwości.

Tendencja sztuki jest aż nadto przejrzysta: chodzi o wykazanie, że korupcja jest nieodłączna od społeczeństwa burżuazyjnego; że walka z nią jest przedsięwzięciem beznadziejnym, że ci co są do niej powołani są żywotnie zainteresowani, by nie dopuścić do triumfu sprawiedliwości, który byłby równoznaczny z ich osobistą klęską i że maksimum tego co się daje zrobić jest znalezienie kozła ofiarnego, zatuszowanie skandalu i uspokojenie opinii publicznej.

Drętwa mowa i żywe życie

Sztuka była podobno wystawiona na żądanie partii. Chodziło o poglądowe uzasadnienie twierdzenia Gomułki, że nadużycia i korupcja są dziedzictwem kapitalizmu i że praworządność może zatriumfować tylko w systemie socjalistycznym.

Ale widz polski inaczej zrozumiał tę sztukę. Nie jego brać na plewy drętwej mowy, że korupcja jest atrybutem społeczeństwa burżuazyjnego, kiedy codzienne doświadczenia pouczają go, że jest ona nieodłączną cechą właśnie tego ustroju, w którym przychodzi mu — z taką trudnością — żyć.

Wszystko bowiem co jest pokazane w *fikcji* włoskiego dramaturga, rozgrywa się na skalę gigantyczną w *rzeczywistości* polskiej. Potwierdzają to spekulanci, aferzyści i złodzieje mienia publicznego idący przez kraj z groźnym pomrukiem „śmierć frajerom". I głoszą o tym codzienne oświadczenia partii i rządu, że ów wrzód musi być — będzie — „wypalony gorącym żelazem".

A ponieważ musi być i będzie, więc prasa już uderzyła w wielki dzwon triumfu. Czyta się codziennie o ogromnych postępach na drodze walki z grabieżą majątku społecznego. A miarą osiągniętych sukcesów ma być to, że w roku 1958 sądy wojewódzkie skazały za tzw. przestępstwa gospodarcze o 100 proc. więcej osób niż w roku 1957.

Niejednego mógłby zdziwić tak osobliwy wskaźnik poprawy — jak zwiększenie się liczby spraw karalnych. Ale w szczególnych warunkach, w jakich żyjemy w Polsce, nie jest to tak absurdalne jak mogłoby się wydawać. Jest to bowiem świadectwo, że — w przeciwieństwie do tego co było — niektóre przynajmniej sprawy ostatecznie trafiają do sądu. Ale bezsporny pozostaje fakt, że ilość samych przestępstw również regularnie rośnie.

Stalingrad wroga gospodarczego

Szeroki użytek propagandowy robi się również z faktu, że sądy odniosły się ostatnio z przykładną surowością do złodziei grosza publicznego. Istotnie w marcu wydano wyrok w sprawie nadużyć w przedsiębiorstwie Handlu Artykułami Przemysłowymi „Gallux". Kierownik magazynu artykułów „niechodliwych". W. Przeździecki, który przywłaszczył sobie półtora miliona, skazany został na karę dożywotniego więzienia. Inne osoby, bezpośrednio z nim współpracujące, łącznie z naczelnym dyrektorem „Galluxu", skazane zostały na długotrwałe więzienie.

Sprawie nadano rozgłos niesłychany. Prasie nakazano rozpowszechnianie poglądu, że „sądownictwo odzyskało klasowy stosunek do wymiaru sprawiedliwości", że sprawa „Galluxu" jest „Stalingradem wroga gospodarczego", że jest to „początek końca" korupcji w Polsce i że wkrótce wszyscy złodzieje grosza publicznego znajdą się za kratkami.

Oczywiście, nikt rozsądny nie bierze na serio tych optymistycznych zapewnień. Nie biorą ich na

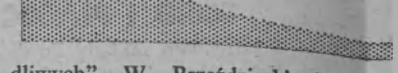

RZEMIOSŁO POLSKIE
PRACUJE NA EKSPORT

Reżym zwraca coraz większą uwagę — jak się zdaje — na rzemiosło jako instrument zwiększenia pozycji eksportowych. Jedna z najmłodszych centrali eksportowych, „Prodimex", zwielokrotniła swe obroty w pierwszym kwartale br.

Powiększono znacznie eksport na rynek brytyjski typowo polskich potraw i konserw mięsnych.

Ponad 15 tysięcy sztuk robót tkanych i ubranek dziecięcych wysłano do Rosji. Tam idą również torebki damskie z plastyku. Wyrabiane przez polskich rzemieślników materace, wartości 100 tysięcy rubli, sprzedano do Mongolii, razem z kilkunastoma tysiącami polskich butów narciarskich wyrabianych w Zakopanem.

Do Syrii sprzedano zabawki dziecięce, a do Stanów Zjednoczonych — zabawki i dewocjonalia.

Lalki i zabawki z drzewa eksportuje się do Niemiec Zachodnich. W ciągu pierwszych trzech miesięcy br. „Prodimex" wyeksportował produktów takich za sumę z górą półtora miliona rubli dewizowych i podpisał już umowy na dalszy eksport wartości 1.800.000 rubli. Jednocześnie „Prodimex" przygotowuje się skrzętnie do udziału w targach w Nowym Jorku i Chicago, gdzie chce zaprezentować wyroby polskiego przemysłu ludowego i polskiego rzemieślnika.

Znajdą się tam m.in. lalki w strojach ludowych, figurki ludowe ryte w drzewie, tace i talerze zakopiańskie, laski, pantofle pokojowe — wyrabiane przez górali, kurpiowskie wyroby z żelaza, ludowa ceramika i wyroby szklane oraz artykuły dewocjonalne, artystyczne ludowe obrusy i serwety, obrazy wypracowane w słomie.

NA POCZĄTKU

Placem Zbawiciela szedł wysoki, chudy, o wydatnym nosie i semickich rysach dwudziestoparuletni mężczyzna. Szedł zamyślony, apatyczny, jakby z ciążącym mu brzemieniem, wlokąc wolno nogę za nogą. Odgłos jego ciężkich kroków tępo dudnił po chodniku i zapadał się głucho w jezdnię wyludnionej ulicy.

— To ty Emilu? Bój się Boga, co ty tu robisz — wyrwał go z odrętwienia znajomy głos?

— Tak to ja — odpowiedział z rezygnacją, ale i z nutą przestrachu w głosie.

Przed wychudłym apatycznym Milkiem stał najserdeczniejszy jego przyjaciel wczesnych lat szkolnych, późniejszy wróg, choć może nie osobisty, w wyższych klasach gimnazjalnych i latach uniwersyteckich.

Milek był Żydem, stojący naprzeciw Bolek — przedwojennym działaczem O.N.R.'u.

— Skąd się tu wziąłeś, przecież zbliża się godzina policyjna? Coś ty, na miłość Boską, zwariował? — zapytał Bolek.

— Stamtąd — odpowiedział, wskazując apatycznie ręką na getto.

— A masz gdzie spać? — zapytał Bolek powtórnie.

Milek bezradnie wzruszył ramionami.

— Kogo bym miał śmiałość o to prosić, przecież wiem, co za to czeka — odpowiedział.

— To znaczy nie masz dokąd iść?

— Nie.

— W takim razie chodź ze mną, ale szybko, może coś wykombinujemy.

— No dobrze Bolku — odrzekł Emil, wypowiadając to imię jakby z wielkim trudem, pierwszy raz od wielu lat, — ale zdajesz sobie chyba sprawę z konsekwencji?

— O konsekwencjach to później, a teraz chodź. Szybko!

Emil po ucieczce z getta, wałęsając się cały dzień, głodny i opuszczony, teraz jakby odżył i szedł raźno. Zapomniał o swojej całodziennej samotności, o uczuciu, jakiego doznaje głodny i bezpański pies, wypatrujący zbolałymi oczami uśmiechu przyjaźni, dobrego słowa, serdecznego gestu, łaknący choć na chwilę ludzkiej dobroci. Warszawa, którą tak kochał i do której tęsknił z okropności getta była inna, żyła, pod butem terroru niemieckiego, swoimi własnymi troskami.

Weszli do domu, kilkopiętrowej kamienicy. Bolek zapalił światło. Usiedli.

— Zaraz zrobię coś do zjedzenia a teraz masz, zapal papierosa i odzipnij.

Milek był onieśmielony, żenowała go uprzejmość Bolka.

Obudziły się wspomnienia sprzed lat.

Razem z Bolkiem chodzili do szkoły powszechnej.

„O Boże — myślał — cóż to były za czasy. Bawiliśmy się razem, razem siedzieliśmy na jednej ławce, bywaliśmy u siebie w domach".

Przypomniała mu się elektryczna kolejka, którą pod choinką bawił się z Bolkiem. Razem zdawali do gimnazjum, pisali sobie wzajemnie zadania. Byli najlepszymi przyjaciółmi. Aż do szóstej klasy. Potem wszystko się zmieniło.

Bolek w drugim półroczu szóstej klasy wstąpił do tajnej gimnazjalnej organizacji O.N.R.'u i był jednym z jej „wodzów".

Od tego czasu stosunki w gimnazjum zaczęły się psuć.

Wprawdzie osobisty stosunek Bolka do Milka na pozór się nie zmienił, ale wszystko zaczęło być jakieś zupełnie inne. W czasie przerw między lekcjami tworzyły się na podwórzu gimnazjalnym grupki rozprawiających Polaków, po lekcjach schodzili się po domach na tajne zebrania.

Emil, mając wrażliwą naturę, nie chciał Bolkowi swoim towarzystwem szkodzić w organizacji. Nie miał też do Bolka za jego poglądy specjalnych pretensji. Wiedział, że antysemityzm wzbiera w całej Europie i w końcu z tym faktem ze smutkiem się pogodził. W siódmej klasie specjalnie poprosił opiekuna klasy o przeniesienie go na inne miejsce.

W kilka lat później, w czasie wakacji, kiedy Emil przyjeżdżał z Liege, gdzie studiował, do Warszawy, widywał często Bolka na ulicy, albo w kawiarni. Witali się formalnie.

Emil wiedział, że Bolek jest jednym z bardziej czynnych działaczy O.N.R.u na politechnice warszawskiej, ale równocześnie czuł, że Bolek nie jest jego wrogiem osobistym.

— Trzeba coś zjeść — powiedział Bolek, podając kiełbasę i chleb i nalewając herbatę.

W pokoju panowała cisza.

— Słuchaj, Emilu, — odezwał się wreszcie Bolek — to jest mieszkanie mojej kuzynki, nic się nie martw, będzie ci tu jak u Pana Boga za piecem. Na parterze mieszka wpływowy Volksdeutsch, na pierwszym piętrze jakaś polska kanalia, co ma chody u Niemców. Kuzynka moja będzie się tobą opiekowała. Warunek jeden, zresztą wiem, że nie muszę ci tego przypominać. Niech ci się wydaje, że jesteś po prostu więźniem. Ja tu od czasu do czasu do Ciebie doskoczę, to sobie pogadamy i tyle. Książek jest tu trochę, będziesz mógł sobie poczytać...

Pustka, jaka była między nimi zaczęła się zmniejszać.

Odczuli, że z powrotem zaczyna ich łączyć dawna nić serdeczności.

Bolek pociągnął papierosa, zamyślił się na chwilę i zapytał:

— A co z Klarką?

Klara była o rok młodszą siostrą Emila, złotą blondynką o dużych czarnych oczach. Bolek, chodząc do domu Emila, miał dużo dla niej sympatii, właściwie się w niej podkochiwał. Ona zaś zawsze wpadała nieoczekiwanie do pokoju w czasie odrabiania lekcji, żeby choć przez chwilkę zerknąć na Bolka. Podobał się jej ogromnie. W siedemnastym roku życia została wciągnięta do tajnej organizacji komunistycznej i od tej pory stała się zażartą komunistką. Drogi ich się rozeszły zdecydowanie.

— Nawet nie wiem — odpowiedział Emil. — Znikła z getta. Może że przeszła na tamtą stronę...

Rozmowa stawała się coraz serdeczniejsza.

Bolka coś gnębiło. Chciał wreszcie zrzucić przed przyjacielem ciążące mu przez tyle lat brzemię, nie chciał by między nimi pozostały jakiekolwiek niedomówienia.

— Wiem tam — wskazał ręką w stronę getta — odbywa się najstraszliwsza ludzka tragedia, jaką sobie można wyobrazić. Byłem tam kilka razy i nie mogłem... nie mogłem patrzeć na to, co się tam dzieje. Byłem zupełnie zdruzgotany. Strasznie mi żal dzieci i zdziwisz się na pewno: — starych pejsatych Żydów...

Nigdy, wyznam ci teraz prawdę, nigdy, nawet przed wojną nie mogłem znieść ich smutnych i wiecznie tęsknych oczu. Zawsze od dzieciństwa przechodził mię dziwny dreszcz, kiedy widziałem w sobotę starych modlących się Żydów. Oni się naprawdę modlili. Widać było, że każda ich myśl, każdy nerw, każda cząsteczka ich „ja" była skierowana ku Temu, Który Jest. Naprawdę w tym wszystkim było coś wstrząsającego.

Wiesz, wasz stary tragiczny na-

B.D.I.C

NIE-SPRAWIEDLIWOŚCI

serio przede wszystkim władze, świadome, że więzienie nie jest lekarstwem na chorobę powszechnej korupcji. Tajne instrukcje dla sądowników nakazują uciekać się do sankcji więziennych tylko w wypadkach wyjątkowych i dla celów pokazowych.

Sposoby jakimi się posługują władze sądowe dla wykonania tych instrukcji są wręcz groteskowe. Niedawno sąd powiatowy w Pszczynie, uzasadniając wyrok w sprawie przestępcy gospodarczego, „uwzględnił fakt", że właśnie odbył on karę więzienia, które go nie wychowało; wobec czego „ponowne umieszczenie go w więzieniu również nie byłoby dla niego wychowawcze".

Ważniejsze jest atoli to, że tylko mała cząstka, szczególnie jeżeli chodzi o grubszych aferzystów i łapowników, może trafić do więzienia.

Proces „Galluxu" objął tylko mały wycinek sprawy: z Przeździeckim związani byli ludzie spoza kierownictwa przedsiębiorstwa — i znacznie wyżej od niego postawieni — których nazwiska pozostały nieznane.

Gospodarcza organizacja przestępczości

Kiedykolwiek wykrywa się w Polsce przestępstwo gospodarcze, rzeczą uderzającą jest absolutna solidarna powszechność udziału w nim personelu.

Tak było w Galluxie; tak było w sprawie Łańcuckiej Fabryki Śrub, gdzie w malwersacjach brali udział wszyscy pracownicy administracji — od dyrektora naczelnego począwszy, na magazynierze działu zbytu skończywszy.

Nie inaczej przedstawiały się sprawy w warszawskiej restauracji „Europa" Zmieniały się bufetowe, zmieniali się kucharze, zmieniali się kierownicy, ale wszyscy po kolei popełniali te same nadużycia.

Przedsiębiorstwa państwowe w Polsce zorganizowane są na podobieństwo band przestępców: jest to chyba jedyny w socjaliźmie przykład wzorowej, zgranej i „rytmicznej" współpracy wszystkich członków zespołu.

Cechą charakterystyczną „modelu polskiego" jest przestępcza organizacja gospodarcza i gospodarcza organizacja przestępczości.

Koszty handlowe

Zapyta kto: a kontroli nie ma? Ależ jest, oczywiście. Tylko że też jest finansowo zainteresowana w pomyślnym przebiegu afery oszukańczej.

Niedawno wpłynęła sprawa kierowniczki kasy spółdzielczej w Grójcu, która przywłaszczyła sobie ogromną sumę pieniędzy. Musiała się ich nakraść niemało, aby starczyło na przekupienie całego aparatu kontrolnego.

Czasem te „koszty handlowe" są tak duże, że afera finansowo się nie kalkuluje. Na procesie w Bydgoszczy o nadużycia w BZIEiS (kto zgadnie co to jest?) H. Środa, oskarżony o sprzeniewierzenie 560 tysięcy, oświadczył, że faktycznie sprzeniewierzył tylko 20 tysięcy. Resztę zużył na łapówki niezbędne dla przeprowadzenia zaplanowanej afery.

Charakterystyczna była wypowiedź jego obrońcy: „Kto nie ma pieniędzy jest pogardzany, a oskarżony Środa nie chciał być pogardzany".

„Jedź Pani do Szwecji"

Czyż więc nie ma w Polsce ludzi uczciwych?

Na pewno są. Ale na uprawianie cnoty uczciwości nie ma na razie warunków. Zmieniając trochę popularne powiedzenie rosyjskie (choć ani na jotę nie zbaczając z rosyjskiej praktyki) można powiedzieć: kto nie kradnie, ten nie je. A kto innym kraść przeszkadza może się znaleźć na bruku.

Jak ta kierowniczka sklepu tekstylnego w Łodzi, co w naiwności swej wzięła na serio zdanie figurujące w statucie partii o zwalczaniu „wszelkich nieprawości i nadużyć". Uznała że powinna zwalczać oszukiwanie ludzi jakie systematycznie praktykowano w jej sklepie. Poszła na skargę do dyrekcji.

Powiedziano jej:

— Jedź Pani do Szwecji, tam nie ma złodziei.

Inni zamiast do Szwecji, jadą do więzienia. Jan Szybalski ujawnił oszukańcze praktyki w swym przedsiębiorstwie. Zapomniał o zdrowej zasadzie: nie mów pacholę co się dzieje w szkole Po trzech miesiącach więzienia śledczego odzyskał wolność, ale nie odzyskał posady ani innej nie mógł zdobyć.

A słynna „gliwicka trędowata"?. Ta też miała zapędy reformatorskie. Znalazła się na bruku z „wilczym biletem". Nikt jej nie chciał przyjąć do pracy. Zarobiła sobie na opinię „rozrabiaczki"; rozniosła się wśród kierowników sklepów wieść, że jest „niepewna", że „sypie", „łamie zasady wewnątrz organizacyjnej demokracji".

Sitwa wie jak się bronić!

Przykłady można mnożyć w nieskończoność. Ilustrują one smutną sytuację ale, jak się u nas mówi, „odpowiadającą prawidłowościom życia" w społeczeństwie „socjalistycznym". Nie byle jaki autorytet w jego sprawach, sam Józef Stalin, powiedział wielkie słowo:

„Kumoterstwo to ostatnie ludzkie uczucie w socjaliźmie".

Biada mądremu — powiada pisarz rosyjski. U nas i uczciwemu biada. Spostrzeżenia pisarzy rosyjskich mają pełne zastosowanie w Polsce od czasu gdy kraj nasz znalazł się w zasięgu wpływów kulturalnych i moralnych Wschodu.

Konstanty Październik

Handelek kwitnie jak 100 kwiatów

Handel w Polsce kwitnie i to przede wszystkim z „inicjatywy prywatnej" poza i ponad planem gospodarczym troskliwie ustalonym przez partię. Kwitnie on dzięki współpracy „obywateli" innych demokracji ludowych i przede wszystkim „przodującego" kraju socjalizmu, „Związku Radzieckiego". Wytworzyła się w ten sposób swoista koordynacja prywatnego rynku „socjalistycznego", funkcjonującego znakomicie poza zasięgiem partii i często przy czynnym współudziale funkcjonariuszy partyjnych.

EX-ORIENTE — FUKS

Wyjazdy z Polski do Rosji i tzw. demokracji ludowych są bez porównania tańsze, niż wyjazdy na Zachód. Ale są one też wysoce opłacalne. Stąd też ruch turystyczny ma charakter masowy. Zwłaszcza podróż do Rosji przynieść może poważne zyski.

Wymaga to jednak pewnego kapitału obrotowego — 10 do 20 tysięcy złotych, jeśli ma się pokryć koszty przejazdu i utrzymania; względnie 20-40 tysięcy złotych — jeżeli kapitał ma przynieść oprócz tego 100 proc. czystego zysku.

Ponieważ mało kto ma takie sumy, tworzą się spółki, których uczestnicy dzielą następnie zyski między siebie. Są ludzie w Polsce, żyjący z tego że wyszukują osoby mające dane na wyjazd do Rosji, następnie namawiają je, by się podjęły podróży — na „bazie handlowej" — a później nawet organizują całą podróż.

Specjalnie uprzywilejowani w wyjazdach do Rosji — to obywatele polscy, którzy dawniej posiadali obywatelstwo sowieckie.

Do tej kategorii należą przede wszystkim Rosjanki, żony Polaków. Stworzyły one sobie z tych wyjazdów świetne źródło dochodu, niejednokrotnie znacznie przewyższające roczne zarobki ich mężów.

DEPESZA O CHOROBIE

Wyjazd taki musi być krótki, bo „turystka" prawie zawsze zabiera z sobą żywność na cały czas pobytu. Technika wyjazdu polega na tym, że „przerywa" go się depeszą o chorobie męża czy dzieci, które pozostały w Polsce.

Jeżeli po tygodniu czy 10 dniach pobytu w Rosji, osoba, która otrzymała wizę na 2-3 miesiące, aby odwiedzić rodzinę lub „nacieszyć się" ojczyzną, otrzyma depeszę wzywającą ją do powrotu do Polski — istnieje podstawa, by w krótkim czasie dostać zezwolenie na ponowny wyjazd do Rosji.

Dla normalnie sprytnej osoby towar wartości 50-60 tysięcy złotych, to maksimum jakie może zabrać — z uwagi na urzędy celne i transport. Ale nie należą do rzadkości wypadki, gdy wywożono towar wartości nawet 100 tysięcy złotych.

Co wchłania rynek prywatny przodującego kraju socjalizmu?

TOWARY CHODLIWE W ROSJI

Wywozi się przede wszystkim materiały „pekaesowskie", eksportowe z pieczątką „Made in Poland — Materiał Eksportowy", dalej kretony, w bardzo jaskrawych kolorach, najlepiej drukowane w róże czy w maki, plusze i aksamity na suknie poszukiwane głównie przez najlepiej uposażonych odbiorców „radzieckich".

Masowo idą w Rosji pluszowe nakrycia na łóżka, makatki i dywaniki, przy czym tutaj rolę grają kolory i wymalowane względnie wyhaftowane sceny. Największym powodzeniem cieszą się sceny miłosne w rodzaju „Romeo i Julia", sceny wschodnie z Arabami, wielbłądami i odaliskami. Najmniej cenione są ornamenty i wzory geometryczne.

Nabywcami tych makat są wysocy funkcjonariusze partyjni i rządowi w miasteczkach i stolicach „obłasti". Popyt na nie na rynku sowieckim, podwyższył znacznie ich cenę u sprzedawców polskich na rynku krajowym orientujących się doskonale w możliwościach zbytu w Moskwie i na prowincji Tym bardziej że tego rodzaju towar skupują masowo w Polsce żony funkcjonariuszy sowieckich, stacjonujących w kraju i one to głównie podbijają ceny.

Często się zdarza, że duża ilość towaru nie pozwala „turystce" zająć się osobiście jego sprzedażą. Ale w tym celu są odpowiednie adresy np. we Lwowie, gdzie zakonspirowane „hurtownie" skupują za gotówkę rzeczy przywiezione z Polski, płacąc zresztą dobre ceny, a potem rozprowadzają towar po całej ZSSR.

Kto nie zna tych adresów, względnie nie ma rodziny, która by mogła się zająć sprzedażą, ten po prostu stoi sam na targu we Lwowie i sprzedaje towar od ręki. Choć w zasadzie podróże w głąb Rosji nie podlegają żadnym ograniczeniom, to jednak zapuszczanie się dalej w „celach handlowych" może być niebezpieczne, gdyż cudzoziemcy są często dyskretnie śledzeni.

Co innego, jeżeli ktoś posiada rodzinę w głębi Rosji i jedzie tam za wiedzą władz. Są to „szczęśliwcy" dlatego przede wszystkim, że każdy Rosjanin posiadający pieniądze jest potencjalnym nabywcą polskiego towaru, a w Kijowie czy Charkowie otrzymuje się ceny nieporównanie wyższe niż we Lwowie lub Wilnie.

Niesłabnącym powodzeniem cieszy się w Rosji polska bielizna damska i pończochy perlonowe.

Z Rosji przywozi się przede wszystkim lodówki, telewizory, aparaty fotograficzne, aparaty filmowe, futra, złote zegarki i pierścionki. Na tym zarabia się najwięcej.

„DEMOKRACJE LUDOWE"

„Współpraca" kwitnie także z innymi tzw. „demokracjami ludowymi", choć jest stosunkowo mniej opłacalna, niż z „przodującym krajem socjalistycznym".

Wyjazdy do Rumunii i Bułgarii nie przynoszą większych zysków, ale z łatwością można sobie pokryć przejazd i 14-dniowy pobyt nad Morzem Czarnym.

Wypadek konkretny.

Ktoś z Polski wyjechał z synem na miesiąc do Rumunii, z czego 18 dni spędził nad Morzem Czarnym a resztę w Bukareszcie. Wywieźli z Polski 4 zegarki na rękę, trochę damskiej bielizny nylonowej, kilkanaście sznurków sztucznych pereł i kilka sztuk sztucznej biżuterii przywiezionej poprzednio z Czechosłowacji. Zapłacili sobie w ten sposób cały pobyt w Rumunii i podróż. Poza tym zaś kupili dwa płaszcze z uszlachetnionych baranów i 160 dolarów w gotówce. W ten sposób po potrąceniu kosztów podróży i „eksportu" zarobili na czysto 17 tysięcy złotych.

Do Bułgarii wozi się towar podobny jak do Rumunii, ale niewiele jest tam do kupienia, poza futrami i olejkami. Celnicy bułgarscy, podobnie jak rumuńscy, przyjmują łapówki w gotówce pieniężnej.

Trudniej „handlować" z Węgrami, choć i tutaj można zawsze liczyć na pokrycie kosztów wyjazdu i pobytu w całości lub przynajmniej w części.

CZECHY SABOTUJĄ

Najtrudniejsza i najbardziej ryzykowna, jeżeli idzie o „zyski", jest wyprawa do Czechosłowacji. Wymiana „handlowa" odbywa się przeważnie w pasie przygranicznym. Ze strony czeskiej trzymają ją w rękach „zawodowcy", którzy dyktują ceny, nie przyjmują dziś towaru, który brali wczoraj. A poza tym turystów polskich traktują z góry i niechętnie.

Żelazna pozycja „eksportu" polskiego do Czechosłowacji — to słonina i spirytus. Nabycie czegokolwiek w sklepach strefy przygranicznej jest już dziś trudne. Personel sklepowy czeski z pogardą traktuje polskich „turystów" i często odmawia sprzedaży towaru Polakom. W dodatku celnicy na granicy, zarówno polscy jak i czescy są szczególnie surowi i „niechętni".

Nauka stąd prosta: że czas najwyższy już, by Czechosłowacja „wyrównała front socjalistyczny" w inicjatywie prywatnej i by nie „sabotowała" tak zalecanej przez Chruszczowa koordynacji gospodarczej obszaru.

Zwłaszcza, gdy Związek „Radziecki" daje tak świetlany i pouczający przykład.

J.B.

PIOTRUŚ PALECZNY
uczeń szkoły muzycznej w Rybniku, obdarzony absolutnym słuchem muzycznym.

BYŁA MIŁOŚĆ

ród, oderwany od wieków od swojej ziemi składa się jakby z dwóch części. Jedna to ci — wybacz mi Milku moją szczerość — którzy kręcą się wokół tronów tego świata, którzy brzęczą monetą, ci, którzy są twórcami teorii rzekomego postępu, a w zasadzie sieją nienawiść; i druga — to starzy, często obdarci, z wiecznie melancholijnymi oczami, Żydzi, którzy płacą ten straszliwy haracz — co pewien czas odnawiających się okropnych nieszczęść. Ta nędza żydowska, jedząca cebulę i przeważnie nie mająca paru złotych na kupienie ryby na szabas...

Umilkł.

Z getta dochodziły pojedyńcze strzały.

* * *

Był listopad 1943 roku.

W słabo oświetlonej chacie za stołem siedziała w fufajce śliczna dziewczyna. W mdłym świetle lampy ostre jej rysy uwydatniały się jeszcze bardziej, a złote jej włosy nabierały dziwnie jasnego koloru. Była zmęczona. Przetarła oczy, wyprostowała się i zapaliła papierosa. Zaczęła rozmyślać. Zwycięstwa szybko zbliżającej się czerwonej armii napawały ją otuchą.

„Tak — myślała — niedługo koniec faszyzmu. A potem, potem „bój to będzie ostatni, krwawy skończy się trud'. A może to jest ten ostatni bój? Kto wie, czy ustroje kapitalistyczne same się nie rozłożą od wewnątrz? A może w rozwoju historycznym, idącym nieuchronnie ku socjalizmowi, faszyzm nie jest ostatnim drgnieniem skazanego na zagładę kapitalizmu?

Karmiona dialektyką materialistyczną, widziała wojnę niemiecko-sowiecką jako jeden z końcowych przejawów za wszelką cenę chcącego się utrzymać przy życiu „ginącego kapitalizmu". Wszelkie wojny i cały rozwój ludzkości prowadziły w jej pojęciu ku — socjalizmowi.

„Ale przecież nie mylił się Lenin, kiedy twierdził, że — śmiertelnie zagrożony naturalnym rozwojem dziejów — kapitalizm pójdzie na ostatnią wojnę, która stanie się jego grobem. Burżuazje Zachodu zrobią wszystko, ażeby się ostać przy życiu po pokonaniu faszyzmu niemieckiego. Musimy się przygotować, w myśl zasad Lenina, do nowej ostatecznej rozprawy z kapitalizmem"...

Rozległo się pukanie. Za chwilę wszedł młodzieniec dwudziestoparoletni z czerwoną pięcioramienną gwiazdą na czapce i coś zameldował po rosyjsku.

— Wprowadzić — powiedziała siedząca za stołem dziewczyna.

W nędznym świetle skwierczącej lampy stanął rosły mężczyzna. Za nim dwóch uzbrojonych w pepesze czerwonych partyzantów. Jeden z nich położył na stole jakieś papiery.

— Wyjść — powiedziała dziewczyna do partyzantów.

Podniosła oczy i objęła nimi stojącego jeńca. Zadrżała — był to jej stary znajomy — Bolek.

A ona, Klara, była dowódcą oddziału partyzantów sowieckich w Nowogródczyźnie. Bolek zaś od pewnego czasu przebywał w tej okolicy, wysłany z centrali konspiracyjnej z Warszawy.

On ją też poznał.

Za stołem w świetle wiejskiej lampy wydała mu się piękniejsza niż kiedykolwiek.

Popatrzył śmiało przed siebie. Spojrzenia ich się spotkały.

Klara opuściła oczy. Przed nią na stole leżał list do Bolka, pisany ręką Milka.

Poznała pismo brata, wzięła list do ręki i spytała po polsku:

— Czy można?

Bolek stał przed nią blady, bez ruchu, nie mogąc wydobyć słowa.

— Proszę usiąść — powiedziała, wskazując na stojące po drugiej stronie krzesło.

Zaczęła czytać... Oczy jej jakby się rozszerzały.

List Milka, był — pisanym krótkim stylem wojskowym — raportem podwładnego do dowódcy. Ale na końcu zawierał serdeczny dopisek, świadczący o żarliwej przyjaźni obu

żołnierzy Armii Krajowej — podwładnego i dowódcy.

— Spotkałeś go pewnie w getcie? — spytała spokojnie.

— Nie — odpowiedział Bolek — na Placu Zbawiciela.

Milczeli.

— Każę cię odprowadzić do Wielkiszek. Stamtąd skręcisz na zachód, tam są twoi — powiedziała wreszcie jakimś nieswoim głosem.

— Pozdrów... pozdrów Milka.

— A co z tobą będzie, Klarko.

— A co z tobą by było, gdyby cię Niemcy z Milkiem złapali — odrzekła spokojnie.

Leszek Szymański

Pamiętaj abyś dzień święty święcił...

KALENDARZYK

NIEDZIELA 3 MAJA
Piąta niedziela po Wielkanocy. (Wiernych obowiązuje w tym dniu wysłuchanie Mszy św. i wstrzymanie się od ciężkich robót służebnych).
Znalezienie świętego Krzyża.
Św. Aleksandra, papieża, męcz.
Świętych Męczenników: Aleksandra, Ewencjusza i Teodula.

Św. Konleta, biskupa, wyznawcy.
Św. Etelwina (Aylwin), biskupa, wyznawcy.
Św. Violi, męczenniczki.

PONIEDZIAŁEK 4 MAJA
Poniedziałek Dni Krzyżowych.
Błog. Męczenników Anglii i Walii.
Św. Floriana, męczennika.
Św. Moniki, wdowy.
Błog. Michała Giedroycia.
Błog. Jana Haile, męczennika.
Błog. Waltera Pierson, męcz.

WTOREK 5 MAJA
Wtorek Dni Krzyżowych.
Św. Piusa V, papieża, wyznawcy.
Św. Mauruncjusza, opata, wyzn.
Św. Anioła, męczennika.
Św. Ireny, męczenniczki.
Błog. Jutty, (Judyty) wdowy.

ŚRODA 6 MAJA
Środa Dni Krzyżowych.
Św. Jana Apostoła Ewangelisty przed Bramą Łatyńską.
Św. Eadberta, biskupa, wyzn.
Błog. Antoniego Middleton, męcz.
Błog. Prudencji, panny.

CZWARTEK 7 MAJA
Wniebowstąpienie Pana Naszego Jezusa Chrystusa.
(W dniu tym wiernych obowiązuje wysłuchanie Mszy świętej).
Św. Maureliusza, bisk., męcz.
Św. Jana z Beverley, bisk., wyzn.

PIĄTEK 8 MAJA
(Wiernych obowiązuje w tym dniu abstynencja, tj. wstrzymanie się od jedzenia mięsnych pokarmów).
Św. Stanisława, biskupa, męcz., głównego Patrona Polski.
Zjawienie się Św. Michała Archanioła.
Św. Benedykta II, papieża, wyzn.
Św. Piotra z Tarentaise, biskupa, wyznawcy.

SOBOTA 9 MAJA
Św. Grzegorza z Nazjanzu, bisk., wyznawcy, Doktora Kościoła.
Błog. Mikołaja Albagati, biskupa, wyznawcy.

EWANGELIA NIEDZIELNA

Na niedzielę piątą po Wielkanocy czyta nam Kościół święty wyjątek z Ewangelii Św. Jana (r. 16, w. 23-30):

W on czas:

Rzekł Jezus uczniom swoim: Zaprawdę, zaprawdę powiadam wam: Jeśli o co prosić będziecie Ojca w imię moje, da wam. Dotychczas o nic nie prosiliście w imię moje, proście a otrzymacie, aby radość wasza była pełna.

To wam mówiłem w przypowieściach. Nadchodzi godzina, gdy już nie w przypowieściach mówić wam będę, ale jawnie o Ojcu oznajmię wam.

W on dzień w imię moje prosić będziecie i nie mówię wam, że ja będę prosił Ojca za wami, sam bowiem Ojciec miłuje was, boście wy mnie umiłowali i uwierzyliście, że od Boga wyszedłem. Wyszedłem od Ojca i przyszedłem na świat, znowu opuszczam świat i idę do Ojca.

Rzekli Mu uczniowie Jego: Oto teraz jawnie mówisz i żadnej przypowieści nie powiadasz. Teraz wiemy, że wszystko wiesz i nie potrzebujesz, żeby Cię kto pytał: dlatego wierzymy, że od Boga wyszedłeś.

EWANGELIA

na Wniebowstąpienie Pańskie

Według Św. Marka (r. 16, w. 14-20):

W on czas:

Gdy jedenastu uczniów siedziało u stołu, ukazał się im Jezus i ganił niedowiarstwo ich i twardość serca, że nie uwierzyli tym, którzy Go widzieli zmartwychwstałego.

I rzekł im: Idąc na cały świat głoście Ewangelię wszelkiemu stworzeniu. Kto uwierzy i ochrzci się, zbawion będzie, a kto nie uwierzy, będzie potępiony. A tym, którzy uwierzą, takie cuda towarzyszyć będą: w imię moje będą czarty wyrzucać, nowymi językami mówić będą, węże będą brać i choćby coś śmiertelnego pili, szkodzić im nie będzie; na chorych ręce kłaść będą, a wyzdrowieją.

A Pan Jezus potem, gdy do nich przemówił, wzięty był do nieba i zasiadł na prawicy Bożej. Oni zaś wyruszywszy przepowiadali wszędzie — a Pan dopomagał i utwierdzał mowę przez cuda w ślad za nimi idące.

BŁOGOSŁAWIONY DLA CZYNU

Mszalną Lekcją w piątą niedzielę po Wielkanocy jest wyjątek z Listu Św. Jakuba Apostoła (r. 1, w. 22-27):

Najmilsi:

Bądźcie wykonawcami słowa, a nie tylko słuchaczami, oszukującymi samych siebie. Bo jeśli kto słucha słowa, a nie wypełnia go, podobny będzie do człowieka przypatrującego się naturalnemu swemu obliczu w zwierciadle, gdyż przypatrzył się sobie i odszedł, a niebawem zapomniał, jakim był.

Kto zaś wniknął we wzniosłe prawo wolności i wytrwał w nim, stał się nie tylko zapominającym słuchaczem, ale wykonawcą dzieła: ten będzie błogosławiony dla czynu swego.

A jeśli kto mniema, że jest pobożny nie powściągając języka swego, lecz zwodząc serce swoje, tego pobożnośc próżna jest.

Czystą i nieskalaną pobożnością wobec Boga i Ojca jest nawiedzanie sierot i wdów w utrapieniach ich i strzeżenie samego siebie od zmazy tego świata.

MYŚLI O MODLITWIE

Niezależnie od miejsca, w którym człowiek modli się, Bóg przemawia do człowieka wtedy tylko, kiedy w ludzkiej duszy panuje spokój. Spokój ciała i ducha. Jest to trudne do osiągnięcia w zamieszaniu, rozgwarze i rozproszeniu dzisiejszych miast. Dlatego kościoły są szczególnie dzisiaj nieodzowne, w nich bowiem łatwiej jest człowiekowi znaleźć, choćby na chwilę, warunki i fizyczne i psychiczne, niezbędne dla osiągnięcia spokoju wewnętrznego.

◆

Jeśli modlitwa staje się w człowieku przyzwyczajeniem, wówczas ona wywiera wpływ na jego charakter. Epiktet powiedział: „Myśl o Bogu częściej niż oddychasz!" Istotnie, modlić się należy często, ale absurdem jest modlić się rano, a przez resztę dnia żyć i zachowywać się niczym barbarzyńca. Nawet najkrótsze myśli o Bogu albo myślne wezwania Boga są w stanie utrzymać człowieka w Bożej obecności. Wtedy całe postępowanie człowieka kierowane jest modlitwą. I tak pojęta modlitwa staje się metodą życia.

◆

Na duszę i ciało modlitwa działa w sposób, który zdaje się zależeć od jakości modlitwy, od jej nasilenia i jej częstości. Jeśli chodzi o poznanie częstości modlitwy, nie przedstawia to trudności. Nawet jeśli chodzi o natężenie modlitwy, to w pewnej mierze i poznanie natężenia jest łatwe. Jedynie jakość modlitwy pozostaje nieznana. Nie posiadamy bowiem sposobu mierzenia ani wiary człowieka ani jego zdolności miłowania bliźniego. Jednak sposób życia człowieka, który się modli, może nam przecież poniekąd wyjaśnić jakość jego wezwań, kierowanych do Boga.

◆

Jeśli modlitwa posiada małą wartość, polegając przede wszystkim na machinalnym recytowaniu formułek, to nawet wtedy wywiera ona wpływ na nasze postępowanie, wzmacnia ona bowiem w nas zmysł świętości i zmysł moralny. Środowiska, w których ludzie modlą się, nacechowane są pewną stałością poczucia tak obowiązku jak i odpowiedzialności. Ludzie tych środowisk mają jakąś dobroć wobec innych, odznaczają się zdecydowanie mniejszą zazdrością, mniejszą podłością. Wydaje się być dowiedzone, że przy jednakowym umysłowym rozwoju, jednostki, które się modlą, pod względem charakteru i wartości moralnej stoją daleko wyżej od jednostek, które się nie modlą.

◆

Jeśli modlitwa staje się przyzwyczajeniem i jest naprawdę żarliwa, wtedy jej wpływ na życie człowieka jest zupełnie zrozumiały. Moglibyśmy to porównać poniekąd z działaniem jakiegoś gruczołu o wewnętrznym wydzielaniu, jak np. tarczycy czy też nadnercza. To polega na pewnego rodzaju przemianie tak umysłowej jak i organicznej.

Przemiana taka nie następuje od razu, lecz dokonywuje się ona etapami. Powiedzmy, że gdzieś w głębi świadomości zapala się nagle płomień. Człowiek widzi siebie takim, jakim jest w rzeczywistości, widzi swój egoizm, chciwość, swoje błędy w ocenach, swoją pychę. Wtedy czuje konieczność wypełnienia moralnego obowiązku. Dąży do osiągnięcia umysłowej pokory. I tak przed człowiekiem otwiera się królestwo Łaski.

Z Łaską nadchodzi wewnętrzne ukojenie, powoli wytwarza się harmonia czynności nerwowych i duchowych. Daje się zauważyć większa wytrzymałość na niedostatek i biedę, na oszczerstwa, na troski. Co więcej: tworzy się dziwna zdolność do przyjęcia bez załamania się życiowych ciosów, jak strata bliskich, jak cierpienie, choroba i śmierć.

Kościół św. Katarzyny w Krakowie (gotyk z XIV wieku)

◆

Modlitwa daje wiernym jakieś szczególne piętno. Ludzie, którzy się szczerze modlą, mają jasne spojrzenie, opanowanie, wyraz pogodnej radości, w zachowaniu się i w postępowaniu cechuje ich dzielność. W razie potrzeby potrafią z prostotą przyjąć żołnierską czy męczeńską śmierć.

Pod wpływem modlitwy nawet nieuczeni, słabi i niezdolni, daleko lepiej wykorzystują swoje siły intelektualne i moralne. Modlitwa podnosi ludzi ponad ich mentalność. Człowiek staje przed Bogiem i to napełnia go spokojem, który z nich promieniuje i który jest wszędzie, gdzie tylko się zwrócą.

Nie należy ograniczać zmysłu świętości jedynie do lęku, odczuwanego przez człowieka wobec niebezpieczeństw, jakie go otaczają, i wobec tajemnicy wszechświata. Nie należy też uważać modlitwy za napój uśmierzający, za lekarstwo przeciwko naszej trwodze przed cierpieniem, przed chorobą i przed śmiercią.

◆

Jakie miejsce w naszym życiu wyznacza modlitwie sama przyroda? Miejsce to jest naprawdę bardzo ważne. W ciągu naszych dziejów modlitwa była potrzebą tak samo elementarną, jak podboje, jak praca, jak budowa i jak miłość. Zmysł świętości wydaje się być bodźcem, pochodzącym z największych głębin naszej istoty, czynnością zasadniczą. W pewnej grupie ludzkiej łączy się on prawie zawsze z innymi czynnościami podstawowymi, ze zmysłem moralnym, i z charakterem, a często i ze zmysłem piękna. I tej tak ważnej cząstce nas samych pozwoliliśmy obumrzeć, a nawet zupełnie zaniknąć.

(Myśli wybrane z rozważania prof. A. Carrela: „O modlitwie".)

Co tydzień DZIECIOM

DZIEJE BIAŁEGO KRUKA

„Gdyby tak zjawił się mój Anioł! — wzdychał nadal Niekruczek, siedząc w swej klatce. — Gdyby się zjawił, to by na pewno mnie uwolnił!"

Lecz mijały dnie, tygodnie, miesiące i lata, Anioła zaś jak nie było tak nie było. „Pewno już zapomniał o mnie!" — martwił się Niekruczek.

Tymczasem dyrektor cyrku widząc, że ludzi koło kruka coraz mniej i mniej pieniędzy w kasie, postanowił nową wykombinować sztukę: posadzić Niekruczka na grzbiecie lwa, który by galopował dookoła areny. BIAŁY KRUK NA GRZBIECIE LWA — ogłosił czerwonymi i niebieskimi afiszami. Jednak wiedząc, że Niekruczek umie latać i od razu z grzbietu lwa poleci sobie, porozumiał się z weterynarzem, by ów tak podciął skrzydła Niekruczkowi, żeby ten już nigdy więcej latać nie potrafił. Niekruczek dowiedział się o wszystkim. Powiedział mu o tym wąż boa, wyślizgnąwszy się z klatki.

— Już nigdy nie ujrzę słońca unoszącego się nad chmurami! — zapłakał głośno Niekruczek i zaczął rozmyślać, dlaczego los go tak prześladuje. Wreszcie doszedł do wniosku, że to sprawiedliwe. „ Tyle mam grzechów na sumieniu!" — mówił sobie. „Nie słuchałem rad ojca, ba zapomniałem o ojcu i matce wśród przyjemności latania. Kiedy chciałem nieopatrznie siąść na chmurze, uderzyłem Anioła. Musiałem go mocno uderzyć, a on mimo to mnie uratował! Chcąc ostrzec sarnę przed wilkami — zamiast spokojnie rzecz wyjaśnić — przestraszyłem tylko młodego sarniuczka! Pomagałem zaś ślepemu, chcąc się pochwalić przed ludźmi, jaki jestem dobry i słyszeć jak mnie ptakiem Bożym nazywają. Nie dlatego by pomóc biednemu w potrzebie. O tak! Byłem zły i dlatego muszę utracić, co mam najlepszego: skrzydła. Tak sobie mówił Niekruczek i płakał.

Na drugi dzień przy klatce zjawił się dyrektor cyrku i weterynarz. Ten weterynarz dziwnie wyglądał. Miał olbrzymi garb na plecach i ogromne nożyce w ręku.

— Widzisz te nożyce? — śmiał się z Niekruczka dyrektor. — Zaraz będzie ciach, ciach i po skrzydłach. Biały kruk bez skrzydeł! Ha, ha, ha! Jakie to zabawne.

Niekruczek nie odpowiadał, co rozzłościło dyrektora.

— Czemu nie płaczesz? — wrzasnął. — Płacz i narzekaj, bo ci tak każę! Nigdy latać nie będziesz! Rozumiesz? Nigdy! Jak kura będziesz chodził po ziemi! Kruk kurą! Biały kruk kurą! Ha, ha ,ha! Ależ to zabawne. No, weterynarzu, bierz się do dzieła!

To wykrzykując dyrektor z batem ruszał swoimi długimi wąsami, które sterczały jak dwa sztylety, a z których był nad wyraz dumny.

Na wezwanie dyrektora weterynarz zbliżył się do klatki. Niekruczek zamknął oczy. Rozległo się głośne „ciach, ciach" nożyc i... głośny wrzask dyrektora:

— Moje wąsy! moje wąsy!

Bowiem weterynarz zamiast podciąć Niekruczkowi skrzydła, uciął wąsy dyrektorowi. Dyrektor rzucił się na weterynarza, lecz odezwał się ryk potężny. To wszystkie zwierzęta wyłamały się z klatek i rzuciły się na dyrektora z batem. Ten prędko bat rzucił, klęknął i zaczął prosić:

— Już nigdy, nigdy nie będę, tylko wróćcie do klatek!

Teraz weterynarz zrzucił kitel. Od razu pokazały się zamiast garbu olbrzymie białe skrzydła u ramion. Za jednym skinieniem jego dłoni zwierzęta znikły. Przeniesione zostały każde do swojej krainy: lew do Afryki, tygrys do Indii, niedźwiedź na Litwę, struś na puste równiny krajów gorących, wąż boa — do Brazylii.

Anioł, gdyż on to był, otworzył teraz prędko klatkę Niekruczka i razem polecieli hen! aż pod chmury, przebili chmury i objęły ich złote, gorące promienie słońca!

— Tutaj się rozstaniemy — rzekł Anioł. — Wróć na swój dąb i staraj się żyć mądrzej niż dotychczas! Jeżeli znów zaczniesz swe swawole, może cię spotkać jeszcze coś gorszego! Masz zaś żyć sto lat! Bo tak długo kruki żyją... Żegnaj Niekruczku, bądź dobrym białym krukiem!

I Anioł odleciał.

MIECZYSŁAW LISIEWICZ

CUDOWNA PODRÓŻ W PRZESTRZENI I CZASIE

Przyjrzyjcie się dobrze obrazkom. Dziewczynka rozmawia z foką, chłopiec z polską królową i królewiczem... Cóż to za dziwy?!... To NOWY KONKURS Dodatku dla Dzieci. Konkurs pt. „Cudowna podróż w czasie i przestrzeni" dla wszystkich, którzy lubią konkursy pisemne.

Wyobraźcie sobie, że macie do dyspozycji wspaniały, nowoczesny wynalazek a mianowicie pocisk, za pomocą którego możecie polecieć na księżyc, czy Marsa; wydostać się na szczyt najwyższych gór; zwiedzić dalekie lądy i morza; spotykać się i rozmawiać z różnymi zwierzętami; spacerować po dnie morza; znaleźć się w środku dzikich puszcz albo dżungli. Za pomocą tego pocisku możecie też przenieść się do tych czasów historycznych, które Was ciekawią. Możecie porozmawiać ze śpiącymi rycerzami u stóp Giewontu; pojechać z królem Władysławem Jagiełłą pod Grunwald; z Sobieskim pod Wiedeń. Możecie też wyprzedzić czas i zobaczyć to, co będzie się działo za 100 lub 1.000 lat. Każdy z Was wybierze sobie taką podróż w czasie czy przestrzeni jaka mu się najbardziej będzie podobała i opisze nam co widział, z kim się spotykał, co przeżył, jak przebieg jego podróży wyglądał... A więc zaczynamy! Do roboty! Prosimy prace swoje nadsyłać w dniach 27 maja — 29 maja (nie wcześniej nie później) pod adresem: Dodatek dla Dzieci, The Polish Daily, 45, Brompton Road, London, S.W.3.

ALBUM Wojska Polskiego

W tym roku obchodzimy specjalnie uroczyście w Dodatku dla Dzieci rocznicę Konstytucji Trzeciego Maja. Mianowicie ofiarujemy Wam album wojska polskiego, który, na prośbę Dodatku, dla Was opracowała i narysowała p. I. Ludwig. Na pięciu tablicach, które będą się ukazywać w majowych Dodatkach dla Dzieci, znajdziecie stroje polskich rycerzy i żołnierzy od czasów najdawniejszych, czasów Bolesława Chrobrego aż do czasów ostatniej wojny, w której Wasi ojcowie brali udział. Tablice te wycinajcie i razem z objaśnieniami naklejajcie do odpowiednich zeszytów.

TABLICA I. (objaśnienia:)

1. Drużynnik konny, wiek X - XI (czasy Bolesława Chrobrego);
2. Woj pieszy z tego samego okresu (czasy Bolesława Chrobrego);
3. Rycerz z początków XII wieku (czasy Bolesława Śmiałego);
4. Rycerz z XIII wieku (czasy Henryka Pobożnego);
5. Woj pieszy z XIV wieku (czasy Władysława Łokietka);
6. Kusznik z XV wieku (czasy Władysława Jagiełły);
7. Rycerz z pierwszej połowy XV wieku (czasy Władysława Jagiełły).

Uchwalenie Konstytucji 3-go Maja

...Król powstał, stanął na krześle, ażeby go lepiej widziano, położył dwa palce na podaną mu przez jednego z książy Ewangelię i donośnym głosem złożył przysięgę na konstytucję. W sali zapanowała radość nie do opisania, z galerii kobiety powiewały chusteczkami, posłowie podrzucali w górę konfederatki, padali sobie w objęcia, przeświadczeni o ważności nowej ustawy dla narodu.

— Przysiągłem Bogu i nie będę tego żałował — powiedział Stanisław August, po czym wezwał obecnych, aby wraz z nim poszli do sąsiedniej katedry św. Jana podziękować Bogu za dokonanie zbawiennego dzieła.

Posłów, wychodzących z izby sejmowej, powitał lud warszawski gromkimi okrzykami, a marszałków sejmu zaniesiono na ramionach do kościoła. Tam wśród huku dział, ustawionych na tarasie Zamku Królewskiego, zakończono wspólną przysięgą ogłoszenie aktu konstytucji.

Było to dnia 3 maja 1791 roku.

* * *

Aby uczcić w tym roku rocznicę Konstytucji, nauczcie się na pamięć „Hymn do miłości Ojczyzny", napisany przez Ignacego Krasickiego:

Święta miłości kochanej Ojczyzny!
Czują cię tylko umysły poczciwe;
Dla ciebie zjadłe smakują trucizny,
Dla ciebie więzy, pęta niezelżywe;
Kształcisz kalectwo przez chwalebne blizny,
Gnieździsz w umyśle rozkosze prawdziwe.
Byle cię można wspomóc, byle wspierać,
Nie żal żyć w nędzy, nie żal i umierać!

2. Woj pieszy z tego samego okresu (czasy Bolesława Chrobrego);
3. Rycerz z początków XII wieku (czasy Bolesława Śmiałego);
4. Rycerz z XIII wieku (czasy Henryka Pobożnego);
5. Woj pieszy z XIV wieku (czasy Władysława Łokietka);
6. Kusznik z XV wieku (czasy Władysława Jagiełły);
7. Rycerz z pierwszej połowy XV wieku (czasy Władysława Jagiełły).

JABŁONKA

Jabłoneczka biała
Kwieciem się odziała;
Obiecuje nam jabłuszka,
Jak je będzie miała.

Mój wietrzyku miły,
Nie wiej z całej siły,
Nie otrącaj tego kwiecia,
Żeby jabłka były.

MARIA KONOPNICKA

ZAJĄC

Wyszedł zając zza krzaka
i udawał junaka:
wąsy podniósł do góry,
wzrok nasrożył ponury.

A wtem jakoś zniechęcona
wietrzyk z krzaczka liść strąca
Patrzą:
nie ma zająca!

STANISŁAW JACHOWICZ

Gąska ze Śląska

Gąska patrzy w prawo, w lewo,
Gdzie się schować przed ulewą.
Do pierwszego sklepu wpadła,
Pierniczkami się objadła.
Objadła się bez pamięci,
Nic już zwiedzać nie ma chęci.
Lecz na drogę trzy pierniczki
Jeszcze chowa do spódniczki.
Ciężka czuje się jak kłoda,
Ledwie ją unosi woda.

c.d.n.

B.D.I.C

LIST z KOSMOSU

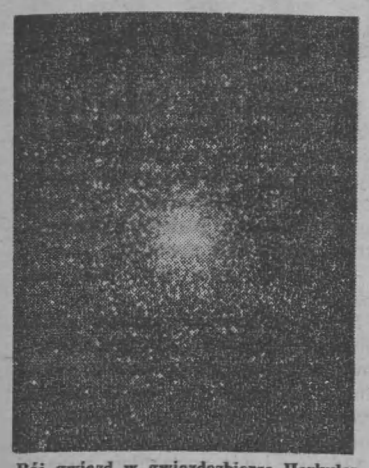

Rój gwiazd w gwiazdozbiorze Herkules

Gdy w noc bezksiężycową oglądamy niebo, widzimy obszary dość rzadko zasiane gwiazdami i mglisty pas o białym blasku. Jest to Droga Mleczna zwana w astronomii Galaktyką (od łacińskiego „lacta" — mleko). Nasz układ słoneczny zajmuje w Galaktyce miejsce oznaczone strzałką.

Galaktyka ma kształt dysku i składa się z niezliczonej ilości gwiazd, mgławic, ciemnych plam i, być może, układów podobnych do naszego systemu słonecznego. Galaktyka obraca się: gwiazdy na skraju dysku obracają się wolniej — bliżej środka — szybciej.

Nasza Galaktyka nie jest jedyna w Wszechświecie. Układów takich jest więcej, nazywamy je w odróżnieniu od naszej Galaktyki — mgławicami pozagalaktycznymi. Mgławice te oddalają się od siebie, a niektórzy uczeni twierdzą, że Wszechświat się rozszerza. Inni znów dowodzą, że był czas, gdy mgławice zbliżały się ku sobie. Zwolennicy tego poglądu utrzymują, że Wszechświat nie rozszerza się ale „pulsuje".

Jeżeli ktoś z przestrzeni kosmicznej chciałby przesłać list np. do Warszawy to prawidłowy adres powinien brzmieć:

Nasza Galaktyka nie jest jedyną we Wszechświecie

Galaktyka, Układ Słoneczny im. Kopernika, planeta Ziemia. Europa, Polska, Warszawa, ulica..., nr. JWPan Jan Kowalski.

Na kopercie należałoby koniecznie zaznaczyć, że chodzi o układ im. Kopernika, ponieważ istnieje przypuszczenie, że w naszej Galaktyce są inne układy słoneczne, które mogą być zamieszkałe przez istoty żyjące.

Jak długo list by „szedł"?

Bagatela.

Nasza Galaktyka ma 120.000 lat świetlnych długości a rok świetlny to długość jaką w roku czasu przebiega światło a wynosi kilometrów jeden z 13 zerami. Najbliższa Ziemi gwiazda Proxima Centauri oddalona jest o 4,16 lat świetlnych.

Więc przeliczcie to na dni i godziny...

Życie w Kosmosie

We Wszechświecie samotna gwiazda — Słońce jest raczej wyjątkiem. Regułą zdaje się być system podwójny — dwa ciała niebieskie krążą-

Mgławica spiralna w gwiazdozbiorze Psy Gończe

ce dokoła wspólnego środka ciężkości jak Ziemia i Księżyc. Jest więc prawdopodobne, że w milionach takich układów może się znaleźć nie jeden, który ma podobne warunki jak nasza Ziemia. Życie na ziemi uwarunkowane jest odpowiednią temperaturą, atmosferą i wodą. Jeżeli takie warunki są gdzie indziej może gdzieś istnieć życie podobne do naszego.

Pył w Kosmosie zawierać może nie tylko martwe ciała, ale także żywe komórki, które mogły osiąść na lądzie stałym i tam stworzyć zalążek bardziej złożonych organizmów. Astronomowie twierdzą, że w gwiazdozbiorze Łabędź wykryli system słoneczny podobny do naszego i że tam są warunki dla powstania życia takiego jak nasze. Przypuszczenia, że istnieje życie w Kosmosie nie należy odrzucać jako niedorzeczności. *M.B.*

Dom bez słownika,
to jak człowiek bez języka!

PAWEŁ KALINA

SŁOWNIK

polsko-francuski i francusko-polski z wymową.
2 tomy oprawne. Cena frs. 2.400.
Najlepszy, najporęczniejszy i najbardziej niezawodny z wszystkich słowników.
Wysyłamy za zaliczeniem pocztowym — płatnym przy odbiorze.

"LIBELLA"

12, rue St. Louis en l'Ile, Paryż IV.
Metro: Sully Morland.
Telefon: DANton 51-09

W trzylecie swego istnienia

„Marianum" woła o pomoc materialną rodaków

Frankfurt, w kwietniu 1959 r.

O polskim instytucie wychowawczym „Marianum" w Carlsbergu, (NRF) który wkracza w trzeci rok swego istnienia, ogół społeczeństwa uchodźczego wie niezbyt wiele. A „Marianum" istnieje i dzięki poparciu jednostek rozwija się pomyślnie, choć nie bez trudności finansowych.

Ostatnio, dzięki apelom ks. kanonika Janusza, zaczynają napływać skromne datki od jednostek O. W. i braci wartowniczej. Byłoby dobrze, aby reszta polskiego społeczeństwa uchodźczego pamiętała o tej pożytecznej placówce wychowawczej naszej młodzieży, placówce, której kierownictwo zostało powierzone polskim siostrom Felicjankom z USA. A trzeba wiedzieć, że zadanie, jakie podjęły ofiarne siostry, nie jest ani łatwe, ani proste. Dzięki jednak nadludzkim wysiłkom, hartowi woli i pogodzie ducha, potrafiły one sprostać swym obowiązkom w sposób naprawdę godny podziwu. Dlatego naszym obowiązkiem jest wesprzeć tę jedyną w NRF placówkę, pozostającą całkowicie w rękach polskich.

W szczególności rodziny polskie chłopakom groziły przeliczne niebezpieczeństwa wielkiego miasta. Stało się to dzięki zgodnej i rzetelnej współpracy i zgraniu czynników: owego społecznika, jego przyjaciela-proboszcza i zawsze ofiarnych SS. Felicjanek w „Marianum".

A oto pozwolimy sobie, na zakończenie tej historii rodzinnej, przytoczyć list ojca-uchodźcy do synów, przebywających od kilku tygodni w „Marianum". Jego treść powinny wziąć sobie do serca wszystkie polskie rodziny w tutejszym terenie. Ale nie tylko wziąć do serca, ale wychowywać swe dziatki w tym duchu, w jakim je wychowuje uchodźca z Kraju p. Antoni O. I pamiętać o ofiarności na rzecz „Marianum", bo nie wiadomo, czy nie zajdzie kiedyś potrzeba umieszczenia własnych dzieci.

KSIĘŻA POLSCY Z NIEMIEC
na rekolekcjach w Würzburgu
7-11 kwietnia 1959

W dniu 12 maja b. r., jako w 24-tą rocznicę śmierci Marszałka Józefa Piłsudskiego, w Kościele Polskim w Paryżu odprawione zostanie o godz. 9-tej rano nabożeństwo żałobne.

Tegoż dnia o godz. 20.30 w sali bibliotecznej Domu Kombatanta Polskiego, 20, rue Legendre, metro Villiers, odbędzie się uroczysty wieczór, na który się złożą:

zagajenie amb. Wacława Grzybowskiego,

referat min. Aleksandra Kawałkowskiego,

krótki koncert mistrza Zygmunta Dygata,

o czym wszystkich, którym jest droga pamięć Józefa Piłsudskiego, zawiadamia

KOMITET

Wzmacniajcie nerwy i oczyszczajcie krew, a będziecie cieszyć się zdrowiem i wzmożoną działalnością do pracy!

BIURO PRAWNIKA
W PARYŻU

Absolwenta Prawa Uniwersytetu Poznańskiego, doświadczonego emigranta od 1924 roku we Francji

MARIAN JAROSZYK

Expert — Traducteur — Jure

34, rue Maubeuge, 34 — Paris 9.
Tel. TRUdaine 68.88. Metro: Cadet.
Tłumaczenia urzędowe ważne w całej Francji. Sprawy metryk, ślubów naturalizacji, pełnomocnictw na kraj, procesów sądowych, rent, wypadków, Dipisów, paszportów certificat de coutume, podań do Ministerstw, Prefektur, Konsulatów amerykańskich i innych. — Piszcie z zaufaniem. Natychmiastowe załatwienie w Paryżu bez potrzeby przyjazdu.

Extrait Orchitique
KALEFLUID

Używanie naszego preparatu polepsza stan zdrowia w sposób bardzo znaczny, w wypadkach ogólnego osłabienia, depresji nerwowej, zmęczenia, wyczerpania, zaburzenia i starości. U kobiet również w wieku przejściowym. W sprzedaży w wielkich aptekach. Wysyłamy bezpłatnie w języku polskim przepisy używania.

Laboratoire P.W. KALEFLUID

FRANCJA:
66, Bld. Exelmans, Paris 16-e.
BELGIA:
Pharmacie — 54, rue del'Aqueduc St. Gilles, Bruxelles.
AUSTRALIA:
Mrs. P. Miller, 35, Balmoral Street Blacktown. N.S.W. V.P. 21 231.

HISTORIA JEDNEJ RODZINY

Dla przykładu podajemy wypadek, jaki zdarzył się w pewnej polskiej rodzinie uchodźczej, która przed ok. rokiem zbiegła z Kraju. Po gehennie obozu „Valka" a następnie kilkumiesięcznym oczekiwaniu w obozie Zirndorf w Bawarii na uznanie statusu uchodźczego owa wieloosobowa rodzina znalazła się w Westfalii, gdzie jej głowa znakomity specjalista-chemik, uzyskał pracę w jednym z zakładów przemysłowych.

Podjęte przez ową rodzinę starania o emigrację do USA przeciągały się w nieskończoność a tymczasem trzeba było z konieczności zadowolić się bardzo skromnymi warunkami mieszkaniowymi, — niestety w schronie przeciwlotniczym tzw. „Hochbunker", pozbawionym okien i dopływu zarówno światła dziennego jak i powietrza w normalnych do życia proporcjach.

Nic też dziwnego, że żona owego uchodźcy i matka rodziny w niedługim czasie zapadła poważnie na zdrowiu, przy czym lekarze zalecili natychmiastowe udanie się do szpitala. W tej trudnej sytuacji, gdy chodzi o opiekę nad nieletnią dziatwą, żona uchodźcy p. Maria O. zwróciła się z pełnym zaufaniem do jedynego doradcy w osobie skromnego działacza społecznego p. K., który od szeregu lat roztacza opiekę nad nowymi uchodźcami z Kraju. W nim pokładała pełną swą nadzieję, że w takiej sytuacji nie będzie głuchy na jej wołanie.

Z pomocą swego przyjaciela ks. W. i dzięki dobremu sercu sióstr Felicjanek, trzej małoletni synkowie rodziny O. uzyskali natychmiastowe przyjęcie w 'Marianum', gdzie siostry roztoczyły nad nimi macierzyńską opiekę, bez której w miejscu zamieszkania rodziców, z liczną dziatwą, powinny pamiętać o „Marianum" nie tylko w okresie wakacji szkolnych, kiedy zabiegają o przyjęcie dziatwy na wypoczynek letni, ale zawsze, bo nigdy nie wiadomo, kiedy wypadnie im korzystać z pomocy tej wspaniałej placówki.

Broni PAS 76-65
Ubezpiecza tel.:
Interweniuje SOL 43-04

L. OWCZAREK

MAGISTER PRAWA
Uniwersytetu Paryskiego
Odszkodowania - Wypadki - Obrony
Podania - Wszelkie Ubezpieczenia.

23, rue des Sablons - Paris 16e

(Metro: Trocadero)
Codziennie: 10.00-12.00 i 18.00-19.30.
W soboty: 10.00-12.00
i na Rendez-vous.

Przyjaciele Les Ageux

W środę, dnia 8 kwietnia 1959 r. w Domu Kombatanta w Paryżu, odbyło się ostatnio walne zebranie Towarzystwa Przyjaciół Polskiego Gimnazjum-Liceum w Les Ageux.

Zebranie zagaił prezes Towarzystwa prof. Henri de Montfort witając licznie zebranych przyjaciół Liceum — w połowie Francuzów, w połowie Polaków — na czele z J. E. Ks. Biskupem Jean Rupp, opiekunem katolików-emibrantów we Francji. W przemówieniu swym prof. de Montfort wyraził podziw i uznanie dla energii, ducha poświęcenia i wytrwałości, z jakim polskie społeczeństwo na obczyźnie broni swej osobowości kulturalnej w służbie ogólnoświatowej idei wolności i godności człowieka. — Sprawozdania z działalności oraz z pracy szkolnej złożyli kolejno: sekretarz Towarzystwa p. A. M. Gasztowtt, skarbnik Towarzystwa p. J. Skarbek i dyrektor Liceum p. M. Jurkiewicz.

Po ożywionej dyskusji walne zebranie udzieliło absolutorium ustępującemu zarządowi.

Na czoło nowych projektów wysunięto akcję pomocy stypendialnej dla niezamożnej młodzieży szkolnej tak z terenu Francji, jak i z innych terenów, a szczególnie w stosunku do coraz liczniej do szkoły przybywającej bezpośrednio z Polski i z terenu Niemiec młodzieży, tak bardzo potrzebującej opieki moralnej i materialnej.

Do nowego zarządu, z kadencją na najbliższe trzy lata, zostali wybrani jednogłośnie:

Prof. Henri de MONTFORT (prezes), J. E. Ks. Biskup Jean RUPP (I wiceprezes), prof. Joseph COTTAZ (II wiceprezes), prof. Anne-Marie GASZTOWTT (sekretarz), p. Jean SKARBEK (skarbnik) oraz członkowie zarządu: p. Janina BARANOWSKA, p. Hedvige DUNIN-WĄSOWICZ, p. Zofia WACHOWICZÓWNA, p. Jarosław GIERCARZ.

List ojca

Odmawiajcie modlitwę...

„Moi kochani — Rafałku, Gabrysiu i Michałku!

Dziś mija czwarty dzień, jak znaleźliście się pod czułą opieką Sióstr Felicjanek i nie wątpię, że czujecie się świetnie. Może nawet w ferworze zabawy można zauważyć, że potraficie po męsku dostosować się do nowych okoliczności. Pamiętajcie, że sam fakt, iż możecie przebywać w Marianum w tak ciężkich dla nas czasach, to nie zwykły przypadek, ale Opatrzność Boża.

Przypuszczam, że nie potrzebuję wam przypominać, jak smutno musielibyście tu żyć w tej wstrętnej budzie w okresie nieobecności naszej kochanej Mamusi. Toteż w paciorkach waszych, w których — nie wątpię — prosicie Bozię o zdrowie dla kochanej Mamusi, wspominajcie zawsze Waszych Dobrodziejów, bo tylko w ten sposób możecie okazać swoją wdzięczność za doznane względy. O tym, że musicie być bezwzględnie posłuszni, myślę, że nie potrzebuję przypominać. Nie tylko sami nie możecie swoim zachowaniem sprawiać Siostrom kłopotu, ale jeszcze pomóc, gdzie to tylko jest możliwe.

Miejcie w opiece naszego kochanego Michałka, bawcie się z nim chętnie i nie przedrzeźniajcie się z niego, bo on jeszcze mały i rozwiązany przez Mamusię. Mamusia zmartwiłaby się bardzo, gdyby się dowiedziała o Waszym złym zachowaniu no, i jak ja bym na to zareagował, to sami wiecie. We czwartek złożył Mamusi w szpitalu wizytę ksiądz wikary. Zabawił tam około godziny i przyrzekł, że jak Mamusia wyzdrowieje, nie będzie musiała wracać do „Notwohnung", bo on w międzyczasie postara się dla nas o stosowne mieszkanie. W stanie zdrowia Mamusi nie zaszły żadne poważniejsze zmiany, jedynie fakt, że wy znajdujecie się u Siostrzyczek, bardzo Mamusię uspokoił i równocześnie ucieszył...

Strzeżcie się lenistwa i starajcie się być zawsze zajęci. Nauczcie się dokładnie ministrantury i służenia do Mszy Świętej. Przypomnijcie sobie, ile to razy nasza kochana Mamusia biegała tak daleko do kościoła, by być na Mszy św. Czy nie byłoby wam wstyd, mając tak blisko nie być codziennie na Mszy św. No, a będąc na Mszy św. macie możność przyjęcia Pana Jezusa. Od Was zależy, w jakim stopniu wykorzystacie te nadzwyczajne okoliczności. W jakim stopniu będziecie pamiętali o Panu Jezusie, w takim stopniu Pan Jezus będzie pamiętał o Was i obdarzy Was potrzebnymi łaskami, wróci zdrowie Mamusi i zawsze błogosławić będzie. Pamiętajcie również o codziennym różańcu.

Nie odkładajcie odmawiania na wieczór, ale mówcie w ciągu dnia, jak tylko nadarzy się stosowna chwila. Chciałbym, byście odmawiali różaniec razem, tak jak w domu, a nie każdy oddzielnie. Weźcie, proszę Was, te moje uwagi do serca, a przekonacie się, ile to Wam przyniesie zadowolenia i szczęścia wewnętrznego...

No więc, moi kochani, wszystko co Wam chciałem powiedzieć, to już napisałem. Niech Was Matuchna Boża otoczy swym płaszczem, uchroni przed złem i prowadzi.

Całuję kochane Wasze buzie kochający Was Tatuś."

Tak pisze uchodźca z Kraju do swych pociech na obczyźnie. Piękny to i rozczulający w swej treści list. Czy wielu jest takich ojców na emigracji? Wiemy, że należą do wyjątków. Radość jednak napawa przeświadczenie, że żyją wśród nas rodziny, pielęgnujące dobre obyczaje katolickie i polskie. *(ki)*

Ofiary na rzecz „Marianum" prosimy kierować na adres Matki Przełożonej SS. Felicjanek, CARLSBERG b. Grünstadt/Pfalz, NRF, lub do Redakcji naszego pisma z oznaczeniem celu, na jaki ofiarowana suma jest przeznaczona.

KANCELARIA PRAWNA
pod kierownictwem Doktora Praw

S. OLŚNICKI

106, rue Jouffroy - Paris 17

Tel.: WAGram 88-91.
Metro: WAGram.
TŁUMACZ PRZYSIĘGŁY
przy Sądach francuskich
TŁUMACZENIA URZĘDOWE do ślubów, naturalizacji, sprowadzania rodzin itp. Pełnomocnictwa. Wszelkie sprawy sądowe we Francji i w Polsce.

Wydawnictwo św. Antoniego

263-bis, rue St. Honore — Paris (1).
„Polska Wierna" — „Słowo Katolickie"
Telefon: Richelieu 83-85.
Konto pocztowe: CCP 4955-03.

PRENUMERATA:
Kwartalna — frs. 650
półroczna — frs. 1.300
roczna — frs. 2.600

OGŁOSZENIA:
DROBNE — 200 frs. od 1-łamowego wiersza
INNE — według umowy z naszym akwizytorem.

PRZEDSTAWICIELSTWA:
ANGLIA: J. Górska, 50, Windsor Rd., Holloway, London, N.7. Egzemplarz pojedynczy 10d., prenumerata roczna 52/-.
AUSTRALIA: Rev. L. Jaroszka, SS. Peter a. Paul's Presbitery, Geelong West Vic
BELGIA: Mr. Bernard Woliński, 31, Leopoldstraat, Eisden-Cite (Limb.). CCP Bruxelles — 126.203. Prenumerata kwartalna 73 fr. belg.
DANIA: Rev. Jan Szymaszek, Hans Bogbinders Allee 2, Kobenhavn.
HISZPANIA: Ks. Dr Marian Walorek, 9, Calle de Larra, Madrid.
HOLANDIA: Mr. Bronisław Galles, Fagelstraat 15A, Breda. Giro 286.983.
KANADA: Rev. St. Robert, 322 Cath. Str., Sault Ste Marie, Ont. Prenumerata roczna 6 dolarów.
LUKSEMBURG: Rev. Pere Thiel, O.M.I. Luxembourg, St. Michel, 14 rue Siegefroi C.P. 214.89. Prenumerata kwartalna fr. 73.00.
NIEMCY: „Słowo Katolickie", Rotkreuzplatz 3/1, Muenchen, Telefon: 61.518. Egzemplarz pojedynczy 50 fenigów. Prenumerata kwartalna 6 DM
SZWAJCARIA: Madame B. Gierszewska, Wallisellenstr. 483, Zurich 50. Prenumerata kwartalna 6 frs. szw., półroczna 12 fr. szw.
SZWECJA: Mgr Bożysław Kurowski, Rovingegatan 13 B. Lund. Telefon 119.10.
WŁOCHY: Mgr Czesław Pisarzewski. Via Carlo Cattaneo 10/18, Roma.
U.S.A.: Rev. Gorgon Nędza, 2955 Door Street, Toledo 7, Ohio. Prenumerata roczna 6 dolarów.

REDAKCJA: nie zwraca niezamówionych rękopisów, nie odpowiada za treść ogłoszeń, przyjmuje interesantów w środy od 11.00 do 13.00.
GERANT: Col. dr Charpentier.

Published by Echo Polski Ltd. and printed by The Polish Daily (Printers).
Registered at the G.P.O. as a newspaper.

ŻYCIE POLSKIE w HOLANDII

Obie czołowe organizacje uchodźstwa wojennego — Stowarzyszenie Polskich Kombatantów i Polskie T-wo Katolickie w Holandii, — prowadzą żywą i szeroko rozgałęzioną działalność, czym zyskały one sobie uznanie nie tylko Polaków, ale i społeczeństwa holenderskiego. Świadczą o tym m.in. liczne artykuły, które z okazji 10-lecia obu niepodległościowych organizacji ukazały się na łamach prasy holenderskiej.

Kultura i opieka społeczna

PTK — zwłaszcza od czasu prezesury p. Zofii Langelaar — pracuje głównie nad utrzymaniem polskości, krzewieniem kultury i oświaty organizuje kolonie letnie dla dzieci polskich i prowadzi szkoły sobotnie (w Bredzie, Hadze, Oosterhout, Rotterdamie, Amsterdamie i Eindhoven).

Oddział SPK „Holandia" — którego prezesem jest kpt. S. Werner — koncentruje się przede wszystkim na dziale opieki społecznej (pomoc nowym uchodźcom) i zajmuje się obroną sprawy polskiej na gruncie międzynarodowym.

Akcja informacyjna

Ostatnio coraz częściej słyszy się głosy, że zasadniczym zadaniem emigracji jest obrona i propaganda „Sprawy Polskiej", czyli innymi słowy: przekonywanie opinii międzynarodowej o słuszności naszych podstawowych postulatów.

I właśnie na tym tak ważnym odcinku Oddział SPK „Holandia" (a ściślej jego referat prasowy), ma na swoim koncie poważne osiągnięcia. Opublikował on bowiem na łamach 25 dzienników holenderskich, a częściowo i belgijskich, około trzystu artykułów na tematy polskie, tak aktualne jak i historyczne.

Należy również podkreślić udane interwencje SPK w sprawie udzielania azylu grupie zbiegłych ze statku reżymowego marynarzy polskich, oraz w sprawie cofnięcia niefortunnego zarządzenia władz, odbierającego obywatelstwo żołnierzom polskim i wprowadzającego opłaty za prawo pobytu.

Osobny rozdział stanowi sprawa grobów żołnierzy polskich (jest ich w Holandii około 600), które kilka lat temu opuszczone, z rdzewiejącymi żelaznymi krzyżami, stanowiły smutny obraz na tle uporządkowanych grobów żołnierzy alianckich z estetycznymi kamiennymi nagrobkami.

Akcja wszczęta przez SPK w Holenderskim Komitecie Opieki nad Grobami Wojennymi w r. 1952, doczekała się pomyślnego rozwiązania: obecnie wszystkie groby polskie zaopatrzone są w trwałe nagrobki i znajdują się pod opieką władz i ludności.

Organizacje polskie w Holandii brały oczywiście czynny udział we wszystkich wielkich akcjach zbiórkowych jak: pomoc dzieciom polskim w Niemczech, zbiórce dla ofiar Poznania, a ostatnio na rzecz repatriantów z Rosji.

Działalność prasowo-wydawnicza

Działalność prasowo - wydawnicza małej Polonii holenderskiej nie przedstawia się oczywiście tak imponująco jak działalność Polonii w innych tradycyjnych krajach emigracji polskiej i nie posiada też bogatszej tradycji. Jej nowsze dzieje sięgają wstecz do r. 1948, w którym to okresie ukazały się dwa powielane pisma: „Kronika Polska" (redagowana przez S. Wernera), oraz „Nowy Czas" wydawany w Heerlen.

Dzięki poparciu P.M.K. w dniu 15 sierpnia 1948 r. ukazał się pierwszy numer „Polaka w Holandii" — dwutygodnika kulturalno - społecznego pod redakcją Ojca R. Dąbrowskiego i S. Wernera. Głównymi współpracownikami byli: dr. N. W. Komar oraz B. Strenk. Niestety z powodu braku dostatecznej ilości prenumeratorów, wydawcy zmuszeni zostali w r. 1949 zawiesić wydawanie pisma w Holandii i przyłączyć się do wydawnictw „Veritasu": „Gazety Niedzielnej" a następnie „Życia".

Od r. 1950 Delegatura SPK, a następnie Zarząd Oddziału, wydaje „Komunikat Informacyjny SPK", który przez szereg lat spełniał rolę jedynego czasopisma polskiego na terenie Holandii.

Dopiero w latach 1953 - 54 zaczęły się ukazywać biuletyny innych organizacji — jak np. „Biuletyn Informacyjny PTK".

Wspólnym wydawnictwem Zarządu Głównego PTK i Oddziału SPK w Holandii jest ukazujący się od r. 1956 dwumiesięcznik „Głos Wolnych Polaków" Celem tego wydawnictwa jest przede wszystkim uświadamianie rodaków O NIEBEZPIECZEŃWIE INFILTRACJI KOMUNISTYCZNEJ W ŻYCIE EMIGRACYJNE i demaskowanie różnych chwytów stosowanych przez reżym w jego ofensywie przeciw polskiej emigracji politycznej.

Billy Strenk

ANKIETA:

O ile wynarodowił się nasz — żołądek?

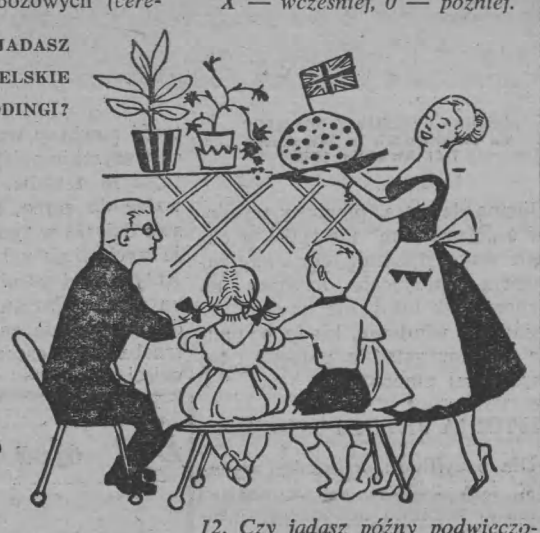

Czytając porady kulinarne w dziale angielskim „Tygodnia Polskiego" zadałem sobie pytanie:

— W jakim stopniu Polacy w W. Brytanii przyswoili sobie angielskie zwyczaje jedzenia? Czy jedzą lekkie polskie pierwsze śniadanie czy suty angielski *breakfast*. Czy więcej piją kawy czy herbaty? Czy lubią zupy z puszek, rozmaite „paje" i smażone białe kiełbaski lub inne dania typowej angielskiej kuchni?

Ankieta na ten temat dałaby odpowiedź na te pytania, ale jest ona trudna do wykonania. Może natomiast każdy z nas w skrytości ducha odpowiedzieć sobie na nie.

Chcemy czy nie chcemy, ciśnienie środowiska angielskiego, w którym żyje przeciętna część naszych Czytelników, wywiera wpływ na nasze codzienne bytowanie.

Wyraża się to przede wszystkim w naszej potocznej mowie: gramy na *pulach*, wstępujemy do *pabu* na *drinka*, słuchamy *niusów*, gospodyni domu woła *plumbera*, gdy zatkał się jej *sink;* żegnamy się ukłonem bez podawania rąk; nie rozmawiamy hałaśliwie (hm!) w miejscach publicznych; u młodszych zanika zwyczaj całowania kobiet w rękę.

Należy więc sądzić, że zapożyczyliśmy także angielskie zwyczaje jedzenia.

WCZESNA HERBATA

Herbata, „z chińskich ziół ciągnione treści" — jak mówi poeta — jest, obok piwa, narodowym napojem angielskim. Spożycie jej wynosi na głowę mieszkańca W. Brytanii 10.1 funta rocznie, czyli około 6 filiżanek dziennie.

Kto z nas by przypuszczał, że połowa dorosłej ludności w W. Brytanii pije herbatę na czczo albo w łóżku albo zaraz po wyjściu z łóżka przed *breakfastem?* Kto z Polaków hołduje temu zwyczajowi i kto tę wczesną herbatę ranną przyrządza? Mąż czy żona?

Wydawany w Paryżu dziennik *France Soir* wystąpił z „rewelacyjnym,, twierdzeniem, że 41 proc. Francuzów pije herbatę po południu, a 30 proc. osób należących do średniej klasy we Francji pije herbatę na śniadanie. Czyż by Francuzi przejęli angielskie zamiłowanie do herbaty? Tylko w niedzielę picie herbaty na śniadanie maleje. Przeszło 50 proc. ludności W. Brytanii pije tego dnia kawę.

A teraz odpowiedzmy sobie, z ołówkiem w ręku, na naszą ankietę:

1. Czy pijesz na czczo herbatę w łóżku czy też zaraz po wstaniu?

Postaw X — jeżeli tak, 0 — jeżeli nie.

JAJA NA BEKONIE

„Klasyczne" śniadanie angielskie składa się — obok herbaty — z owsianki, płatków z kukurydzy lub innych produktów zbożowych *(cereals),* bekonu, jaj i przetworów owocowych. W dni powszednie na śniadanie je się więcej jaj niż bekonu, ale w niedzielę, gdy śniadanie jest bardziej sute, kombinacja jaj na bekonie jest częstsza.

Kobiety jedzą więcej chleba i grzanek na śniadanie niż mężczyźni. Spośród przetworów owocowych marmolady z pomarańczy spożywa się sześć razy więcej niż dżemów z innych owoców.

Z tego wynikają następne pytania ankiety:

2. Czy jesz na śniadanie owsiankę lub *cornflakes?*

X — tak, 0 — nie.

3. Czy jesz na śniadanie jaja na bekonie? X — tak, 0 — nie.

...4. Czy jesz na śniadanie marmoladę z pomarańczy?

X — tak, 0 — nie.

OBIAD

Obiad, czyli południowy posiłek (angielski *lunch)* spożywa w Anglii w domu 60 proc. pracujących. 40 proc. jada obiad w kantynach lub jadłodajniach różnego typu. 80 proc. jada jedno główne danie, 50 proc. deser a 6 proc. zupę.

W niedzielę tradycyjnym daniem obiadowym w domach angielskich jest *roast beef* z pieczonymi ziemniakami. Z pudingów najbardziej popularny jest *milk pudding,* z przypraw do deseru — *custard.*

Odpowiedz na następne pytania:

5. Czy mówisz „idę na lunch" (zamiast „na obiad")?

X — tak, 0 — nie.

...6. Czy jadasz w niedzielę „roast beef" z pieczonymi ziemniakami?

X — tak, 0 — nie.

7. Czy jadasz pudingi angielskie?

X — tak, 0 — nie.

8. Czy jadasz leguminę z „custardem"? X — tak, 0 — nie.

PODWIECZOREK I KOLACJA

Więcej niż połowa ludności w Anglii pija herbatę między godz. 3 a 4.30 po poł., czasem z przekąską (biskwit, ciastko itp.).

9. Czy pijasz herbatę po południu?

X — tak, 0 — nie.

W Anglii istnieje zwyczaj wczesnego spożywania kolacji — przeważnie między 6 a 6.30 po poł. Je się wtedy zupy, mięso, ryby, jarzyny i leguminę i znów popija herbatą.

Inni jedzą wczesną kolację, coś w rodzaju późnego podwieczorku, ale bardzo sutego *(high tea),* który składa się z chleba, zimnych mięs, ryb, masła, przetworów owocowych i ciastek. Wszystko popijane obficie herbatą.

Następne pytania:

10. Czy jadasz na kolację zupę z puszki? X — tak, 0 — nie.

11. Czy jadasz kolację między godz. 6 a 7 wiecz. czy też, zwyczajem kontynentalnym, później — koło godz. 8 - 9?

X — wcześniej, 0 — później.

12. Czy jadasz późny podwieczorek (high tea)?

X — tak, 0 — nie.

PÓŹNY POSIŁEK

Listę posiłków należy zakończyć późną kolacją, z reguły lekką, na którą składa się filiżanka herbaty, kakao, owomaltina lub inne gęste płyny z biskwitami lub ciastkiem. Ten ostatni posiłek spożywa aż trzy czwarte ludności Anglii.

I ostatnie pytanie naszego kwestionariusza:

13. Czy jadasz z reguły późną kolację typu angielskiego?

X — tak, 0 — nie.

Policz teraz iksy i zera. Przekonasz się sam, czy i w jakim stopniu odszedłeś od kuchni polskiej, z jej „narodowymi daniami" jak kiełbasa z kapustą, rosół ze sztuką mięs, krupnikiem na kościach i pierogami, a o ile „zangliczałeś"? *M. B.*

WŁÓCZĘGI

Czy pamiętacie kapitana armii polskiej, ochotnika, obywatela amerykańskiego Charlie Finstona? Był bardzo popularną postacią w polskim Londynie w latach wojennych. Wzbudzał sensację w Rubensie. Ci, którzy nie znali jego „backgroundu", nie mogli się nadziwić skąd pan kapitan tak dobrze mówi po angielsku.

Piszę ten artykuł w jego gabinecie w redakcji „Chicago American". Charlie jest jego najsławniejszym „columnist'em". Pisze codziennie o wewnętrznej polityce chicagoskiej, a nic tak nie interesuje mieszkańców tego gigantycznego miasta jak ich własne podwórko.

„The Chicago American" jest ściśle związany z historią i tradycjami miasta Chicago — tego drugiego pod względem wielkości kolosa amerykańskiego. Nie na darmo pod swym głównym tytułem głosi dumnie:

„Chicago owned — Chicago edited — Chicago dedicated". Randolph Hearst założył to pismo około 60 lat temu. Ben Hecht i jego towarzysz pisarski MacArthur przenieśli nastrój jego redakcji do swej sławnej sztuki teatralnej *„Front Page"*. Od trzech lat „American" należy do Chicago Tribune. Spadkobiercy Hearsta sprzedali ulubione pismo starego Randolpha za grube miliony.

Ostatni raz widziałem Charlie Finstona w Campobasso w lutym 1944 roku. Przyjechaliśmy razem do Italii z Londynu. Prawie go zaaresztowali na lotnisku w Casablanca, ponieważ tuman sierżant amerykański, który badał nasze dokumenty w żaden sposób nie mógł zrozumieć, dlaczego Charlie, legitymujący się paszportem USA, nosi mundur kapitana polskiego. Lecieliśmy wówczas w niezwykłym towarzystwie trzech generałów i jednego admirała włoskiego, którzy wracali z obozu jenieckiego w Stanach. Ten ostatni, Manfredi był do niedawna dowódcą floty włoskiej.

Na pewno nie istnieje lepszy przewodnik po Chicago niż Charlie. Polecam go. Zna wszystkich i wszyscy go znają. W przeciągu 24 godzin poznałem najważniejsze persony stanu Illinois. Idziemy Madison Street. Nagle ktoś zawołał:

— *Charlie how are you old fellow?*

Był to gubernator stanowy, republikanin William G. Stratton. Spacerował w towarzystwie swych adiutantów i pomagierów, wśród których znajdowało się kilku Polaków i Greków.

Od chwili gdy postawiłem nogę w redakcji „Chicago American" Charlie stale mnie przedstawia:

— *My friend, a Polish journalist who lives in Argentina, writes in Spanish, works for the Americans and visits the United States...*

— *A quite complicated situation* — zauważył gubernator Stratton po tym wstępie.

Szliśmy z Charlie do Sherman Hotel. Zabrał mnie na obiad galowy urządzony na cześć burmistrza Chicago, Richard'a Daley'a przez jego zwolenników z lokalnej partii demokratycznej. Za kilka dni odbędą się wybory municypalne i Daley ponownie kandyduje. Ma zwycięstwo w kieszeni; republikanin Sheehan nie jest dla niego groźnym przeciwnikiem, według oceny Charliego. Na drugim miejscu „ticket'u" demokratycznego znajduje się Amerykanin polskiego pochodzenia John C. Marcin (zanglizowany skrót nazwiska Marcinkowski), który kandyduje na City Clerk'a.

Przed obiadem urządzono coctail dla dziennikarzy.

Obecne wszystkie grube ryby demokratyczne z Illinois: senator Paul Douglas i Adlai Stevenson. Naturalnie znają Charlie'go i klepią go radośnie po ramieniu. Zostałem przedstawiony byłemu dwukrotnemu kandydatowi demokratycznemu w wyborach prezydenckich — Stevensonowi. Jest uroczym człowiekiem, o nieprzeciętnej kulturze i inteligencji. Posiada zmysł humoru.

Kiedy mu mówię, że jest bardzo popularny w Argentynie, odpowiada z uśmiechem:

— *Powinienem tam pojechać, bo tego o Stanach Zjednoczonych nie mogę powiedzieć.*

Rozmawiamy przez blisko 10 minut o sytuacji politycznej w Argentynie, o prezydencie Frondizim, który według Stevensona zrobił doskonałe wrażenie w Stanach podczas swej wizyty. Zainteresował się też moją relacją o ofensywie propagandy sowieckiej w Argentynie i w innych krajach Ameryki łacińskiej.

W końcu jego sekretarze odciągają go od nas, Adlai jest gwiazdą wieczoru, głównym mówcą i do jego obowiązków należy przywitać się ze wszystkimi. Na pożegnanie rzuca zdanie o potędze, jaką reprezentują w Chicago wyborcy polskiego pochodzenia.

Później rozmawiam z senatorem Douglas'em, który podczas ostatniej wojny zaciągnął się do wojska jako zwykły żołnierz i przeszedł kurs rekrucki w „marines".

Anglikański pastor Beaumont, dzięki swym niezwykłym wystąpieniom w telewizji i radio, zwany jest ogólnie „biskupem Rock 'n' Roll". Ostatnio zaprosił on Garry Mills'a, by swoją zawodową karierę śpiewaka rokenrolisty rozpoczął na popołudniowym nabożeństwie w kościele Św. Barnaby, na Soho w Londynie, gdzie pastor Beaumont jest proboszczem. Należy przyznać, że metoda przyciągania parafian do kościoła jaką stosuje anglikański pastor. jest istotnie oryginalna, ale czy nie jest ona zarazem cokolwiek dziwna?

Fantastyczna kreacja

Pewien „wielki poeta emigracji" (tak o sobie mówił) siedział przez trzy dni w kawiarni „Daquise", pijąc kawę i jedząc pączki — na cudzy rachunek. Przez cały ten czas patrzył w natchnieniu na sufit, kręcąc w palcach kosmyk włosów nad uchem. Piękne, długonogie kelnerki w czerwonych kubraczkach tłumaczyły szeptem niewtajemniczonym, że to nie wariat, tylko pisarz w natchnieniu.

Po trzech dniach poeta wstał i powiedział:

— Rachunek!

Kiedy mu Czerwony Kubraczek powiedział, że rachunek jest uregulowany Poeta genialnie udał zdziwienie.

— Czyżby? — powiedział i wyszedł.

Po tygodniu wrócił, rzucił niedbale plik papierów na stolik i odezwał się do kelnerki wskazując palcem na sąsiada, który wrócił niedawno z zagranicy i miał kupę pieniędzy:

— Ten pan płaci.

Po tym oświadczeniu zamówił kawę i siedem pączków.

— Jestem głodny — odpowiedział na nieme pytanie sąsiada. — Od tygodnia nic nie jadłem. Pisałem.

— Co? — zapytał sąsiad.

— Dzieło! — odpowiedział Poeta i wsadził do ust cały pączek.

Przełknąwszy, ciągnął dalej:

— Jest to sztuka w siedmiu aktach i dwudziestu czterech odsłonach. Pięć dekoracji, dwadzieścia trzy o s o b y, kupa statystów. Monumentalne dzieło. Wystawiam je w „Ognisku". Nosi tytuł „Pigmalion".

— Czy to nie zostało już napisane przez Bernarda Shaw?

— Właściwie, tak. Ja napisałem dalszy ciąg. Bohaterka Shaw, Eliza, jest młodą dziewczyną. Moja Eliza przekroczyła pięćdziesiątkę. Jest to bardzo ciekawy eksperyment dramaturgiczny. Przesunąć całą akcję o kilkadziesiąt lat wprzód i logicznie ją rozwinąć. Jeszcze dwa pączki, pani Nino.

Ponieważ w tym roku zabrakło laureatów na emigracyjne nagrody literackie, sztuka „Pigmalion II" otrzymała cztery nagrody.

Pełen zapału reżyser skrócił ją do pięciu osób, trzech aktów i tyluż odsłon. W sztuce odkrył walory futurystyczne, wobec czego zadecydował, że sztuka zyska, jeżeli wystawi ją bez dekoracji.

— Mam jeden wielki problem — powiedział autorowi — kto zagra główną rolę 55 - letniej Elizy?

— Jakto kto? Każda dobra aktorka w tym wieku.

— Otóż to! — wykrzyknął reżyser. Nasze panie od pięćdziesięciu lat grają rolę podlotków, amantek i naiwnych, że nie mogę, po prostu nie mogę ich postarzać bez uszczerbku dla sceny polskiej.

— Niech pan znajdzie odpowiednią amatorkę — powiedział Poeta.

— Mam! — wykrzyknął reżyser. — Pewna pani, która niedawno przybyła z Polski. Pani Romana Chódzik!

W blasku reflektorów scenicznych

— Raz kozie śmierć! — powiedziała Ciocia Romcia i przyjęła propozycję znanego, bo jedynego reżysera.

Rozpoczęły się gorączkowe próby. Czasu było mało, bo reżyser wystawiał w tym samym terminie komedię Acharda (skróconą do czterech osób) i sztukę Cwojdzińskiego. (Nie skróconą, bo i tak była jednoosobowa).

Okazało się, że Ciocia Romcia ma wrodzone zdolności sceniczne. Próby szły gładko. Ciocia Romcia nie gwizdała na scenie, czym zjednała sobie zawodowych aktorów, którzy uważali że gwizdanie wywołuje nieszczęścia. J e d n a rzecz tylko trapiła Ciocię Romcię. Zwierzyła się reżyserowi:

— Ta scena, kiedy profesor Higgins uczy mię nad świecą jak wymawiać literę „h" w ten sposób, żeby świeca nie zgasła. Widzi pan, dotychczas na próbach używaliśmy niezapalonej świecy, ale ja w domu spróbowałam powiedzieć 'historia', „Hilary", i „Hipolit" nad zapaloną i stało się nieszczęście: świeca zgsła. Co to będzie, jak zgaśnie na scenie?

— Niech się pani nie boi. Na scenie używać będziemy imitacji świecy z żarówką elektryczną. Ta na pewno nie zgaśnie. Proszę państwa, jeszcze raz ostatnią scenę od kwestii Higginsa: A co to znowu?...

B.D.I.C

po CHICAGO

Tu „lunch" — tam ... Stevenson

Dick Daley jest sympatycznym, jowialnym grubasem. Pochodzi z irlandzkiej rodziny, z zawodu jest adwokatem. Kieruje ostatnią w Stanach Zjednoczonych municypalną maszyną demokratyczną, inne jak „Tammany Hall" w Nowym Jorku, „Cramp-machine" w Memphis, „Haig-machine" w Jersey City, „Pendergast-machine" w Kansas City należą już do przeszłości.

Daley zawdzięcza w dużej mierze swój pierwszy wybór, 4 lata temu, poparciu Stevenson'a, który teraz w Sherman Hotel wygłosił pełne pochwał przemówienie o „największym burmistrzu w historii Chicago".

Daley był tak wzruszony, że odpowiedział w ostatnim słowie prawie szeptem.

Gdyśmy wracali z tego zebrania Charlie wtajemniczył mnie w kulisy polityki Chicago. Wybór Daley — jego zdaniem — będzie miał nie tylko lokalne znaczenie, ale również *„national and international"*. Bo Daley musi się teraz z kolei zrewanżować Stevensonowi podczas przyszłej konwencji demokratycznej, która odbędzie się w Los Angeles w czerwcu 1960.

A Chicago ma olbrzymią wagę polityczną i może zadecydować o formule prezydenckiej.

Zdzisław Bau

Antoni Zielonka

Paryski Wiech

Autor poniższego felietonu, Jean Puget, jest rodowitym Francuzem wychowanym w Warszawie. Puget występuje przed mikrofonem sekcji polskiej radia francuskiego jako Antoni Zielonka. Jego pogadanki utrzymane w stylu Wiecha cieszą się dużą popularnością wśród słuchaczy we Francji i w Polsce.

Serwus Felek! Szanowanie Państwu! Bonjour — jak mówią Francuzi. Jest, proszę ja kogo, takie przesłowie, co to złotemy zgłoskamy na marmurze trzeba wyryć: „Gront to forsa — miłość rzecz nabyta. No to znakiem tego postanowiłem grubsze forse zarobić. Nic nie ma łatwiejszego.

Bileta na państwowe loterje sie kupuje, w środe jest ciągnienie i w porządku. Murowanie sie wygrywa, bo na wszystkich rogach ulicy w całem Paryżu som plakaty porozlepiane, że miliony tylko do odebrania w kasie gotowe czekajom... Od czasu jak te Felicjany forse wykombinowali to kłopotu nie ma.

Dawniej, w starożytnych czasach to cholernie było skomplikowane z tom loteriom. Zamiast forsom, to naród się legurował solom, cenamonem, pieprzem i inszem kolonialnem towarem. Zamiast portfelu w kieszeni, to każden jeden zamożniejszy obywatel furmankie zaprzężone w krowy posiadał, solom jom naładował i zasuwał dopiero z tem całem majdanem do sklepu po sprawonki.

Jeszcze jak po paczkie papierosów trzeba było wyskoczyć — to jak cie mogie. Ze dwa funty soli wystarczyło. Ale na ten przykład po grubsze sprawonki facet sie wybierał. Coś z mebli albo z garderoby. Szafe, albo garniturek świąteczny — to często gęsto pare razy tam i nazad z tom platformom soli trzeba było obracać.

A także samo musiem zaznaczyć, że w tych starożytnych czasach szosy byli do krzanu tarcia, znaczy sie — wyboiste i także samo okazyjnych opon na lekarstwo. A do tego koła na tech formankach na drzewnianych obręczach byli i często - gęsto nie okrągłe, tylko kwadratowe. Sam osobiście takie na obrazku widziałem. Ciemny naród był i z technikom jeszcze słabo.

To z tom loteriom był cholerny kłopot. Główna wygrana, na ten przykład, była 38 furmanek soli... Zachodu z tem jak jasny gwint.

Dopiero te Felicjany, beduiny w rude brode szarpane, kapusie byli i forse wynaleźli. Czyli dolary, funty, franki, złotówki i inne ruble. Sól na grande spadła w cenie, a o pieprzu — to lepiej nie mówić.

Cały majątek można tera w jednej kieszeni zmieścić. Jak o mnie sie rozchodzi, to nawet mała kieszonka od kamizelki mi wystarcza. Ale że te Felicjany szemrane handlarze byli, to dzięki temu jech wynalazkowi możem dzisiaj łatwo grubsze forse na loterii wygrać i z jenkasem kłopotu nie mamy. Żadnych formanek do transportu nam nie potrzeba.

Znakiem tego postanowiłem główne wygrane na loterii zahaczyć i bileta kupiłem. Ciągnienie było w przeszłe środe. Nie mogie powiedzieć żebym zupełnie nie wygrał. Nie.

Główna wygrana padła na mój numer. Tylko na początku było u mnie 17, a w loterii wyskoczyło 35. A z tyłu było 12, a u mnie 28. W środku sie już lepiej zgadzało, bo u mnie było 24, a na wygranej 42. A to akurat mój numer trzewików. Nie trzeba sie zniechęcać, po trochu może trafie na grubsze miliony. Temczasem serwus Felek i Szanowanie.

A. ZIELONKA

Polscy berlińczycy

WALKA O DZIECI

Nie wyobrażałem sobie, że Berlin jest tak dalece miastem słowiańskim. Nie ma jednego domu, w którym by na liście mieszkańców nie było nazwisk polskich, nawet w czysto polskiej pisowni. W większości są to właściciele sklepów, przemysłowcy, rzemieślnicy, robotnicy, lekarze, artyści, nawet urzędnicy. I jak sami Niemcy mówią, co 20 nazwisko w Berlinie jest słowiańskie, należące do... dobrych Niemców, przybyłych tu znad Odry, ze Śląska, Pomorza czy Poznańskiego.

Drygalski Strasse

Całe prawie stronice książki telefonicznej wypełniają nazwiska polskie: Dombrowskich znalazłem aż 32, Wieczorków 27, Szymańskich 14, Czarneckich 6 itd. itd. Nie brak i ulic o nazwach polskich: Drygalski str., Jablonski, Majakowski, Wilski, Podbielski i inne. Były chwile, że czułem się jak w jednym z miast polskich. Niestety, raz tylko słyszałem, i to u Kempińskiego, dwóch mężczyzn o rysach ormiańskich, mówiących po polsku.

Nie! Mała nieścisłość! Długie wieczory spędziłem na miłych pogawędkach z dr Kudlickim, dziennikarzem z zawodu, niemianowanym ambasadorem polskości, znanym z pracy społecznej i zamiłowań literackich.

Mówiących po polsku i przyznających się do polskości jest już, niestety, może ułamek procentu. Są oni zrzeszeni w „Związku Polaków w Niemczech" na czele którego w Berlinie stoi p. Gielniewski, i w prorežymowym „Zjednoczeniu Polaków w Berlinie", z p. Wachew jako prezesem.

W niedzielę i jedni i drudzy zbierają się w kościele Św. Rodziny na Lichterfelde na nabożeństwa z polskim kazaniem, odprawiane przez ks. Grosska (Groszka), albo na Moabicie.

Pożegnanie O.Z. Nowakowskiego

Dzięki właśnie dr Kudlickiemu otrzymałem zaproszenie na odbywającą się raz w roku „Pielgrzymkę" do Lichterfelde. Zapraszało Towarzystwo Śpiewu Polskiego „Organ" z Moabitu; zaproszenie podpisał p. Z. Grzech, prezes.

O godz. 15 kościółek się wypełnił. Przybyło ponad dwieście osób, chyba wszyscy Polacy. Stawiła się nawet delegacja ze wschodniego Berlina. Prócz kilkorga dziatwy — pokolenie starsze, przeważnie niewiasty. Wśród nich i tacy, którzy już tylko śpiewać po polsku umieją, ale czują się Polakami.

Nieszpory odprawiał ze wzruszeniem dominikanin Z. Nowakowski, pochodzący z okolic Kartuz na Pomorzu.

Było to jego pożegnalne nabożeństwo.

Chór, mimo że dyrygent nie umie ani słowa po polsku, wykonał pięknie kilka pieśni. Odmiennie niż u nas śpiewaną pieśnią „Serdeczna Matko" zakończono nieszpory.

Część druga i ostatnia programu — akademia przy kawie, odbyła się w pięknie przystrojonej barwami polskimi świetlicy parafialnej. Przemówienia pożegnalne pp. Grzecha i Gielniewskiego oraz ks. Grosska; wzruszająca mowa odchodzącego ojojca Nowakowskiego, na przemian z występami chóru i solistów, a w końcu referat dr Kudlickiego o Przybyszewskim złożyły się na to może jedyne tak liczne zebranie Polonii berlińskiej.

Zakusy reżymu

Odcięci od reszty wolnego świata i ośrodków polskich, przeważnie już obywatele niemieccy, Polacy berlińscy stanowią grupę dość odosobnioną.

Rzuceni w morze niemieckie, mimo oporu kilku świadomych działaczy i wielkich patriotów, zwolna wsiąkają w masę Niemców-Słowian.

To odosobnienie wykorzystuje reżym warszawski. Przy pomocy małych subwencji tworzy „Zjednoczenie" i po raz pierwszy zorganizował w roku ubiegłym wakacje letnie dla 25 dzieci w Polsce.

Jeśli się zważy, że mniej niż dwa procent ludności Berlina zachodniego w ostatnich wyborach wypowiedziało się za komunistami, odsetek chętnych do współpracy z reżymem wśród Polonii berlińskiej jest przerażająco duży.

Gdzie są wolni Polacy? Czy mimo wszystkich trudności nie można by te 25, czy więcej, dzieci skierować na kolonie do środowisk wolnej myśli polskiej na Zachodzie? *R.W.*

Z ŁAŃCUTA NA MAYFAIR

URSZULA SZCZECHLA

Foto Bednarski

Łańcut, rozsławiony ostatnio przez pamiętniki Alfreda Potockiego („Master of Lancut"), znany jest z — diabła, jarzębiaku, pałacu, zbiorów sztuki, wizyt zagranicznych książąt, polowań.

W mieście tym urodziła się jedna z najpopularniejszych modelek polskich w Londynie — panna Urszula Szczechla. Chodziła tam do szkoły Sióstr Boromeuszek aż do r. 1947, kiedy wraz z rodzicami przez zieloną granicę i Berlin dostała się do Anglii. Spędziła rok u Nazaretanek w Pitsford i ukończyła szkołę średnią i kurs kroju w Technical College w Londynie.

Panna Urszula ma 5 stóp 8 cali wzrostu (bez pantofli), 36,23,36 cali w 3 kolejnych obwodach swej figury, 24 lata, jasne włosy i kocie, zielonkawe oczy. To wszystko skłoniło ją do wyboru zawodu modelki. Z litości dla Anglików (za wzorem Pietrkiewicza) panna Szczechla przybrała zawodowe nazwisko „Peters", od nazwiska panieńskiego matki „Pietrusińska". Została pierwszym, pokazowym modelem niedawno otwartego przez Władysława Bednarskiego „Cavendish Studio" dla fotografii mody.

Panna Urszula lubi malować kwiatki i pejzaże, akwarelą lub olejem, ale ma na to mało czasu, gdyż dla zachowania figury musi często tańczyć.

— Flirtować nie lubię — zwierza się sprawozdawcy „Tygodnia Polskiego" — ale chętnie rozmawiam z mężczyznami.

M.P.

CONTINENTAL-BRITISH

Wystawa „Kontynentalno-Brytyjskiej Szkoły Malarskiej" przywędrowała do „A.I.A. Gallery" (Lisle Street) poprzez Wakefield i Bradford.

Jak można wnioskować z samej nazwy, obejmuje ona prace malarzy Brytyjczyków, przybyłych z kontynentu, których malarstwo nosi cechy odrębne od miejscowego, angielskiego. Nie mniej jednak pobyt w tym kraju wycisnął również pewne piętno na twórczości przybyszów — tak samo jak i ich wpływ można często odnaleźć w pracach plastyków miejscowych.

Pośród 10 wystawiających malarzy jest 6 Polaków. Przyjechali oni do Anglii już właściwie jako dojrzali i o uformowanym obliczu artyści.

ŻUŁAWSKI

Najdłużej mieszka w Anglii Marek Żuławski — przyjechał już w roku 1936 i bodajże w jego pracach najbardziej można odczuć wpływ nie tylko tutejszego klimatu i atmosfery, także i malarstwa, a zwłaszcza Johna Pipera. Jest to oddźwięk dość daleki — jednak istnieje pewne pokrewieństwo kolorytu i koncepcji z dodatkiem wstrzemięźliwości formy oraz jasności kompozycji, która u Żuławskiego jest wyraźnym i dodatnim wpływem kubizmu francuskiego.

HERMAN

Józef Herman, jeden z najbardziej popularnych malarzy w Anglii — obrazy jego sprzedawane są zwykle jeszcze „na pniu" — przesiąkł również atmosferą górniczych walijskich miasteczek, lecz jeszcze głębszy wpływ wywarł na niego wcześniejszy, kilkuletni pobyt w Belgii i twórczość Permeke.

Herman posiada wielu wielbicieli swego malarstwa, surowego w formie, o ciemnawym kolorycie i ma wielu naśladowców.

ADLER

Zmarły w 1949 roku Jankel Adler stworzył w Szkocji swą szkołę, a piętno jego indywidualności łatwo można rozpoznać choćby np. w pracach Cotoquhoum'a, McBryde'a i innych.

Adler był przedziwnym połączeniem chasydzkiego mistycyzmu i głębokiej zachodnio-europejskiej kultury, a obrazy jego, piękne i raczej radosne w swym kolorycie, o wyszukanej fakturze, mają logiczną, jasną strukturę oraz głębię wewnętrznej treści.

Obrazy jego — jak to zwykle bywa po śmierci wielu artystów — są coraz bardziej cenione i oceniane także wysoko w gotówce.

GOTLIB I RUSZKOWSKI

Gotlib, Potworowski, Ruszkowski wywodzą się z postimpresjonizmu francuskiego, a przede wszystkim z Bonnard'a.

Gotlib, najstarszy wiekiem, pozostał mu najbliższy — jest mniej poetycki i wykwintny, natomiast bardziej sensualny i gorący w swym kolorycie.

Ruszkowski, spokojny, powściągliwy i chłodniejszy w barwie, o tonacjach szlachetnych i niższych, ogranicza formę — raczej płaską — wyraźnym konturem, tworząc jakby pewien dekoracyjny nieco wzór.

Jednakże w jego „Pejzażu z Antibes", kształt jest mniej ostro określony i przestrzeń zbudowana jest plamami koloru.

Obydwaj malarze, Gotlib i Ruszkowski mieli szkołę na Hampsteadzie i wychowali wielu młodych malarzy londyńskich.

POTWOROWSKI

Potworowski, będąc profesorem w Arts College w Corsham, również wywarł duży wpływ na rozwój swych pupilów i gorących wielbicieli jego twórczości, którzy nawet za bardzo malują „pod Potworowskiego". Na wystawie w „A.I.A." jego cztery obrazy pochodzą z różnych okresów, lecz wszystkie posiadają niezwykły poetycki urok, i mimo, że prawie abstrakcyjne, są jakby kwintesencją istoty pejzażu, postaci, czy przedmiotów, które artysta odtwarza, a raczej przetwarza.

Kolor Potworowskiego, jest lekki, subtelny, wyszukany, obrazy jego mają świetlistość, przestrzenność a jednocześnie niepokojącą atmosferę, jakby magiczną i tajemniczą.

Wydaje mi się, że poza malarstwem Oskara Kokoschki, który może się mniej, lub więcej podobać w swym rozwichrzonym, kolorowym i barokowym ekspresjoniźmie, lecz który stworzył swój własny język malarski, ani Uhlman, ani Bloch, z pochodzenia Niemcy, ani Bornfriend (Czech) nie wnieśli tylu nowych i świeżych elementów do malarstwa „kontynentalno-brytyjskiego" co Polacy. A prace owych 6 artystów są tylko drobnym ułamkiem malarstwa, które artyści polscy stworzyli i tworzą ciągle na tej wyspie.

ALICJA DRWĘSKA

CIOCI ROMCI

Premiera, która okazała się dernierą

Przedsprzedaż biletów przekroczyła wszelkie oczekiwania. Wszyscy przyjaciele Cioci Romci, a było ich tylu, ilu Czytelników Tygodnia Polskiego, zakupili bilety. Z wyjątkiem tych, oczywiście, którzy mieszkali daleko od Londynu, chociaż jeden przybył aż z Dundee. Zrezygnowano więc z premiery w Ognisku i wynajęto Albert Hall, znany tym wszystkim Polakom w Londynie, którzy swoją niemuzykalność wyładowują na koncertach polskich pianistów manifestując w ten sposób gorący patriotyzm.

Sala zapełniła się do ostatniego miejsca. Zgasły światła na widowni, zapaliły się reflektory, sala ucichła, zaczęło się przedstawienie. W pierwszym rzędzie tuż koło Generała siedział szef Eugeniusz Chódzik w towarzystwie pana Zenobiusza Fentalskiego, pułkowników Muszli i Bęc-Bęckowskiego i inspektora Watkinsa, który był ciekaw dalszego ciągu „Pigmaliona". Przyszedł nawet pan Rimp z obandażowaną głową.

Pierwsze wejście Cioci Romci powitała burza oklasków. Najgłośniej klaskał inspektor Watkins. Ciocia Romcia odwróciła się w stronę widowni, uniosła falbany swej sukni i dworsko dygnęła uśmiechając się z wdzięczności za gorące przyjęcie.

Przedstawienie szło składnie aż do sceny ze świecą. Kiedy aktor grający profesora Higginsa powiedział:

— A teraz, Elizo, zapal świecę — przerażona Ciocia Romcia spostrzegła, że rekwizytor zapomniał wystawić świecę na stole. Przez chwilę zapanowała dość długa cisza, którą przerwała Ciocia Romcia:

— Niech pan poczeka, panie profesorze. Zaraz przyniosę świecę.

Powiedziawszy to, spokojnie wyszła za kulisy, aby przynieść ową świecę. Ale elektryczna świeca gdzieś się zapodziała, więc Ciocia Romcia przyniosła zwyczajną woskową.

Aktor grający profesora nie stracił równowagi i powiedział:

— Skoro znalazłaś tę świecę, to ją zapal i powiedz: „historia" tak, aby świeca nie zgasła.

Ciocia Romcia zapaliła świecę, powiedziała: „historia" i świeca oczywiście zgasła.

— Jeszcze raz! — powiedział profesor nie bacząc na tekst sztuki.

Ciocia Romcia zapaliła drżącą ręką świecę powtórnie, powiedziała: „historia" i świeca zgasła.

— Jeszcze raz! — powtórzył bezlitosny profesor.

Ciocia Romcia wyciągnęła zapałkę, zapaliła, powiedziała „historia" i świeca zgasła.

— Jeszcze raz!

Ciocia Romcia wyrżnęła pudełkiem zapałek w stół.

— Nie ma więcej zapałek! — krzyknęła.

Poeta, autor sztuki, chwycił się za głowę. Ale to nie był koniec. Jeden ze statystów znalazł wreszcie za kulisami elektryczną świecę i przyniósł ją na scenę ze słowami:

— Znalazłem ją w kieszeni reżysera.

Sala wybuchła śmiechem.

Wytrawny zawodowy aktor stracił głowę.

— Zapal, Elizo świecę i powiedz „historia", tak, aby świeca nie zgasła.

Ciocia Romcia powiedziała: „historia" i świeca nagle zapaliła się sama.

Zaczął się śmiać nawet pułkownik Bęc-Bęckowski.

Wytrawny aktor chcąc zagłuszyć widownię ryknął:

— Powiedz, Elizo: „Hipolit"!

Jeszcze Ciocia Romcia nie zdążyła otworzyć ust, a świeca zgasła.

— Hipolit! — pisnęła Ciocia Romcia i świeca zapaliła się znowu.

Ktoś z widowni, z ostatniego rzędu, krzyknął:

— Powiedz, Elizo: „hokus - pokus"!...

Ciocia bezwiednie powtórzyła i zgasły światła w całym Albert Hallu. Premiera zakończyła się fiaskiem i zeszła z (ręcznie malowanego) afisza już następnego dnia. Reżyser wyrywał z głowy włosy, a Poeta, autor sztuki i laureat czterech nagród, przepił z rozpaczy je wszystkie, a otrzeźwiawszy zabrał się do pisania dalszego ciągu „Romea i Julii".

(zmj)

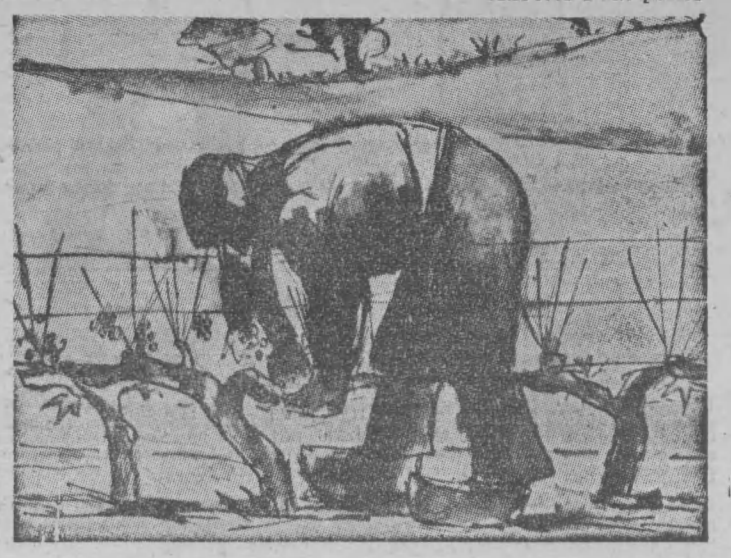

PIĘKNA PANI i praktyczna

ŻEGNAJ, SZKOŁO!

Nadchodzi lato, z nim ostatni trymestr roku szkolnego a zaraz potem — pora przełomowa dla wielu młodych panienek. Zostawiwszy szkołę poza sobą, wychodzą w świat — i tu z miejsca zaczyna się udręka: nie mają, absolutnie nie mają w co się ubrać. W ich wypadku, w przeciwieństwie do ich matek, jest to zazwyczaj stoprocentowa prawda. Bo jak przedstawia się przeciętna garderoba uczennicy po maturze:

kilka białych bluzek koszulowych (od mundurka).

kilka spódniczek, zazwyczaj kloszowych, w tym normalnie jedna granatowa,

płaszcz zimowy,

płaszcz nieprzemakalny.

Jeszcze dodać można do powyższej listy jakieś rzeczy „odświętne", parę letnich sukienek, sweterki, jakiś płaszczyk — i na tym przeważnie koniec. Czyli, ogólnie biorąc, nic, co nadawałoby się do nowego życia, niezależnie od tego, czy absolwentka zamierza studiować, czy też rozpoczyna pierwszą pracę.

Prosta spódniczka, koszulowa bluzeczka w paski, (nie potrzebuje prasowania), czarne czółenka z modnym poprzecznym paskiem.

Warto zatem zastanowić się, jak najlepiej zaplanować nową garderobę, biorąc pod uwagę, że trzeba wydać jak najmniej, a móc się ubrać na każdą okazję. Z garderoby „szkolnej" zazwyczaj tylko białe bluzki da się jeszcze zużytkować.

Czarna, „wyjściowa" góra, b. szeroka spódniczka z jasnego filcu w apilkowane stonowane kwiaty.

WYMIENNE KOMPLECIKI

W klimacie angielskim nawet na wiosnę trzeba pamiętać o zimie. Każda garderoba zawierać musi co najmniej dwa sweterki, w tym jeden zapinany, jeden wciągany. Dla bardzo młodych dobre będą — popularne w Anglii — „separates", czyli spódniczki i góry wymienne. Jeśli się je odpowiednio dobierze, z trzech np. spódniczek i trzech sweterków czy bluzek robi się sześć rozmaitych „toalet". Trzeba tylko wiedzieć, jak je dobierać, co wymaga znajomości materiałów i kolorów. Dlatego podajemy poniżej kilka połączeń na początek:

1. Spódniczki najlepiej mieć: jedną ciemną (czarną lub ciemno szarą), dwie w kontrastowych kolorach. Bardzo wąskie spódniczki tamują swobodę ruchów, i przy siedzącym trybie życia łatwo się „wysiadują", tak że lepiej wybierać pełne albo modne obecnie, plisowane. Klosze w tym roku zupełnie wyszły z mody.

2. Góry powinny być albo dokładnie dopasowane do spódniczek, albo przynajmniej tonujące z nimi. Należy przy tym pamiętać, że podstawowe kolory całej garderoby nie powinny „gryźć" się między sobą, gdyż wtedy na nic cała przyjemność wymiany. Białe bluzki szkolne można wykorzystać do noszenia ze wszystkimi spódniczkami.

Konieczny na okres wiosenny i jesienny, a w Anglii właściwie i na lato, jest żakiet albo kurteczka. Bardzo ładne i praktyczne są modne w tym sezonie trzyćwierciowe żakieciki z impregnowanej gabardyny, w różnych kolorach. Trzeba tylko pamiętać, że żakiecik powinien być łatwy do czyszczenia.

Obuwie musi być wygodne, obcasy, szczególnie dla nogi nieprzyzwyczajonej do szpilek, nie zanadto wysokie. Ponieważ jednak wiadomo, że elegancja na płaskich obcasach jest niemożliwa, najlepiej wybrać dwie pary pantofelków — jedna czarna, jedna w neutralnym kolorze — na bardzo modnych w tym roku niedużych, ale cieniutkich obcasikach.

E.M.

Odnawiamy MIESZKANIE

NOWOCZEŚNIE i TANIO

Na pewno po obejrzeniu wystawy w Olimpii „Ideal Home Exhibition" niejedna z naszych czytelniczek wróciła do domu z lekkim zawrotem głowy, a własne mieszkanie wydało się jej ponure, pozbawione kolorów i lekko trącące myszką w urządzeniu. Bo rzeczywiście było na co patrzeć... Niestety, nie zawsze można sobie pozwolić na usunięcie starych mebli i wstawienie na ich miejsce nowoczesnych małych, ale odwrotnie proporcjonalnych w koszcie mebelków. A przecież jest już wiosna, niedługo będzie lato i warto by pomyśleć o odświeżeniu i nadaniu nowego wyglądu naszym mieszkaniom w ramach wydatków, które objąć może przeciętny budżet.

Zacznijmy od kolorów. Zanim zadecydujemy, jaka tonacja dominować będzie w pokoju, należy wziąć pod uwagę jego położenie. Wiadomo, że zimne barwy, jak niebieska, zielona i szara, a także ciemne kolory nie są najlepszymi do pokoju o małym nasłonecznieniu.

Przytulne i słoneczne wnętrze można w takim wypadku uzyskać przez zastosowanie tzw. kolorów „ciepłych" jak kremowy, żółty, różowy itd. Ponadto należy pamiętać, że ciemne barwy zmniejszają, a jasne powiększają płaszczyznę.

Jeżeli więc mamy w planie odmalowanie ścian czy też położenie nowych tapet, trzeba się zastanowić by przez nieumiejętne dobranie kolorów nie zaciemnić i tak nieraz niesłonecznego pokoju. Drugą ważną sprawą przy doborze tapet lub farb na ścianę, jest uwzględnienie koloru dywanu jakim w danej chwili rozporządzamy, koloru mebli, a co najważniejsze firanek, kap na tapczanie czy łóżku i wszelkich zasłon. Generalną zasadą jest że przy wzorzystych tapetach dodatki te powinny być jednokolorowe, harmonizujące z kolorem ścian. Bardzo trudne i ryzykowne jest dobieranie wzorzystych zasłon i firanek do wielobarwnej tapety.

Zakładając jednak, że czytelniczki nasze postanowiły odświeżyć mieszkanie stosunkowo niewielkim kosztem, bez zmieniania koloru ścian — zabieramy się do dzieła. Jeżeli mamy stare ciemne meble, z nienajlepszym stanem politury, zastanówmy się czy w jakiś sposób nie można by ich unowocześnić.

Stare na nowe

Starą ozdobną komódkę pozbawimy wyrzynanych filarków i ozdób, zostawiając tylko szafkę z szufladami, a jeżeli jest dość wysoka, podpiłujemy nóżki (co jest już nieco trudniejszą rzeczą) i pomalujemy jasnym kolorowym lakierem. Uzyskamy w ten niezbyt kosztowny i dość łatwy sposób nowy zupełnie mebel.

Tą samą drogą, jeżeli nie zabraknie nam wytrwałości i fantazji, możemy zmodernizować i inne meble, np. stare łóżko z oparciami zamienić w nowoczesny tapczan, który nakryjemy własnoręcznie uszytą kapą, starym, ciemnym krzesłom nadać nowy wygląd przez ich odmalowanie, wiekowy okrągły stolik na wysokich nóżkach zmienić w niski, barwny stoliczek do kawy itd., itd. Nie wahajmy się przy tym wyrzucić jakiś stary mebel, jeśli dotąd trzymałyśmy go przez sentyment i z nadzieją „że może się przyda", a jeżeli jednak nie jest nam naprawdę potrzebny.

Zasadą nowoczesnego mieszkania jest przede wszystkim jak najwięcej przestrzeni, jak najmniej niepotrzebnych gratów.

Teraz już, gdy „zdewastowałyśmy" wszystko, co się dało i pomalowałyśmy na nowy kolor, można się zabrać do ostatecznego wykończenia pokoju. Wyrzućmy koronkowe serwetki, które może nawet ładne i robione z dużym nakładem pracy, nie nadają się jednak do nowoczesnego pokoju.

Oto dwa modele typowe dla londyńskiej kolekcji Diora.

(Z lewej) — Kostium z czerwonej wełny Szczególnie ciekawa jest spódnica z lekkim bardzo nisko umieszczonym kloszem.

(Z prawej) — Suknia z żakiecikiem z czarno-białego tweedu. Suknia ma pasek wszyty, żakiecik objęty jest paskiem nieco węższym.

Na ich miejsce położymy jednobarwne płócienne makatki. Starą kanapę czy tapczan pokryjemy pokrowcem, zrobionym z barwnego materiału (o doborze kolorów była mowa wyżej). Załóżmy zasłony do okien z barwnej, lekkiej, łatwej do prania tkaniny. Duży ich wybór można dostać w sklepach po stosunkowo niskiej cenie. Jeżeli chcemy uzyskać wrażenie dużego okna, powieśmy zasłony na całą szerokość ściany, na której się ono znajduje.

Na pewno w każdym domu znajdą się jakieś poduszki, służące jako ozdoba na tapczan. Pozbawmy je starych, haftowanych powłoczek, a na ich miejsce uszyjmy nowe, w jednym, żywym kolorze (druga strona może być kontrastowa). Najlepiej się do tego nadają materiały: drobno prążkowany sztruks lub gruby ryps.

Lampy, lampki i lampeczki

Jeżeli chcemy dalej zmieniać i unowocześniać nasze mieszkanie, spojrzyjmy na abażury naszych lamp. Prawda, że często są trochę przestarzałe? Dla ogólnego wyglądu mieszkania rzeczą niezmiernie ważną jest odpowiednie, a przy tym dekoracyjne oświetlenie.

Może i tu dałoby się coś zmienić? W wolnej chwili można pójść do jednego z wielkich londyńskich magazynów — dysponują one działem nowoczesnych lamp i abażurów, o jakich tylko dusza zamarzy, we wszystkich kolorach i kształtach.

Na pewno znajdziemy tam coś odpowiedniego do naszego mieszkania. Ceny na ogół nie są przerażające.

A teraz po przeczytaniu tych ogólnych wskazówek radzimy Czytelniczkom, aby najpierw zrobiły plan wszystkich przeróbek, ułożyły ich kosztorys, by w połowie pracy nie okazało się, że zabraknie funduszów do jej ukończenia, a później zrobiły podział czynności dla wszystkich domowników. Przyspieszy to i ułatwi całą renowację.

Życzymy dobrych pomysłów i zadowalających efektów.

Dorota

MODA POLSKA

Modele pokazane na warszawskiej rewii mody.

Z prawej strony — klosz modny jeszcze w Polsce.

Z lewej płaszcz — biust podkreślony, talia w pasie, kołnierz szeroko odsłaniający szyję.

Hestia b. krytycznie odniosła się do płaszcza:

— Stanik — powiada — nie tylko jest za kusy, ale ma zupełnie niepotrzebne marszczenia.

Jeśli pasek dochodzi tylko do boków, nie potrzeba umieszczać dwóch guzików pod gorsem. Przy rozszerzającej się spódnicy płaszcza, rzadko zresztą obecnie widzianej w kolekcjach paryskich, szeroki kołnierz skraca figurę.

Wreszcie biedna modelka stoi jak na cenzurowanym, nie wiedząc co zrobić z rękami. W jednej ręce próbuje równocześnie utrzymać parę rękawiczek, które powinny być na rękach.

KĄCIK DLA PANÓW

Moda amerykańska w Niemczech

(Z lewej) — Obowiązujący strój młodzieńca niemieckiego na week-end'owe wycieczki rowerem, scooterem czy też Volkswagenem, składa się ze spodni w dużą kratę i luźnej bluzy-pulloveru. Niemiecka młodzież przejęła od młodzieży amerykańskiej podobieństwo w stroju dziewcząt i chłopców — tak, że trudno rozpoznać, w których spodniach (i pulloverze) kryje się przedstawicielka płci pięknej, ale nie płci słabej.

(Z prawej) — Typowy dla zamerykanizowanej niemieckiej mody męskiej jest ten płaszcz ledwo kolan sięgający, przewiązany wąskim paskiem z dyndającymi końcami. Młodzieńcy niemieccy są dumni, że wyglądają jak studenci amerykańscy

Widziałam Słyszałam

Kolacja na SOHO

Znam sporo Anglików, którzy lubią dobre jedzenie, ale Donald i jego żona bez wątpienia wodzą wśród nich prym. W pięć minut po poznaniu się z nimi na hiszpańskiej plaży, byliśmy w środku ożywionej rozmowy o najlepszych restauracjach w Barcelonie i Madrycie, i — przede wszystkim — o niezwykłych przeżyciach gastronomicznych na Ibizie, gdzie przypadkiem trafili do małej traktorii, której właścicielem okazał się sławny kucharz na emeryturze.

Wspaniały posiłek rozpoczął się od marynowanych gołąbków czy jakichś innych ptaków — miał to być podobno przysmak nad przysmaki. Żona Donalda, sama doskonała kucharka, starała się później odtworzyć tę potrawę, ale nigdy się to jej nie udało, chociaż zmarnowała z tuzin gołębi.

ORGIE ŻARCIA

Donald jest jakimś dyrektorem w potężnym koncernie przemysłowym na północy Anglii; w wielotysięcznym pół-mieście, pół-osiedlu, jakie powstało koło fabryk i laboratoriów, pracownicy, trochę oddaleni od świata, wymyślają sobie różne rozrywki; mają własny teatr amatorski, własne koncerty itd.

Donald i jego żona, zgodnie ze swymi upodobaniami należą do „dinner club'u", którego „działalność" polega na tym, że co tydzień któryś z członków urządza obiad czy innego rodzaju wieczorne przyjęcie, starając się albo o oryginalny pomysł albo o niezwykłą potrawę czy wyjątkowe wino.

Wino (np. wytrawne reńskie) piją nawet przed jedzeniem, jako „aperitif", bo uważają, że cocktail'e czy inne ostre alkohole psują apetyt i nie są godne prawdziwych smakoszów. Jedno takie przyjęcie składało się tylko z pasztetów (7 rodzajów — wszystkie domowej roboty), do których wypróbowywano różne roczniki tego samego czerwonego wina, sprowadzanego oczywiście wprost z Francji (Donald objeżdża winnice we Francji, wybierając wina dla siebie i przyjaciół).

Na innym przyjęciu goście (wszyscy znawcy) mieli zgadnąć jaki napój podano im po kolacji; zgadła żona Donalda, przez przypadek, jak się potem sama przyznała, bo piła to po raz pierwszy, ale akurat przyszedł jej do głowy „tokaj" — i właśnie trafiła! Jeszcze kto inny wpadł na pomysł, aby podać do kolacji wina zupełnie nikomu nie znane — i zebrał 6 gatunków, do każdej potrawy inne — z Grecji, Portugalii, Chile, Sycylii i nawet z jakiejś nieznanej prywatnej winnicy francuskiej.

NA BECZKACH

Wiedząc o tym wszystkim przygotowałam się na wielkie przeżycie gastronomiczne, gdy Donald, przyjechawszy kiedyś do Londynu, zaprosił mnie na kolację. Od razu dobrze się zaczęło, bo przed kolacją poszliśmy do starego angielskiego baru, gdzie podają tylko wina (przede wszystkim te ulubione przez Anglików, a więc sherry i port).

W malutkich pokoikach na górze i na dole siedzi się na beczkach, beczki służą jako stoły i z beczek nalewają sherry wprost do ogromnych kieliszków.

Kolację jedliśmy na Soho w jednej z nielicznych tam angielskich restauracji, ale nikt by się tego nie domyślił sądząc po jedzeniu, niewiele mającym wspólnego z tym co znamy jako „angielską kuchnię".

W morzu międzynarodowych restauracji, jakimi wypełnione jest Soho, wśród tych wszystkich „Majorek", „Escargot", „Isoli Belli" „Moulin d'Orów" i różnych „Chez", ta angielska twierdza, ponad stuletni „Wheeler" pozostał wierny narodowej morskiej tradycji i specjalizuje się tylko w arystokracji morza: ostrygach skorupiakach i kilku gatunkach ryb. Homara przyrządza się tu na 14 sposobów, a jeśli kto zdecyduje się na solę, musi ją wybierać z 32 rodzajów.

A LA WALEWSKA

Pomaga mu w wyborze wydrukowane menu, w którym przy każdej nazwie potrawy podany jest sposób jej przyrządzenia i wszystkie składniki. Z patriotycznym zadowoleniem, które, jak wiadomo, prawy Polak ma na zawołanie przy każdej okazji, zauważyłam, że jeden z przepisów, który polega na duszeniu ryby wraz z kawałkami homara w sosie z Marsali lub sherry z dodatkiem tartego sera, nazywa się „Sole Walewska".

Na nas czekała już w lodzie butelka białego burgunda Montrachet, którym popijaliśmy homara, zapiekanego w swej własnej skorupie i „solę" w jakimś znakomitym sosie, grubo pokrytą siekanymi truflami. Chyba nikt się nie zdziwi, że nie mogłam już patrzeć ani na sery ani na deser, tylko poprzestałam na kawie z najgrubszym bronzowym cukrem, jaki kiedykolwiek widziałam.

Tylko żeby na mnie nie było jeśli ktoś zachęcony moim doświadczeniem wybierze się do Wheelera na kolację!

Z góry ostrzegam, że lepiej tam nie chodzić bez zamożnych przyjaciół — Donald za kolację na trzy osoby, z jedną butelką wina i bez deseru zapłacił ponad £7!

Ewa

B.D.I.C

KRÓLOWA CZEKA...

Królowa Elżbieta II i księżniczka Małgorzata na przejażdżce konnej w Badminton. Książę Filip, który ponad 2 miesiące bawił w podróży dookoła świata, wraca już w tym tygodniu do domu.

A gdzie mieszka narzeczona...

— Słuchaj, Feluś, mogę pożyczyć od Ciebie pióro?

— Proszę bardzo.

— A może masz też do odstąpienia papier listowy i kopertę?

— Owszem — masz je tutaj.

— A znaczek pocztowy?

— Naturalnie.

— Jak będziesz przechodził koło skrzynki pocztowej za godzinę, zechcesz mi wrzucić list?

— Z przyjemnością.

— Dziękuję Ci — powiedz mi tylko jeszcze: jaki Twoja narzeczona ma adres?

●

Rekrut Filip z głębokiej prowincji został po jakimś czasie przydzielony do oddziału spadochronowego. Na jednym z pierwszych ćwiczeń oficer zapowiada, że dziś po raz pierwszy będą ćwiczenia skoków z samolotu. Na początek tylko 500 metrów. Filip zbliża się do instruktora i mówi:

— Czy nie można by, panie poruczniku, zacząć trochę skromniej, np, tak z 200 metrów wysokości?

— Nie można, bo na 200 metrach spadochron nie zdąży się rozwinąć.

— A! To będziemy mieli też spadochrony?

●

Dama do przyjaciółki:

— Mój związek z Edwardem i przyjaźń trwały 15 lat. Wiele musiałam mu nieraz wybaczać. Ale jak przed miesiącem wziął i ożenił się z inną — to było już za wiele i zdecydowałam się z nim zerwać.

●

25-letnia Jadzia zdecydowała się wyjść za mąż za 53 letniego Wiktora. Przyjaciółka krytykuje decyzję Jadzi:

— Twój wiek — to maj ludzkiego życia, a jego — to grudzień. Czego się może spodziewać młodość od grudnia?

—Jak to? A święty Mikołaj to nic?

●

Nauczyciel na lekcji przesłuchuje uczniów z geografii środkowej Azji.

— No, Józiu! Powiedz, co to są koczownicy?

— Koczownicy to są ludzie, którzy zawsze bardzo krótko przebywają w pewnym miejscu.

●

Zosia ma katar. Zaproszona na obiad, zabrała dla pewności dwie chusteczki: jedną włożyła do torebki, drugą schowała za dekolt. W czasie obiadu Zosia zdecydowała, że czas sięgnąć po zapasową chusteczkę. Ale ta gdzieś znikła. Zosia szuka coraz intensywniej manewrując ręką za dekoltem. Rozmowa przy stole ustała, wszyscy patrzą ciekawie na Zosię, która czerwieni się jak burak i mówi zażenowana:

— Kiedy tu przyszłam, na pewno miałam dwie...

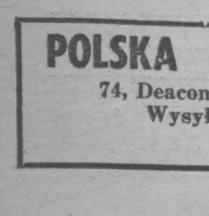

Sweterki Iza, opak. Haskoby osiąg. 1.000 zł. 4 szt. 46/-
Chustki kaszmirowe w kwiaty osiąg. 2.000 zł. 6 szt. 100/-
Pasta Kiwi — średn. pudełka osiąg. 1.600 zł. 108 szt. 70/-

CENTRALA WYSYŁKOWA **HASKOBA LTD.**

121, Earls Court Rd., London. S W 5. Tel. FRE 7888

Skarby na górze Synaj

Pod dzikim i samotnym szczytem góry Synaj stoi zapomniany, cichy klasztor greckich mnichów, ortodoksów.

Założył go w 527 roku cesarz Justynian i od tego czasu niewiele zmieniło się w samym klasztorze i w jego pustynnym otoczeniu.

Żeby dojść do klasztoru trzeba wpierw przebyć sto mil pustyni na północ od Suezu, następnie ścieżkami wśród wąwozów, łożysk wyschłych strumieni, perciami stromymi i niebezpiecznymi wspinać się przez osiem godzin na wysokość 5000 stóp ponad powierzchnię Czerwonego Morza.

Nie przed każdym otwiera się furta klasztorna.

Dostęp do pustelni mają tylko ci, którzy wykażą się pisemnym pozwoleniem metropolity z Kairu.

SANKTUARIUM TRZECH WIAR

Klasztor zawierą bajeczne skarby, które przechował przez wieki. W czasie, gdy kataklizmy, wojny i prześladowania religijne niszczyły inne ośrodki chrześcijańskie, klasztor św. Katarzyny na górze Synaj korzystał ze specjalnych przywilejów.

Synaj jest górą świętą dla trzech religii: chrześcijan, Żydów i mahometan, którzy utrzymują, że stąd Mahomet uniósł się do nieba na cudownej wielbłądzicy (ślad nogi na szczycie góry jest przedmiotem czci muzułmanów).

Mnichów synajskich przez wieki pozostawiono w spokoju i w klasztorze gromadziły się skarby, o których mówiono wiele, ale które nieliczni tylko mogli oglądać, nikt jednak nie uzyskał pozwolenia na ich fotografowanie.

WYPRAWA AMERYKAŃSKA

Dopiero w 1956 roku po wielu usiłowaniach wielka ekspedycja profesora amerykańskiego z Princeton, Kurta Wietzmana, dotarła do klasztoru i zaczęła przeprowadzać dokładne badania robiąc też zdjęcia zabytków.

Do specjalnych prac sprowadzono ze Stanów aluminiowe rusztowania, aparaty i personel. Spisane rezultaty prac ekspedycji zajmą najmniej dziewięć tomów.

Obrazy i manuskrypty, które profesor Wietzman po raz pierwszy udostępnił światu za pomocą zdjęć i opisów — są bezcenne.

Cudowny w niczym nie ustępujący nowoczesnej sztuce obraz Marii Dziewicy z VI wieku, malowany farbami mieszanymi z woskiem przetrwał 1400 lat bez żadnej szkody dla kolorów.

Jest tam m.in. życie św. Mikołaja malowane w XV wieku, Mojżesz przyjmujący przykazania obraz z XII wieku i wiele innych ikon, które przewyższają wszystko cokolwiek dotychczas było gromadzone po muzeach.

Najpiękniejszym dziełem sztuki jest olbrzymia mozaika w absydzie bazyliki; wyobraża ona Przemienienie Pańskie. Dzięki wielu dniom pracy ekspedycji obraz jej fotograficzny zrobiony z wielu zdjęć został udostępniony wszystkim.

W klasztorze przechowuje się 2000 ikon i 3000 manuskryptów (wiele iluminowanych).

Wyprawa prof. Wietzmana nie tylko osiągnęła niezmierzone korzyści dla nauki, przysłużyła się ona też klasztorowi samemu — po raz pierwszy uzbrojeni w najnowocześniejsze metody konserwatorzy zabrali się do ochrony skarbów, których wartość przewyższa wszystko, co dotychczas było znane z tego okresu.

WSZELKIE LEKI
I MATERIAŁY DENTYSTYCZNE
do cenach eksportowych
MATERIAŁY NA UBRANIA
PACZKI ŻYWNOŚCIOWE
do cenach umiarkowanych
wysyłamy do Polski i innych krajów oraz poza Linię Curzona
Mgr L. OLIWA i Mgr. B. DALSKI
APTEKA Ltd
THE BROMPTON PHARMACY
68, FULHAM ROAD.
SOUTH KENSINGTON.
LONDON. S.W.3. Tel. KEN 7410.
WSZELKIE ZLECENIA WYKONUJEMY NATYCHMIAST
Apteka czynna codziennie do 8 w., w czwartki do 1 po poł.
11268

Nie mają nic...

Korespondent „Newsweek" dotarł do Terespola, gdzie na granicy sowiecko-polskiej znajduje się punkt tranzytowy dla repatriantów z Rosji do Polski.

— Jak wszyscy, uciekałem od Niemców i zaaresztowany przez sowieckich żołnierzy zostałem wywieziony w głąb Rosji — opowiadał mu repatriant, jeden z wielu. — Pierwszej zimy moja żona umarła. Potem przenosili mnie z obozu do obozu...

Po siedmiu latach ożenił się ponownie i pracował jako szewc. Mógł sobie zarobić nieco rubli, nie jest więc biedny. Posiada dziecięcy rower na trzech kółkach i trzy pierzyny...

Inni przeważnie nie posiadają nic. Wracają w tym samym stanie, w jakim byli wywiezieni — jedno ubranie na sobie — to cały ich majątek.

Wielu z nich ożeniło się z Rosjankami i żony wraz z dziećmi towarzyszą im w powrocie do Polski.

Ci, którzy potrafili zarobić trochę rubli pokupowali aparaty fotograficzne, rowery, prymitywnie skonstruowane lodówki, wszystko to co w Sowietach jest o wiele tańsze i da się łatwo spieniężyć w Polsce.

Takich „bogaczy" — korespondent „Newsweek" naliczył 25 proc.

W dniu, kiedy był obecny przy przekazywaniu repatriantów, na 72 godziny przed terminem zamykającym granicę, 10.000 czekało na wejście do Polski.

Najnowsze WYNALAZKI i ODKRYCIA

Wielki koncern General Electric Co w Nowym Jorku ogłosił, że jego mechanicy zbudowali nowego robota, posiadającego niemal ludzkie właściwości.

Rozpiętość ramion robota wynosi 10 stóp od końców palców obu dłoni. Ręce robota mogą zaciskać się jak pięści, może on wbijać młotkiem gwoździe w deskę, odkręcać śrubę, kręcić obręczą hula hoop i delikatnie obrywać płatki róży...

Można go uruchomić falami elektro-magnetycznymi z odległości wielu tysięcy mil, można go przenieść na księżyc w pocisku rakietowym i kierować z Ziemi jego ruchami na Księżycu.

Tymczasem jednak robot znajdzie zatrudnienie jako mechanik w zakładach atomowych, gdzie może pracować w miejscach niebezpiecznego dla człowieka promieniowania.

Człowiek chodzi po suficie

Po suficie może chodzić nie tylko mucha, ale także człowiek. Podczas prób dokonywanych na lotnisku USA w Dayton (Ohio) samoloty z dużej wysokości opuszczały się na ziemię lotem nurkującym a następnie podrywały się prawie pionowo w górę. Podczas tych akrobatycznych ćwiczeń lotnicy w zamkniętych hermetycznie kabinach byli w stanie nieważkości tzn. nie działała na nich siła przyciągania ziemi.

Pływali oni przez krótką chwilę w kabinach jak bańki mydlane i mogli chodzić po suficie w butach zaopatrzonych w gumowe ssawki lub w namagnesowane podeszwy.

Big Ben, londyński sławny zegar w Pałacu Westminsterskim obchodzi w tym roku setną rocznicę swych urodzin.

Popiół na dnie Pacyfiku

Domniemania uczonych, że przed wielu tysiącami lat nastąpił kataklizm — zderzenie ciał niebieskich w pobliżu Ziemi — znajdują potwierdzenie w próbkach dna wschodniej części Pacyfiku.

Statek badawczy uniwersytetu Columbia (USA) odkrył, że dno oceanu pokryte jest warstwą białego popiołu na długości 1.500 mil. Mogą to być pozostałości zderzenia w Kosmosie ciał niebieskich, których płonące szczątki spadły na Ziemię.

Inni uczeni sądzą, że popiół na dnie oceanu jest pozostałością wulkanów w Andach, które były czynne, gdy jeszcze ziemia nie ostygła.

Księżyc — stacja przekaźnikowa

Za rok marynarka Stanów Zjed. zamierza posługiwać się Księżycem dla regularnej komunikacji między Stanami Zjedn. i Hawajami. Sygnały radiowe z Ziemi będą wysyłane przez antenę, mającą kształt miski o średnicy 84 stóp. Impulsy radiowe będą się odbijały od księżyca, wrócą na ziemię i będą odbierane na Hawajach przez podobną antenę.

Stacja odbiorcza ma być w Pearl Harbour na Hawajach, nadawcza — w Waszyngtonie. *m.b.*

KAMIENI BY ZABRAKŁO...

Gdyby za cudzołóstwa kamioniować miano
Teraz, jak w Starym niegdyś mieć Zakonie chciano,
Przebrałoby się wiele kamieni w tej sprawie,
Tak. żeby ich na bruku nie stało w Warszawie.

Józef Epifani Minasowicz 1718 — 1796

PODSTĘP

Grudniowy wieczór leżał w pustej ulicy. Tam gdzie kończyły się domy na początku długiego płotu otaczającego pusty plac po rozebranej fabryce stał Kędzierzawy. Oparty o spróchniałe deski ćmił papierosa i cierpliwie czekał. Rozkaz szefa. Sprawa ma być załatwiona cicho, spokojnie, pod osłoną nocy.

Rozległy się kroki i zza rogu pojawiła się niewielka skulona postać. Kędzierzawy leniwie poderwał się, rzucił na ziemię niedopałek, poprawił wiszącą w kieszeni spodni „sprężynkę" z ołowianą kulą na końcu i wystąpił z cienia duży, szeroki, groźny.

— Dokąd to obywatelu? Tak późno?

Stary człowiek podniósł zmęczone, wyblakłe oczy i zatrzymał się przestraszony.

— Z garażu — powiedział, przełykając ślinę. — Z roboty.

— Aha — mruknął Kędzierzawy. — Nadgodziny się pracuje? Słabo wam muszą płacić.

— Czego... czego pan chce?

— Papierosa? — Kędzierzawy wyciągnął paczkę „Mew". — Pogadajmy.

Tamten sięgnął drżącą ręką po papierosa.

— Czego pan sobie życzy? — zapytał znowu.

— Interesik. Mały interesik — zaśmiał się Kędzierzawy. — Kupić, sprzedać... Wyciągnął gruby plik setek i podsunął mechanikowi pod nos.

— Interesik — powtórzył. — Chodź pan w cień, pogadamy.

Popchnął starego w kierunku dziury w płocie.

— Ale mu gały wylazły na wierzch — zaśmiał się do siebie. — Ładna „dola" i facet wcale nie podejrzewa za co.

Historia była prosta. Poprzedniego dnia samochód szefa, uciekającego przed pościgiem, zabił milicjanta na motocyklu i rozwalił przy tym błotnik. Szofer, Blady Mikuś, jeszcze nie zorientowany w organizacji bandy, pomylił garaże i oto stary mechanik Kowalski, który naprostował pogięty błotnik, zobaczył krew na samochodzie. Nim pokuma się z milicją, nim gazety zaczną rozmazywać i uświadomią starego, trzeba mu zamknąć buzię na amen. Robota prosta, łatwa i te setuchny za nią to jakby podarunek hojnego Szefa.

— Czego pan chce? — po raz trzeci zapytał trzęsący się Kowalski, zapchany przez Kędzierzawego na podwórko starej fabryki. Biednemu mechanikowi oczy latały w bladej twarzy i pociły się dłonie. Cofając się oparł plecy o stos pogiętego żelastwa.

Kędzierzawy uśmiechnął się potrząsając w lewej ręce paczkę banknotów a prawą sięgając wolno po „sprężynkę".

Nigdy nie dowiedział się co go uderzyło.

Po tygodniu na terenie opuszczonej fabryki znaleziono trupa z dziurą w głowie i leżącą obok zakrwawioną sztabę żelaza. Nikt nie poznał nigdy powodów ani okoliczności zabójstwa.

Nie wiązano tego na pewno z odejściem z roboty mechanika Kowalskiego, który — pod przybranym nazwiskiem — otworzył własny garaż na Zachodzie.

DZIKI ZACHÓD — 1959

Dla wszystkich, którzy z chęci (albo z musu) chodzą na filmy o kowbojach i rewolwerowcach z Dzikiego Zachodu przyjemna będzie wiadomość, że sztuka szybkiego strzelania nie zaginęła.

Entuzjastom dzielnych szeryfów, Wyatt Earpa i Billy Kida, w Ameryce nie wystarcza chodzenie do kina na wielkie kolorowe obrazy cineramiczne. Postanowili kultywować tradycję zeszłego stulecie i ćwiczyć się sami w szybkim dobywaniu pistoletu i strzelaniu błyskawicznym a la Gary Cooper, czy Alan Ladd. Założyli kluby, w których pojedynkują się i odbywają turnieje szybkiego strzelania. Twierdzą nawet, że są o wiele szybsi od swoich dziewiętnastowiecznych bohaterów, którzy szerzyli terror na drogach konnej poczty w Kalifornii lub Aryzonie.

Do swych zabaw członkowie klubów ubierają się w stroje kowbojów, przynajmniej tych z kolorowych filmów, i używają autentycznych rewolwerów takich samych z jakich strzelano na Dzikim Zachodzie.

Pojedynki są — a raczej powinny być, — bezkrwawe.

Pojedynek zelekryfikowany

„Strzelec" trzyma prawą rękę na dolnym guziku kamizelki, w momencie gdy ją opuszcza uruchamia automatycznie elektryczny zegar. A w chwili gdy kula uderza w cel zegar staje. Kto szybciej strzeli, ten wygrywa. Czas osiągnięty przez „mistrzów" nie dochodzi do 14 sekund, jest to szybkość nie spotykana wśród prawdziwych rewolwerowców.

Celem naturalnie nie jest przeciwnik, ale jego sylwetka na tarczy. Chociaż zdarza się, że w czasie zawodów leje się krew. Najczęściej własna. Otóż w pogoni za szybkością dzisiejsi sportowcy zwodzą kurek pistoletu już w momencie wyciągania go z artystycznie ozdobionej kabury i zdarza się, że zamiast w cel strzelają we ... własną łydkę.

Dobrze im tak.

Niestety nie zawsze jest tak wesoło. Niejaki Jack Bender z Chicago trenując pistoletem naładowanym prawdziwymi kulami przez przypadek zastrzelił własnego syna. Dziecko miało 14 miesięcy, a ojciec, wielbiciel Dzikiego Zachodu, nazwał syna Wyatt Earp.

POLSKA APTEKA M. STANKIEWICZA
74, Deacon St., London, S.E. 17. — Telefon ROD 4628
Wysyła wszelkie leki po cenach eksportowych
WOLNE OD CŁA 10721

ROŚLINY PASTORA FRANKLINA

Rośliny, za które się modlą, rosną o wiele szybciej niż te, za które nikt się nie modli. Przeklinane, strofowane więdną i marnieją.

Rev. Franklin Loehr z Los Angeles wydał właśnie książkę, w której opisuje wpływ modlitw na wzrost roślin...

Około 150 pobożnych z 46-letnim pastorem przez pięć lat przeprowadzało doświadczenia nad siłą modlitwy.

Zasadzono ziarna pszenicy i żyta i modlono się nad jednymi, podczas gdy inne rosły bez „opieki duchowej". Te pierwsze rozwijały się wspaniale i o wiele szybciej niż drugie.

Raz się stało, że w doniczce „potępionych roślinek" wystrzelił niespodziewanie wysoki, wspaniały kiełek. Wtedy pastor zastosował metodę negatywną — przeklął intruza i roślina — zmarniała.

Po 900 doświadczeniach Franklin uznał, że może zacząć stosować swe metody w stosunku do ludzi. Przestał pielęgnować rośliny i wierzy, że potrafi przyspieszyć duchowy rozwój swoich parafian.

ZMARLI

Ś.P. KAROL SŁAWIKOWSKI
Lat 62.
Zmarł 6. 4. 1959 w Londynie.

Ś.P. JÓZEF LEŚNIEWICZ
Rolnik.
Urodz. 6. 11. 1888.
Zmarł 9. 4. 1959 w Londynie.

Ś.P. FRANCISZEK WÓJCIK
Urodz. 27. 7. 1919.
Zmarł 11. 4. 1959 w Chorley.

Ś.P. ALEKSANDER JANUSZ ŻAGA-PIETKIEWICZ
Dziennikarz.
Zmarł 13. 4. 1959 w Londynie.

Ś.P. ANNA CZUMAK
Lat 73.
Zmarła 12. 4. 1959 w Dartford, Kent.

Ś.P. CZESŁAW JASIEŃCZYK-KRAJEWSKI
Mjr. pilot.
Urodz. 1899.
Zmarł 10. 4. 1959 w Manchester.

Ś.P. JÓZEF LEŚNIEWICZ
Członek Zw. Rolników Polskich.
Urodz. 1888 r.
Zmarł 9. 4. 1959.
Pochowany w Witcham koło Ely.

Ś.P. JAN GŁUCHAN
Lat 43.
Zmarł 11. 4. 1959.
Pochowany w Bury, Lanc's.

Ś.P. ZOFIA FORMANKIEWICZOWA
Lat 63.
Zmarła 10. 4. 1959 w Londynie.

Ś.P. KSAWERY MASZADRO
Płk. Dr.
Lat 71.
Zmarł 14. 4. 1959 w Londynie.

Ś.P. EDWARD BAŁTUSIS
Ppłk.
Zmarł 15. 4. 1959 w Edynburgu.

Sport

Mecz o mistrzostwo ligi Legia (W - wa) — Ruch (Chorzow). Mecz odbył się na stadionie Wojska Polskiego w Warszawie Legia wygrała 3:1.

Polonia prowadzi

W I lidze piłkarskiej lider Gwardia (W-wa) przegrała z Górnikiem (beniaminek — Radlin) 0:1 i spadła na 4 miejsce. Prowadzenie objęła Polonia (Bytom), która przy 40 tysiącach widzów w Łodzi zremisowała z mistrzem ligi ŁKS 0:0. Inne wyniki: Legia (W-wa) — Ruch (Chorzów) 3:1; Pogoń (beniaminek — Szczecin) — Polonia (Bydgoszcz) 3:0; Górnik (Zabrze) — Wisła (Kraków) 4:0; Cracovia — Lechia (Gdańsk) 0:0.

Tabela po 4 kolejkach: Polonia — 6 pkt.; Lechia — 5; Górnik (2) — 5; Gwardia — 5, Legia — 5; Górnik (R) — 5; ŁKS — 4; Pogoń — 4; Polonia (Szcz.) — 4; Cracovia — 3; Wisła — 1; Ruch — 1.

Amerykańscy kulomioci

Chociaż do Olimpiady w Rzymie w 1960 jeszcze daleko to w Ameryce już się rozpoczęła walka — o prawo wyjazdu do Rzymu. Specjalnie ostra walka toczy się wśród miotaczy kulą.

W Santa Barbara. (Kalifornia). uzyskano 4 fantastyczne wyniki. 18-letni Long wyrównał rekord światowy. uzyskując 19,25 m. Drugie miejsce zajął Niedek (wicemistrz olimpijski z Melbourne) wynikiem 19.11 m. Rekordzista świata i dwukrotny złotomedalista olimpijski O'brien zajął trzecie miejsce wynikiem 18.76 m: czwartym był Davis z wynikiem 18.53 m. Historia lekkoatletyki nie zna wypadku aby na jednych zawodach osiągnięto aż tyle znakomitych wyników. Specjaliści przewidują jeszcze w tym sezonie przekroczenie 20-tki!

Pchnięcie kulą jest specjalnością Amerykanów Pierwszym rekordzistą był Rose (USA), który w 1909 r. miał wynik 15,54 m.

Rekord Europy wynosi 18,05 m; (Skobla — Czechosłowacja); rekord Polski 17,31 m (Sosgórnik).

W kilku wierszach

Piłkarze niemieccy (nie są oficjalnie zawodowcami) otrzymują £21 pensji miesięcznie. W przyszłym sezonie dostaną podwyżkę i będą mieli £26 miesięcznie.

W Temple (USA) 18-letni Long ustanowił w pchnięciu kulą rekord świata wynikiem 19,55 m. bijąc rekord O'Briena o 30 cm!

Znany hokeista amerykański Shore, miał 14 razy złamany nos, oraz 5 razy uszkodzoną szczękę. Ma już tylko 1 własny ząb. W sumie poniósł 978 obrażeń.

W Jałcie Owanestau (Sowiety) skoczył w dal 7,91 m.

Hiszpan. który się zapisze dzisiaj na nowy samochód Renault, produkowany w Valladolid (Hiszpania), otrzyma go za 17 lat! Taka jest już bowiem kolejka. Otrzymując nowe auto Hiszpan musi złożyć przysięgę u notariusza. że go nie sprzeda przed upływem 2 lat.

W Lipsku Manfred (Niemcy) w rzucie dyskiem osiągnął wynik 53,32 ustanawiając rekord Niemiec.

Prezes amerykańskiego związku tenisowego. Mr. Denny, oświadczył. że przepis iż tenisista może otrzymywać tylko £5 diet dziennie jest nieżyciowy. gdyż za te grosze cywilizowany sportowiec absolutnie nie może się utrzymać.

1.200 dziennikarzy prosi o miejsca na mecz bokserski w. ciężkiej o mistrzostwo świata Patterson (USA) — Johanssen (Szwecja). Najdroższe bilety będą po 100 dolarów.

W Honolulu Nider (USA) w pchnięciu kulą uzyskał świetny wynik 19,41 m

Podczas meczu Brazylia — Urugwaj. o tegoroczne mistrzostwo piłkarskie Ameryki Płd., drużyny kończyły mecz w 9. gdyż sędzia usunął po 2 graczy z każdej strony. (K.Z.)

Sukces polskiego Jaguara

Zespół Jaguarów (członków Polskiego Klubu Motorowego) pp. M. Białkiewicz. T. Krzystek. K. H. Logan i pani D. Potter, reprezentujący Jaguar Drivers Club. uplasował się na czołowych miejscach w 400-milowym „Eastbourne Rally" organizowanym przez Bentley Drivers Club. zdobywając nagrodę zespołową.

Załoga M. Białkiewicza i T. Krzytka zdobyła nagrodę najlepszej załogi gości. W zawodach sprawności kierowców. M. Białkiewicz zdobył pierwsze miejsce i poprawił przez 20 lat niepobity rekord w najtrudniejszej próbie tzw. „Monte Carlo". bijąc nawet załogi instruktorskie z Policyjnej Szkoły Kierowców.

Startowało 150 zawodników Raid. który odbył się prawie całkowicie przy gęstej mgle: ukończyło zaledwie 48 zawodników. *OZH*

Sportowcy polscy we Francji

W tym samym czasie. kiedy przeszło sto pięćdziesiąt osób z baletu i teatru (sama orkiestra liczyła 60 członków) występowało na scenie teatru „Sarah Bernard". na boiskach Francji aż roiło się od sportowców z kraju. Na mistrzostwach szermierczych świata juniorów Ryszard Parulski zdobył tytuł mistrza świata w szabli. studenci polscy wygrali ze studentami francuskimi w siatkówce, młodzieżowa reprezentacja Polski w siatkówce pokonała reprezentację Francji; w piłce nożnej juniorzy polscy odnieśli sukces w turnieju międzynarodowym. a koszykarze warszawskiej „Polonii" w turnieju koszykówki.

Wreszcie w biegu na przełaj w lasku Vincennes pod Paryżem Chromik i Ożóg zajęli dwa pierwsze miejsca a Polska w klasyfikacji drużynowej pokonała Rosję.

Polak pobił rekord pływacki

Grono wybitnych sportowców amerykańskich polskiego pochodzenia powiększył 19-letni student z Filadelfii Frank Legacki, który w czasie mistrzostw Ameryki w pływaniu w krytej pływalni pobił rekord na 100 jardów stylem motylkowym w czasie 0,53,4 s.

GALERIA GRABOWSKIEGO
84. Sloane Avenue. Chelsea S.W.3
TRZECIA WYSTAWA
obrazy
T. ILNICKIEGO
P. WOOLLARDA
Otwarcie w sobotę 11 kwietnia
Wystawa będzie czynna do maja codziennie prócz niedziel w godz. 10 d. 6.
Wstęp bezpłatny
1135

METAMORFOZA

Wiersz nieznanej dotąd poetki emigracyjnej, p. Teresy Maczugi Uważamy, że zawiera on pewne znamiona talentu. Najlepsze w nim jest. naszym zdaniem, to co nie przypomina znanych już tonów w naszej poezji emigracyjnej — szczególnie Jana Rostworowskiego i szkoły Hemara.

Żadne wino nie jest za mocne,
żaden wieczór nie jest za długi
żadne tango nie jest za gorące
dla tańczącej Teresy Maczugi.

Każdy kelner do mnie się łasi.
fordanserki blędną. jak kości,
a ja tańcz pod czarnym sufitem
purpurową fontanną miłości.

To nie ważne. że one — pantery
że sprężyste, spragnione i chude
a u panny Teresy Maczugi
zapowiada się piąty podbródek.

To nie szkodzi. że im ładni chłopcy
podtykają goździki i forsę.
a kulista Teresa Maczuga
całą pensję wydała na gorset.

Teraz smyczek ze strunami się pieści
w trąbach kwitną złote orchidee.
wyginają się flety jak węże
a Teresa Maczuga szaleje.

Podrygują kolana jak banie,
obracają się biodra jak koła.
spijam likier z klawiszów harmonii
i faluję i jestem wesoła.

Ale zbliży się biała godzina,
twarze panów popiołem posypie
i zagarną swe wiotkie dziewczyny
w czarne fraki, jak w pudła od skrzypiec

i nauczą je bajek o wiośnie,
w które przecież co roku się wierzy
i zakwitnie różowa modlitwa
w opalonych ramionach tancerzy.

A ja cicho podrepczę do domu
i po schodach wlec będę się długo
i raz jeszcze przywitam się w lustrze
z nienawistną Teresą Maczugą.

TERESA MACZUGA

UŚMIECHNIJ SIĘ

Stary Fredro górą!

Na konkursie „Reader's Digest" o najlepszy dowcip nagrodę 500 dolarów zdobył J. C. White za następującą historyjkę:

Na meczu footbalowym swojego college'u złamałem nogę i leżę teraz dygocąc ze strachu na stole operacyjnym.

Na sali zjawia się młody człowiek. W ręku trzyma igłę. Najdłuższą jaką kiedykolwiek zdarzyło mi się widzieć. Jest to specjalista od narkozy i zabiera się do zastrzyku, który ma mnie uśpić

Widząc moje zdenerwowanie pyta czy to moja pierwsza operacja. Na mój potakujący gest twarz jego się rozjaśnia przyjaznym uśmiechem; wyciąga rękę.

— Dawaj łapę przyjacielu. To jest też moja pierwsza operacja.

Dobry dowcip? Chyba niezły. Ale jeżeli wart jest 500 dolarów, to ile tysięcy trzebaby zapłacić Aleksandrowi hr. Fredrze za fraszkę na podobny temat tylko setki, tysiące razy lepszą?

Posłuchajcie.
Przebacz Waćpan niezgrabność,
mówił kat łotrowi
Pierwszy raz dzisiaj wieszam,
jestem nowym katem
Proszę się nie żenować,
łotr grzecznie odpowie
Pierwszy raz mnie wieszają,
nie poznam się na tym.

O szkodliwości przesądów rasowych

Lady C. urządza przyjęcie. Wszystkie przygotowania dokonane, zaproszenia rozesłane, data wyznaczona.

W ostatniej chwili okazuje się, że liczba zaproszonych dziewcząt przewyższa liczbę młodzieńców. Katastrofa! Jak temu zaradzić?

Na szczęście w pobliżu jest obóz amerykański. Lady C. podejmuje błyskawiczną decyzję Telefon do komendanta. Czy nie byłby łaskaw przysłać pięciu młodych oficerów? Wyrządziłby jej, lady C. wielką przysługę. I młodzi oficerowie też zapewne byliby radzi skorzystać z zaproszenia na przyjęcie gdzie będzie tyle pięknych dziewcząt.

Komendant jest pełen dobrej woli:

— Ależ oczywiście, droga pani. Z największą przyjemnością uczynię to o co mnie pani prosi.

— Tylko. panie komendancie, jeszcze jedna mała prośba... Doprawdy niezręcznie o tym mówić... Wstyd się przyznać. ale w naszej rodzinie pokutują jeszcze pewne przesądy rasowe... Czy nie byłoby możliwe aby był pan łaskaw wybrać oficerów nie żydowskiego pochodzenia...?

...— Ależ oczywiście. Rozumiem panią doskonale. Proszę się nie kłopotać. Stanie się wedle pani woli.

O oznaczonej godzinie, gdy goście Lady C. są już w komplecie, przed pałac zajeżdża jeep. Wysypuje się zeń pięciu oficerów jeden w jednego — c z a r n y c h.

Lady C. patrzyła oniemiała. Ledwie mogła zebrać słowa:

— Ależ proszę panów... To chyba jakieś nieporozumienie... To musi być omyłka...

Jeden z przybyłych uśmiechnął się szeroko ukazując rząd białych zębów:

— O nie, proszę pani. Nie ma omyłki. M a j o r L e v i n e m y l i s i ę n i g d y.

Najlepszy dowcip angielski

Anglik gra z psem w szachy. Inny Anglik widzi tę scenę i staje jak wryty:

— To rzecz nie do wiary!... Pies co gra w szachy!... Cóż to za nadzwyczajny pies!

Partner psa uśmiecha się ironicznie:

— Nadzwyczajny! Ładnie nadzwyczajny! Już trzecią partię przegrywa!

Najlepszy dowcip szkocki

Para Szkotów korzystających z Health Service, przychodzi do lekarza z pięciomiesięcznym niemowlęciem.

— Czy byłby pan doktór łaskaw zbadać to dziecię?

— A co mu jest?

— Chwilowo jeszcze nic. Ale jest do nabycia okazyjnie wózek dziecięcy. Pan doktór rozumie... Zanim się zdecydujemy na kupno, chcielibyśmy wiedzieć czy warto... Zebrał PP

— PROSZĘ SIĘ NIE ZALECAĆ: TO NIE MOJA ŻONA. TO SEKRETARKA.

— LEPIEJ GO NIE TRZEŹWIĆ: TO NASZ KIEROWCA.

NOWE ĆWICZENIE FAKIRÓW

BILETY KOLEJOWE, LOTNICZE MORSKIE
SPROWADZANIE RODZIN — WAKACJE
STANMORE TRAVEL
121, Earls Court Rd.. London, S.W.5. Tel. FRE 1155
11294

KONKURS TYGODNIA

Drodzy Przyjaciele Pana Agapita!

Nasz podróżnik dobrnął do połowy swej długiej i zawiłej drogi. Wciąż jeszcze jest czas, aby zapisać się do koła jego wielbicieli i nadesłać zaległe kupony. Potrzebne do tego numery „Tygodnia Polskiego" można jeszcze otrzymać w Administracji „Dziennika Polskiego"

Spieszcie się!

Jeden z Czytelników już po wysłaniu kuponu zorientował się, że popełnił omyłkę, więc szybko napisał list do nas ze sprostowaniem. W drodze wyjątku sprostowanie zostało przyjęte. Na przyszłość Czytelnicy muszą nadesłać nowy kupon wypełniony prawidłowo.

Tak samo ci, którzy nie są pewni swoich rozwiązań mogą nadesłać poprawione kupony — dopóki trwa Konkurs w „Tygodniu Polskim"

KUPON NR 9
Odcinek 1

Na cotygodniowe odpowiedzi

Miejscowość .....
Kraj .....
Imię i nazwisko Czytelnika .....
.....
Adres .....
.....

KUPON NR 9
Odcinek 2

Zachować i nadesłać z całkowitym rozwiązaniem konkursu

Miejscowość .....
Kraj .....
Imię i nazwisko Czytelnika .....
.....
Adres .....
.....

Właściwe rozwiązania zagadki Nr 7. dotychczas nadesłali pp.: H. Asłanowicz. M. Cichowicz. S. Dopierała. M. Krzyżak. J. Potocki, Z. Szczepanowska, A. Smigielski, M. Włodkowska.

Nagrodę otrzymuje p. Z. Szczepanowska.

APTEKA Dr. J. L. SIKORSKIEGO
Telefony: APTEKA — FRE 0318
EXPORT — FRE 2058
202. Earls Court Road London S.W.5. Blisko stacj. Earls Court.
WYSYŁA wszelkie LEKARSTWA DO POLSKI
i innych krajów europejskich w dniu otrzymania zlecenia
Ceny eksportowe. — Nowe cenniki wysyłamy na żądanie.
10877